Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES PICTA .COM

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES PICTA .COM

ANGLJA PO WOJNIE

ROMAN DYBOSKI

ANGLJA PO WOJNIE

WRAŻENIA I REFLEKSJE

dop/2

KRAKÓW 1924
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

Xe H 316

B. S.
Z. K.
m. L.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
43249/2
im. F. Dzierżyńskiego

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA.

Artykuły, zebrane w niniejszej książce, napisane były częścią w ciągu, częścią po ukończeniu całorocznego blisko pobytu w Anglji, który trwał od jesieni r. 1922 do lata 1923, i wyszły w czasopismach *Przegląd Warszawski, Przegląd Współczesny* i *Czas*.

Przez ten szereg miesięcy, które upłynęły od pierwszego druku, niektóre z przedstawionych wypadków poszły w niepamięć i straciły aktualność, a zaszły wypadki nowe, po części nie małej wagi. Głównym z nich jest dojście do władzy partji robotniczej angielskiej, przewidywane w jednym z artykułów, jako możliwość niedalekiej przyszłości. By więc nie powtarzać czegoś, co teraz wyglądałoby już na *vaticinatio post eventum*, — by z drugiej strony nie opowiadać ponownie rzeczy tymczasem przebrzmiałych i przestarzałych, musiałem poddać artykuły dość znacznym zmianom.

Pozostają one i po tej przeróbce szeregiem szkiców, urywkowych spostrzeżeń, przygodnych rozmyślań. Nie są i nie mają pretensji być tą encyklopedją wiadomości o Anglji współczesnej, która w naszej literaturze byłaby niewątpliwie potrzebną. Niestety, na napisanie książki o tej skali w kraju narazie nie mam pod ręką materjałów, a w Anglji nie miałem czasu, będąc przez cały rok zajęty wykładami o rzeczach polskich dla Anglików.

Śmiem jednak sądzić, że i te niesystematyczne notatki o Anglji mogą przynieść pewien pożytek ze względu na dążności, jakiemi się kierowałem przy ich zestawieniu.

Znając Anglję z pięciokrotnego w niej pobytu przed wojną w latach 1905 do 1912, obecnie przedstawiłem — ku niemałemu zmartwieniu innych u nas wielbicieli kultury angielskiej! — wiernie i szczerze, tak jak je widziałem, te ciężkie niedomagania gospodarcze, niebezpieczeństwa polityczne, niepokoje społeczne i fermenty moralne, na które laboruje Anglja powojenna w porównaniu z przedwojenną. Z drugiej zaś strony starałem się ukazać, jak heroicznie naród angielski z tem całem dziedzictwem wojny się zmaga, i jak wytrwale wierzy w swą przyszłość. Może to przedstawienie rzeczy przekona tak licznych, niestety, wśród naszej dzisiejszej inteligencji neurasteników pesymizmu o tem, że ani Polska nie jest jedynym krajem na świecie, gdzie po wojnie źle się dzieje, ani znowu niema takiego powojennego zła, z którem nie możnaby skutecznie walczyć.

W końcowem studjum zająłem się tak mało ważnem dla Anglika, ale tak bardzo ważnem dla nas zagadnieniem, jakiem jest stosunek opinji angielskiej do Polski. Jadąc do Anglji na pracę propagandystyczną, żywiłem to złudzenie, którem jeszcze w tych dniach stara się pokrzepić mą duszę czcigodny mistrz Joseph Conrad, pisząc do mnie 22 lutego 1924 r. z okazji ukazania się moich książek angielskich o literaturze polskiej:

„Niema w Anglji wiele sympatji u ogółu dla nowego państwa polskiego, ale to wynika jedynie z nieświadomości, którą tylko zwięzłe i przejrzyste przedstawienie prawdy historycznej może rozwiać".

Rozwiała się w ciągu roku mojej pracy w Anglji raczej ta właśnie iluzja, bo poznałem głębsze przyczyny

angielskiej niechęci do wielkiej i silnej Polski, z koniecznością wynikające z obecnej sytuacji międzynarodowej. Jeżeli moje przedstawienie tych przyczyn — znowuż wierne i szczere, w miarę mojego zrozumienia rzeczy — rozwieje podobne iluzje i u czytelników, to może przecież z goryczy tego zawodu wyrośnie jedno pożyteczne przeświadczenie.

Do dążności mocarstwowych dzisiejszą Polskę nietylko uprawnia, ale i obowiązuje wielki dziejowy spadek cywilizacyjny idei Jagiellońskiej. Ale okrzyczany na Zachodzie anglosaskim „imperjalizm polski“ jedynie wtedy będzie miał powodzenie i zdobędzie sobie uznanie całego świata, jeżeli będzie oparty na sile wartości kulturalnych i moralnych, które rozwiniemy w naszem społeczeństwie.

* * *

Wskutek trudności wydawniczych, które panowały w kraju w czasie przesilenia walutowego, kończę tę przedmowę już podczas ponownego pobytu nad brzegami Tamizy, dokąd po rocznej niebytności znowu zjechałem z wykładami o Polsce.

Zastałem Rząd robotniczy już zachwiany, bo nie zdołał — tak samo jak nie zdołałby żaden inny Rząd — usunąć wielkiej powojennej bolączki bezrobocia. Ale zastałem naród angielski nie mniej niż przed rokiem zdeterminowany znosić po bohatersku ciężary, jakie na to pokolenie spadły, i trwać w praworządności.

Zastałem dalej prowadzone uporczywie wbrew wszelkim zawodom układy Rządu robotniczego z Rządem sowieckiej Rosji, i rozbudzone nadzieje na zmianę polityki francuskiej wobec Niemiec.

Jakakolwiek będzie przyszłość tych zagadnień mię-

dzynarodowych — może niekorzystna dla nas, — jednak zastałem także — to wkońcu z radosną dumą podnieść pragnę — opinję Polski na Zachodzie poprawioną przez dokonane u nas wielkie dzieło reformy walutowej. Stawszy się państwem wypłacalnem, możemy w Anglji także liczyć na szacunek polityczny i spodziewać się — może w niedalekiej przyszłości — czynnego zainteresowania się kapitału brytyjskiego naszym rozwojem gospodarczym.

Londyn, Zielone Święta r. 1924.

Roman Dyboski.

I

ANGLJA PO WOJNIE

1.

Esto perpetua!

Tym kościelnym hołdem chce się pozdrowić Wielką Brytanję cudzoziemcowi, co jak ja, widząc ją ponownie po dziesięciu latach — i jakich latach! — przerwy, uderzony jest przedewszystkiem majestatyczną niezmiennością świata angielskiego.

Ten sam oszołamiający ruch wszelkiego rodzaju samochodów, od zbytkowych do ciężarowych, ten sam senny przepych pałaców klubowych i rezydencyj arystokratycznych w zachodniej dzielnicy Londynu, te same postaci eleganckich jeźdźców na eleganckich koniach na głównej alei Hyde Parku *(Rotten Row* czyli *Route du Roi)*, i tak samo o dwa kroki stamtąd brudna nędza, żebrząca po trotuarach i zaplugawiająca boczne uliczki, — nawet ten sam, portowy prawie, brud wiecznie zaśmieconych ulic Londynu i ten sam zapach ryby morskiej, tytoniu fajkowego i benzyny automobilowej w powietrzu. Ta sama, do najwyższej niedorzeczności krzycząca reklama wszędzie, ten sam kołtuński smak u ogółu w rzeczach literatury

i sztuki, ta sama tępa obojętność wobec wszystkiego, co intelektualne, i wobec wszystkiego, co obce. Ten sam spokojny majestat Rządu i Kościoła wobec legjonów krzykaczy, wygadujących niestworzone rzeczy z trybun na świeżem powietrzu do tłumu gapiów na rogu Hyde Parku, albo wygrażających socjalną rewolucją z cokołu kolumny Nelsona na Trafalgar Square; ten sam wszechwładny wśród ruchu ulicznego i jednakowo przez wszystkich respektowany, olbrzymi, granatowy policjant.

Najstalszem zwierciadłem codziennego życia dla cudzoziemca, przed którym Anglik zawsze trochę gra komedję, są g a z e t y,[1] niewątpliwie już mówiące do Anglików samych ich własnym językiem. Prawie codzień na sam widok ulicznych ogłoszeń ich głównych „atrakcyj“ w danym dniu chcę wołać słowami Brutusa w szekspirowskim *Juljuszu Cezarze* (V, 3):

O Julius Caesar! Thou art mighty yet:
Thy spirit walks abroad...

Tak — „potężnyś jeszcze“, o lordzie Northcliffe, i „duch twój“ — duch właściciela 19 dzienników — „chodzi wśród nas jeszcze“...

Sport, snobizm, sensacja — oto trzy potężne „*S*“,

---

[1] Wszystkie wyjątki z gazet, cytowane poniżej, pochodzą z wrześniowych i październikowych numerów *Daily Mail, Daily Telegraph, Evening Standard* i *Sunday Times* (1922 r.).

Rozumie się, że moja krytyka „northcliffizmu“ odnosi się tylko do gazet przeciętnych, mniej lub więcej brukowych, a nie do poważnych organów o wyższym poziomie, jak *Telegraph, Morning Post* lub *Times*. Ale bo też ogół obywateli angielskich dwupensowych gazet nie czyta, tylko jednopensowe, jak szowinistyczna *Daily Mail,* demagogiczny *Daily Herald,* lub kinematograficzny *Daily Express.*

wypełniające ten dziennik, który przeciętny obywatel angielski najlepiej lubi czytać. Otwieram taki *(Daily Mail)* w pierwszy dzień po przyjeździe i dowiaduję się, że „wiele znanych osób przechadzało się wczoraj po Hyde Parku koło południa", że „markiz i markiza Carisbrooke szli ku łukowi marmurowemu", a „złotowłosą piękność markizy podwyższał strój żałobny", że „admirał sir Hepworth Meux pokazał się w towarzystwie swej małżonki", i że „sir Chartres Biron wśród innych wybrał się na swój zwykły poranny spacer". I cała kolumna jeszcze podobnych wiadomości w gazecie, której nikt z tych dostojnych *lords* i *ladies* nigdy nie bierze do ręki. Nawet w nekrologu starego lwa salonów londyńskich, eks-ambasadora portugalskiego, markiza de Soveral, nie zapomina się zaznaczyć, że przed nim najbardziej świecący cylinder w Londynie nosił sir William Hardynge. Słusznie, choć drwiąco, niedawno powiedział w uniwersyteckiem przemówieniu o — fonetyce komedjopisarz Bernard Shaw, że w tym kraju i dziś jeszcze „wulgarna wymowa kilku liter może zwichnąć człowiekowi karjerę na całe jego życie".

Punkt drugi: sporty (niestety coraz więcej przez tłumy oglądane, a coraz mniej uprawiane). Pod koniec tygodnia, w którym europejska wojna o Konstantynopol wisiała na włosku, gawędziarz wieczornej gazety *Evening Standard* nie waha się przyznać, że w tym tygodniu na pierwszym planie wśród przedmiotów uwagi publicznej stało niespodziane zwycięstwo, odniesione nad znakomitym francuskim bokserem Carpentierem przez murzyna Siki w Paryżu. I rzeczywiście wszyscy dokoła o nim mówią.

Wreszcie punkt trzeci: sensacje. To już jak u nas w *Kurjerach* i *Gońcach*. Nieco po wspomnianym właśnie

epizodzie, gdy znowu ta sama wojna europejska wisiała na tym samym włosku, zamordowanie niejakiego p. Percy Thompsona na przedmieściu londyńskiem Ilford, przypuszczalnie przez kochanka jego żony, zapełniało całe szpalty przez tydzień. Później znowu, gdy naród stał wobec przesilenia rządowego, szpalty zapełniał skandaliczny proces 70-letniego sekretarza Tajnej Rady królewskiej sir Aylmericka Fitzroy, oskarżonego o napastowanie kobiet po nocy w Hyde Parku. Kobiety były, jak się okazało, „drugiej kategorji“, i sędziwy dygnitarz został skazany tylko na 5 funtów kary pieniężnej, a przez trybunał kasacyjny uwolniony zupełnie.

Przy sposobności obrońca jego, który sam umyślnie wybrał się nocą do Hyde Parku dla badania stosunków, ze zgrozą oświadczył, że nigdy więcejby tam o tej porze nie poszedł. Ale i w biały dzień Anglja, ta wyspa niespodzianek, jest w niespodzianki bogata także w zakresie bezpieczeństwa publicznego. Jesienią r. 1922 w tym samym Hyde Parku, o najludniejszej godzinie popołudniowej, napastnik z zamiarem rabunku ciężko poranił sztyletem wdowę po poległym oficerze belgijskim, i co dziwniejsze, dopiero po blisko półgodzinnym pościgu został pojmany. Zaś niedługo potem złodzieje, odznaczający się widocznie wybitnym zmysłem dla humoru, włamali się nad ranem do składu znalezionych rzeczy w samym gmachu Dyrekcji Policji — sławnym *Scotland Yard* — i umknęli bez śladu.

Wspominam o takich sprawach z *chronique scandaleuse*, bo zachwiały mnie w jednej powszechnie u nas żywionej iluzji: miałem policję angielską za wzorowo sprawną, nieprzekupną i popularną, jak żadna policja w świecie. Tymczasem szczególnie sprawa Fitzroya wydobyła na jaw

fakt, że wśród policji londyńskiej gorliwość szpiegowsko-donosicielska dla awansu (na sposób czynowniczy) jest zjawiskiem stałem, co więcej, że policjanci wymuszają formalny podatek od szynkarzy i prostytutek.

Ale powracając do demoralizacji prasy: słusznie z różnych stron zaczęto dobitnie potępiać praktykę niektórych gazet, co przekształciły się w Towarzystwa ubezpieczeń od wypadków dla swych abonentów i łudzą ich obietnicami wysokich premij. Tak i do instynktu hazardowania — nawet zdrowiem i życiem — pomysłowa chciwość przedsiębiorców dziennikarskich nie waha się apelować, wiedząc, że Anglik ma dziedziczną żyłkę do zakładów i ryzyka.

* * *

W kraju przywykliśmy (przed wojną, póki nas było stać na bilety!) śledzić z uwagą, co się dzieje w teatrach. Tutaj wśród powodzi fars i melodramatów z trudem wyszukałem kilka rzeczy, na które wykształconemu człowiekowi nie wstyd pójść. Jako szczyt wysiłku literackiego, z biedą utrzymujący się nad wodą, w obskurnym przedmiejskim teatrzyku, ujrzałem nową *Marję Stuart* znanego młodego poety Jana Drinkwatera. *Nomen omen*, zaiste, bo rzeczywiście wodę zamiast krwawego wina pić nam każe autor, co z hałasem zapowiada tragedję życiową „wielkiej miłośnicy“, zawiedzionej na mężczyznach, których spotyka, — a daje nam przesubtelnie analizującą histeryczkę, która nie przestaje dużo i pięknie mówić nawet w objęciach Bothwella.

W dziedzinie komedji miejsce ustępującego z widowni sędziwego salonowca sir Artura Pinero zajmuje pełen mi-

łego humoru Szkot, Sir James Barrie (znany całemu światu jako autor *Piotrusia Pana w parku kensingtońskim*). Wieńczy go już nawet jako dramaturga ostateczny w naszych demokratycznych czasach sukces — na ekranie. Widziałem w kinematografie nader udatną przeróbkę jego niezmiernie uroczej historji miłosnej z małomiasteczkowego życia staroświeckiej Szkocji, *Sentimental Tommy*. Zaś w rzeczywistym teatrze widziałem nader dowcipną jego jednoaktówkę o człowieku, co sprosił do siebie w gościnę dwanaście osób z towarzystwa, z których jedna napewno zamordowała jego brata w Monte-Carlo, — i stara się tych gości wybadać. Zabawne rzeczywiście, jak po wyjawieniu zamiaru gospodarza każdy (i każda) zachowuje się tak, jakby on właśnie (lub ona) mieli na sumieniu morderstwo. Podobało się to, bo typowo sherlockowskie — zanadto na nasz smak, nieprawdaż? Więc poszedłem na głębiej pomyślaną i poetyczniejszą komedję tegoż autora, o „czarodziejskim lesie“ w noc świętojańską, w którym każdemu człowiekowi powtórnie się nadarza „wielka sposobność“ w życiu, przepuszczona raz za młodych lat. Okazuje się, że niktby sobie nie był lepszego życia zbudował, gdyby za nią był chwycił; bo treść życia wyrasta nie z zewnętrznych okoliczności, lecz z charakteru. Wiedzieliśmy to dawno:

The fault, dear Brutus, is not in our stars,
But in ourselves, that we are underlings. [1]

---

[1] Nie gwiazdy winne, drogi mój Brutusie,
Żeśmy pod jarzmem: myśmy sami winni.
(Szekspir, *Juljusz Cezar*, I, 2).
Stąd tytuł komedji: *Dear Brutus*.

Ten lapidarny morał szekspirowski przebudzone po czarodziejskim eksperymencie osoby komedji rozwałkowują przez cały trzeci akt w budujących dialogach — zanadto na nasz smak, nieprawdaż?

I teatr więc stoi na tych samych nizinach banalności, gdzie stał za ś. p. królowej Wiktorji: przypomniały się jej czasy, gdy zmarł w jesieni r. 1922 arcypłodny niegdyś fabrykant melodramatów, p. Walter Howard, którego sztuczydło *Siedem dni urlopu* „szło“ kiedyś przeszło 500 wieczorów z rzędu w „Lyceum“, i dziś, gdyby nowe, poszłoby pewnie znowu tyleż. Wszak wskrzeszono w tym samym czasie taką lemonjadę dramatyczną, jak Willsa *Stracenie króla Karola I*, i reporter widział mężczyzn, płaczących w pierwszych rzędach parteru.

Anglicy płaczący publicznie! Toć boją się śmieszności, jak ognia, i dlatego szczypty komizmu niema w Falstaffie z *Wesołych kumoszek windsorskich*, które widziałem szpetnie słabo grane w szczycącym się swą literacką tradycją szekspirowską *Old Victorian Theatre* za Tamizą, tam, gdzie stał niegdyś Globus szekspirowski... Zniechęcony, nie poszedłem już nawet do *Old Vic* na dalsze przedstawienia szekspirowskie *(Henryk IV, Poskromienie złośnicy)*, choć daje się je prawdziwie po szekspirowsku, z zasłonami zamiast dekoracyj, bez kurtyny i w całym tekście.

Może zresztą ów Falstaff dlatego wydał się cudzoziemcowi tak pozbawionym soli komicznej, że wogóle Anglików daleko łatwiej jest zabawić niż nas. Ten chłodny i zamknięty naród, przytem naród wielkich i subtelnych humorystów, posiada skłonność do serdecznego śmiechu tak silną, że Francuzowi lub Polakowi często wydaje się poprostu dzieciństwem to, co tu budzi wybuchy wesoło-

ści u dorosłych. Tak samo z Amerykanami. Któż z nas ma więcej niż uśmiech dla dowcipów Marka Twaina? A nawet w popularności Dickensa u wielu narodów poza Anglją więcej jest snobizmu literackiego niż szczerości. By przytoczyć przykład tej łatwej wesołości angielskiej z samego życia i bezpośredniego mojego otoczenia: przez kilka miesięcy r. 1922 zwyczaj wołania *beaver!* („bóbr!“) na widok człowieka z brodą stał się prawdziwą manją czy grą towarzyską, i najnieprawdopodobniejsze w świecie zastosowania tego słowa do wszelakich zjawisk na niebie i ziemi niechybnie budziły wszędzie paroksyzmy śmiechu.

Ale wracając do teatru: nietylko Szekspir jest wystawiany w stylu szekspirowskim; także współczesnych mu znakomitych poetów kultywuje, coprawda w zamkniętem gronie, kółko miłośników starego dramatu pod nazwą *Phoenix Society:* za czasów mojego pobytu nie bali się nawet wystawić poetyczny melodramat epigona epoki szekspirowskiej, Forda, pod niemożliwym dla dzisiejszego ucha tytułem *'Tis Pity She is a Whore* (Szkoda, że ona jest...“).

W teatrach publicznych także arcydzieła nowszej poezji dramatycznej dochodzą do swych praw (chciałbym mówić bez ironji!). W r. 1922 Lord Szambelan — od wieków piastujący zarazem urząd cenzora teatrów — zdecydował się zdjąć z indeksu tragedję niejakiego Shelleya *The Cenci,* i dzięki temu „już“ w 101 lat po śmierci Shelleya muzyka jego wierszy popłynęła ze sceny ojczystej z ust pięknej Sybilli Thorndike, najznakomitszej deklamatorki tragicznej w teatrze angielskim naszych dni. Ta sama wielka artystka, wsławiwszy się również świeżo potężną interpretacją eurypidesowskiej *Medei* w przekładzie Gilberta Murray, musiała niedługo potem ze względów

B. P. S. Z. K. m.

komercjalnych poniżać się do występowania w farsie *Advertising April*, — komedyjce, przedstawiającej karjerę nowoczesnej „gwiazdy“ filmowej, — gdzie z wielkim zresztą wdziękiem) bawiła publiczność, ukazując się na scenie — w pidżamach...

Bolejąc nad taką nieuniknioną w angielskich warunkach teatralnych prostytucją talentu, powołanego do wygłaszania wielkiej poezji ze sceny, zachowuję jednak szczerą i głęboką wdzięczność dla Sybilli Thorndike za dwa popołudnia recytacyjne, na których roztoczyła — raz przed młodzieżą uniwersytetu londyńskiego, a raz przed szerszą publicznością (głównie, jak zauważyłem, z „literacko“ wyglądających kobiet złożoną) — całe sznury pereł z poezji angielskiej, od uroczego dowcipu Beatryczy w komedji Szekspira *Wiele hałasu o nic* do obrazków rodzajowych Roberta Browninga z życia włoskiego, do silnych dramatycznych momentów jego epopei *Pierścień i książka*, nawet do bezkształtnych a potężnych amerykańskich hymnów Whitmana na cześć „Stanów Zjednoczonych“ przyszłej ludzkości. Żałuję też, że nie było mi danem zobaczyć Sybillę Thorndike w rolach Imogeny w *Cymbelinie* i Hermjony w *Powieści zimowej*. Zato podziwiam ją obecnie (w r. 1924) jako pełną prostoty i heroizmu *Joannę d'Arc* w dramacie Bernarda Shaw.

Wspomniałem o spóźnionem uznaniu cenzury dla wielkiego poety Shelleya. Zamiast czuwać tak długo i troskliwie nad dojrzewaniem jego pośmiertnej sławy, wolałby był Lord Szambelan przeszkodzić tak znakomitemu powieściopisarzowi, jak Jan Galsworthy, kompromitować swe imię przez wystawianie takiej sztuki jak *Loyalties*. Jest to najpospolitsza „bomba“ w iście kinematograficznym stylu, na temat ordynarnej kradzieży tysiąca funtów przez

dzielnego oficera i nieposzlakowanego gentlemana podczas gościny w dworze wiejskim. Jedynym subtelniejszym szczegółem jest fakt, że okradzionym jest żyd-parwenjusz, widziany niechętnie przez wyższe towarzystwo angielskie. Jego krzykliwe deklamacje i shylockowa zawziętość powodują nawet krzywdzące dlań wykluczenie z klubu; ale wkońcu sprawiedliwość triumfuje jak należy — uosobiona w zacnym starym adwokacie (ukłon w stronę prawa angielskiego), — i winowajca, jak przystało na oficera, odbiera sobie życie. Gdy się widzi na afiszu nazwisko Galsworthy, przypomina się — dalibóg — *Biała rękawiczka* Żeromskiego. Już to ponoś takie prawo psychologiczne, że autorzy, co mieli powodzenie w innej dziedzinie, później pragną laurów teatralnych. Nawet nasz wielki rodak Joseph Conrad (Korzeniowski), dziś jednomyślnie uznany jako pierwszy mistrz pióra w Anglji, wystawił w sezonie zimowym 1922—23 przeróbkę dramatyczną swej głośnej powieści *Tajny ajent;* zeszła ze sceny po kilkunastu przedstawieniach.

Jako rzeczy dramatycznie potężne, z wszystkiego, com widział w teatrach londyńskich w latach 1922 i 1923, w pamięci mi pozostały tylko dzieła jednego Amerykanina — Eugenjusza O'Neill (dramat *Anna Krystyna)* i dwóch Czechów, braci Čapek *(R. U. R.* i *Życie owadów).*

Ale spuśćmy zasłonę na scenę angielską. Przecież nie według komedyj sądzi się Anglję — nie według cyrków stary Rzym. Chciałem tylko na tym przykładzie uwydatnić, jak niezmienionem wydaje się oblicze życia angielskiego.

Nie inaczej z literaturą. Dwie trzecie miejsca w tygodniowych przeglądach literackich zapełniają po

dawnemu trzy tradycyjnie najpopularniejsze rodzaje towaru piśmienniczego.

Pierwszy z nich, to ilustrowane, dyletancko-gawędziarskie *travel books*, o śmiałych podróżach i egzotycznych ludach „kolonjalnych". W numerze *Sunday Times*, który leży przedemną (z 8 października 1922), jest niemniej jak pięć recenzyj o takich książkach; z nich aż trzy traktują poprostu o „wagabundzkich wędrówkach" po Ameryce środkowej i południowej, to znowu po Rosji sowieckiej i Japonji, Azji Mniejszej i Indjach wschodnich. Jest ponadto jedna o etnografji wysp Fidżi, a jedna o ekonomicznych możliwościach Argentyny.

Druga kategorja najpoczytniejszych książek, to obszerne biografje wielkich — albo nawet niebardzo wielkich — ludzi, przez niebardzo wielkich — albo nawet zgoła małych — satelitów. Również niema tygodnia bez nowych zjawisk tego rodzaju (zwykle dwutomowych). Do takich należą pamiętniki polityczne, w których gadatliwy staruszek sir Algernon West opowiada różne anegdotki nie tyle o sobie, ile o Gladstonie. Do tej klasy także należą ciekawsze może anegdotki o Bismarcku, które jednak znowu z drażniącą arcykapłańską dyskrecją opowiada w swych świeżo wydanych pamiętnikach stary wyga dyplomatyczny, sir James Rennell Rodd. Dalej — pompatyczna biografja sir Williama Harcourta, co jakoś nigdy nie mógł zostać premjerem, spisana z nabożeństwem, godnem lepszej sprawy, przez A. G. Gardinera, i drukowana rozdziałami, jak ciekawa powieść, w *Daily Telegraph*. Wreszcie pełna sensacyjnych *intimités* autobiografja pani Asquith. Ta zarazem smętnie ilustruje krótkowieczność nawet takiej „źródłowej literatury" polityczno-historycznej: drugi tom dopiero wychodził wyjątkami w *Sunday Times*,

gdy pierwszy (który kosztował coś gwineję) już figurował po trzy szylingi w antykwarniach. Lepszy może los przypadnie w udziale dwutomowej autobiografji, w której Winston Churchill, pierwszy lord Admiralicji z czasów wojny, z właściwym sobie tupetem przedstawił sam siebie jako Napoleona czy Nelsona tej wojny, ale uczynił to w każdym razie z temperamentem i niepospolitym talentem pisarskim.

Klasa trzecia wreszcie — to ocean powieści, już niewątpliwie efemerycznych, jak fale morskie, i równie nieprzejrzanych. Zalewają te *novels of the season* po kilka kolumn w czwartkowem *Times Literary Supplement* co tydzień, i każdy wie, że na drugi rok zalewać będą jako „resztki księgarskie“ *(publishers' remainders)* stragany po małych miejscowościach kąpielowych, gdzie publiczność prowincjonalna chciwie się w nich rozczytuje, bo, ach, tak często! deszcz pada. Ale mimo takiego wyroku przeznaczeń nad kolebką powieści te, według jednomyślnej opinji recenzentów, prawie wszystkie są *without a dull page* — „bez jednej nudnej stronicy“ — i wypożyczalnie muszą je zakupywać w tysiącach egzemplarzy.

Sztuki plastyczne: reklamowane bohomazy kubistów i futurystów zajęły stałe miejsca w *Tate Gallery* wśród poetycznych płócien Prerafaelitów angielskich. O zgrozo! — woła burżuj angielski w liście do redakcji. I słusznie, powiedzmy stanowczo. Ale ten sam mieszczanin, gdy w sobotnie popołudnie snuje się rojami po salach *National Gallery* wśród setek arcydzieł włoskich, holenderskich, hiszpańskich, wśród różowych i błękitnych mgieł angielskiego Turnera, widocznie się dziwi, dlaczego to tak koniecznie wypada podziwiać, i najlepiej jednak się czuje przed malowanemi anegdotami z pierwszej połowy XIX wieku lub przed portretami wielkich ludzi, a co

ważniejsza wielkich panów angielskich, pendzla mistrzów XVIII stulecia, jak Reynolds i Gainsborough. Sam obserwowałem ten nastrój, krążąc wśród tłumów po Galerji. Zawsze uważałem za koncesję dla mieszczańskiego snobizmu, że w samej głównej Galerji Narodowej (nie w specjalnej *National Portrait Gallery)* wisi *x* ogromnych portretów sławnej aktorki tragicznej, pani Sary Siddons, chyba najwięcej „malowanej“ osoby w nowszych dziejach Anglji.

Na pomniki w Londynie wnet miejsca zbraknie, tyle ich po wojnie wyrosło po placach i ulicach na cześć poległych. Jeden brzydszy — lub, powiedzmy łagodniej, pospolitszy — od drugiego. Wyjątek stanowi tylko piękny pomnik wdzięczności wygnańców belgijskich dla narodu angielskiego na *Embankment* nad Tamizą. Wyjątku natomiast w moich oczach nie stanowi jasnokoścista stara panna Edyta Cavell na Charing Cross, choć zdejmuję kapelusz przed tą bohaterką Siostrą Miłosierdzia, co wiedziała, że za ułatwianie ucieczki jeńcom angielskim z Belgji musi być rozstrzelana, — i robiła swoje. Sama chyba liczyła na milczenie czci dla spełnionego obowiązku. Pomnik, jaki jej wystawiono, dowcip ludowy nazwał „drugiem zabójstwem Miss Cavell“.

Ale dość i o pomnikach! Wszak pamiętamy Wergilego:

Excudent alii spirantia mollius aera
(credo quidem), vivos ducent de marmore vultus...
. . . . . .
Tu regere imperio populos, Romane, memento
(hae tibi erunt artes) pacisque imponere morem...
(*Aen.* VI, 847—852).

Jakże w nowoczesnym Rzymie wygląda „sztuka rządzenia“ i jak „moralność pokoju“?

2.

Anglja jest zawsze ta sama... z widoku, — to prawda. Ale Anglja się bezustannie zmienia — to druga prawda, dawniejsza od wojny światowej i od reform socjalnych Lloyd George'a. Niema może społeczeństwa, w którem każdy wiek ery nowoczesnej nosiłby tak wyraźne cechy wieku przejściowego. Dlatego też niema tu rewolucji od blisko dwustu lat — bo ewolucji jest więcej, niż gdzieindziej.

Oklepane to ogólniki: przyjrzyjmy się ich dzisiejszym ilustracjom.

Ostatnie czasy przed wojną, to były „miodowe miesiące" Anglji z socjalizmem państwowym nowego ustawodawstwa. Wytrzymał budżet angielski ciężar powszechnego żołdu państwowego dla ubogich starców, wytrzymała konserwatywna konstytucja angielska zniesienie *veto* Izby Lordów, wytrzymał przemysł angielski obowiązkowe *minimum* płacy dla górników po strajku 1912 roku.

Przyszła wojna i po niej manja rozwodów (także w Anglji).[1] W małżeństwie Anglji z socjalizmem państwowym jednak na rozwód się nie zanosi; tego dobrze pilnuje rodzina socjalistyczna — zorganizowani robotnicy, którzy już dawno są prawie taką samą potęgą, jak chłopi u nas: w r. 1901 przy wyborach do parlamentu na kandydatów partji robotniczej głosowało 63 tysiące ludzi, w r. 1910 już przeszło pół miljona, a w r. 1918 (gdy żoł-

[1] Dowcipną filipikę przeciwko niej napisał Gilbert Keith Chesterton *(The Superstition of Divorce,* Londyn, Chatto & Windus, 1920).

nierze jeszcze byli we Francji i wielu z nich nie mogło głosować) dwa i ćwierć miljona, w r. 1922 — cztery i ćwierć.

Jakże pod tą kontrolą wygląda dzisiejsze pożycie wspomnianego małżeństwa.

Przedewszystkiem rośnie mu potomstwo. Do pensyj dla staruszków przybył ogromny ciężar pensyj dla wdów, sierót, inwalidów (często nawet nie naprawdę wojennych),[1] a nadewszystko — dla olbrzymiej masy bezrobotnych. Zasiłki dla nich pochłaniają fantastyczne sumy, a mimo nich nędza i żebractwo przykrzej i natrętniej rzucają się w oczy niż kiedykolwiek. Wśród biedaków, co próbują sprzedawać różne najniepotrzebniejsze artykuły, czy śpiewać, grać lub błaznować wśród zgiełku ulicznego (bo żebrać otwarcie w Anglji nie wolno), prym dzierżą *ex-service men* — obwieszeni medalami i krzyżami weterani wojny światowej. Twardną też serca i zamykają się kieszenie przez przyzwyczajenie do widoku tej biedy, a jeszcze bardziej przez zakorzenione już przekonanie, że to sprawa Państwa, a nie dobroczynności prywatnej. Zaczyna niknąć z widowni społecznej angielskiej ten ogromny czynnik zorganizowanej dobroczynności prywatnej, który zdawna dostarcza materjału dla osobnego rocznika statystycznego *(Annual Charities Register and Digest)* i zatrudnia osobny urząd kontrolujący *(Charity Commissioners)*,

---

[1] Niedawno powstał w gazetach wielki krzyk oburzenia z powodu, że z etatu wojskowo-inwalidzkiego na etat gminnej opieki nad ubogimi przeniesieni zostali żołnierze, co jeszcze przed wojną byli chorzy umysłowo, i których choroba pogorszyła się po służbie wojskowej. Alarm, broń Boże, nie tyle o to, że się warjatów posyłało do okopów, ale że się ich teraz upokorzy, przenosząc ich z wojskowych szpitali do gminnych przytułków.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

i który bądź co bądź był zawsze klapą bezpieczeństwa dla grożących konfliktów społecznych.[1]

Teraz to i wiele innych rzeczy ma robić samo Państwo. Nie można mu zarzucić, żeby nie pracowało nad swemi rozszerzonemi funkcjami społecznemi całą siłą pary. Istnieje osobne „Ministerstwo pensyj“ — jeszcze niewiele lat temu przecieralibyśmy oczy nad taką anomalją — i zatrudnia ono przeszło 23 tysiące ludzi. Ten potwór biurokratyczny, to tylko jeden z wielu: wszak Anglja ma już dziś i „Ministerstwo pracy“ i „Ministerstwo zdrowia“, o których się jej dawniej nie śniło, a armja urzędników z 69 tysięcy przed wojną wzrosła w dwójnasób przeszło — do 128 zgórą. Narzekamy w Polsce często na nasz brak zmysłu organizacyjnego i doświadczenia państwowego, objawiający się przez hipertrofję biurokratyczną w organizmie naszej Rzpltej. Okazuje się, że wiekowe doświadczenie i praktyczny zmysł Anglików także ich nie uchroniły przed tem samem zastraszającem zjawiskiem, które widocznie towarzyszyć musi socjalizacji nowoczesnego państwa — nietylko bolszewickiej.

Ale powróćmy do bolączki b e z r o b o c i a. Jest dziś groźniejsza niż kiedykolwiek, choć od demobilizacji mija szósty rok. Bezrobotnych, pobierających zapomogę, w końcu czerwca 1922 r. było miljon ośmset tysięcy — wysoko ponad rekord wieku XIX w r. 1861 (po nieurodzaju bawełnianym): ten mało co przechodził miljon. Daleko zaś w tyle pozostały cyfry z przed samej wojny: 300 kilka-

[1] Niedawno został uczczony biografją (przez sir Artura Clay, 1923) sir Charles Stewart L o c h, twórca znakomitego zrzeszenia *Charity Organisation Society*, które skoordynowało wszystkie tak bogate i różnorodne wysiłki społeczeństwa angielskiego na polu dobroczynności prywatnej w drugiej połowie XIX wieku.

dziesiąt tysięcy w r. 1914. Co więcej jeszcze, przerażające rzesze te rosną z szybkością jakiejś powodzi: przybyło ich w ciągu r. 1922 blisko pół miljona. Dziś jest jeden człowiek bez pracy na każde 21 głów ludności: jaki będzie stosunek jutro?

O ile chodzi o poszczególne gałęzie przemysłu, wystarczy wyszczególnić jedną, najżywotniejszą w Anglji i dotąd stanowiącą prawie że monopol angielski w świecie: — budowę okrętów. W chwili gdy to piszę, jest rzeczą pewną, że w najbliższym czasie 80% robotników w tym przemyśle będzie bez zajęcia. Wkrótce po wojnie było w Anglji w budowie blisko tysiąc okrętów, w r. 1922 zaledwie coś ponad trzysta. A jak to oddziaływa na liczne przemysły pomocnicze — stalowy, maszynowy i inne, — łatwo sobie wyobrazić. Wszystkie powagi się zgadzają, że nie było jeszcze w dziejach przemysłu brytyjskiego okresu takiej depresji. I wszystkie powagi — zarówno finansowe, jak naukowe — są wobec tej sytuacji bezradne.

Cóż dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy jakiś p. Artur Kitson ze Stamfordu w liście do niedzielnej gazety *Referee* zaklął siarczyście: *Damn Political Economy!* do djabła z dwóchsetletnią nauką, która według Adama Smitha miała wzbogacić „i lud i Rząd“, a teraz z taką żywiołową klęską społeczną jak bezrobocie poradzić sobie nie może!

Na co nie ma rady nauka, na to ma poradzić ten wszechmocny cudotworca dzisiejszy — władza państwowa. Do niej wyciągają się wszystkie te setki tysięcy bezrobotnych rąk. A tu dług państwowy Wielkiej Brytanji wskutek wojny z pół miljarda zgórą podskoczył na blisko osiem miljardów funtów szterlingów, czyli że wynosi szesnaście razy tyle, co przed wojną. Oszczędzać

trzeba, ale na opiece społecznej oszczędzać nie można. Jak jesienią r. 1922 w mowie na zjeździe w Reading stwierdził poseł robotniczy Clynes, zapomogi dla bezrobotnych od początku obecnej stagnacji przemysłowej w Anglji dotąd pochłonęły przeszło czterdzieści miljonów funtów szterlingów pieniędzy państwowych i gminnych. Gmina Birmingham przed końcem r. 1922 miała przeszło miljon funtów szterlingów ($22^1/_2$ miljona złotych polskich!) nowego długu na zapomogi dla bezrobotnych. Z tą samą cyfrą liczył się Glasgow, gdzie bezrobotnych jest przeszło 71 tysięcy, i gdzie tylko czwarta część dawnej liczby pracowników w przemysłach budowy okrętów i maszyn ma obecnie zajęcie. W osławionej londyńskiej dzielnicy proletaryjskiej *Poplar* już w lecie r. 1922 przeszło 200 osób na każdy tysiąc ludności pobierało zapomogę, a po dojściu do władzy Rządu Mac Donalda w styczniu r. 1924 mowa ministra Wheatley, sankcjonująca hojne rozdawnictwo zapomóg przez tamtejsze władze samorządowe, narobiła nowemu gabinetowi wielkich kłopotów parlamentarnych.

Ale jakkolwiekby krytykowano rozrzutność socjalną państwa, bezrobotni zapomóg pobierać nie przestaną — bo sobie ich wstrzymać nie pozwolą. Na to w ich rękach siła polityczna. Niedarmo od *One Man One Vote Bill* w r. 1913 (ustawy, która zniosła resztki pluralnego głosowania) każdy z nich, choć sam żyje z dobroczynności Państwa, ma równy wpływ na jego sprawy, co ten współobywatel, który płaci najwyższe podatki.

Jeszcze większą siłę polityczną i ekonomiczną, niż bezrobotni, posiadają oczywiście ci, co pracują: zorganizowani robotnicy wszelkich kategoryj.

Robotnik Wielkiej Brytanji zawsze był znany nie-

tylko jako dobrze zorganizowany, dobrze płatny i dobrze żyjący, ale słynął także ze sprawności i wydajności swej roboty.

Czy te przymioty urosły w równej mierze z płacami i z podniesieniem wymagań życiowych?

Odpowiedź daje statystyka dwóch ważnych gałęzi przemysłu, mianowicie wyrobu maszyn i budowy okrętów, zestawiona w r. 1922 przez łączny komitet pracodawców i robotników. Okazuje się, że nietylko w porównaniu z okresem przedwojennym dość znacznie spadła ilość dni i godzin roboczych — to jest normalna tendencja społeczno-ustawodawcza, przyśpieszona jeszcze dziś przez słabą konjunkturę,[1] — ale przedewszystkiem, że wyższa produktywność pracy została tylko tam osiągnięta, gdzie zaprowadzono system „opłaty według wyników“ czyli pracę akordową w ramach normalnego dnia roboczego; n. p. mechanicy, budujący okręt, przy opłacie akordowej zrobili w ciągu 150 godzin to, na co przy opłacie od czasu potrzebowali 490; na budowę całego okrętu przy jednym systemie opłaty trzeba było 10 tygodni, przy drugim — 15, bez różnicy w ilości dziennych i tygodniowych godzin roboczych.

Oczywiście nic tu niema psychologicznie dziwnego, ani nawet moralnie tak bardzo zastanawiającego. Inaczej się rzecz przedstawia, gdy rzucimy okiem na ogólne cyfry produkcji: okrętów zbudowanych w r. 1913 — przeszło miljon tonn, w r. 1919 — tylko 700 tysięcy; napra-

[1] Przed wojną 53—54 godziny roboty w tygodniu; dziś powszechnie obowiązujący tydzień 47-godzinny, a faktycznie 42-godzinny. Przed wojną sześć dni świątecznych na sto roboczych, dziś osiem; przed wojną cztery procent godzin nadobowiązkowych, dziś niecałe trzy.

wionych w r. 1913 — blisko sześć miljonów tonn, w r. 1919 — niecałe cztery. Tu już konjunktury winić nie możemy, bo chodzi wszakże o pierwszy rok po wojnie, gdy na gwałt trzeba było okrętów handlowych na miejsce zatopionych. Wystarczy zresztą zaznaczyć, że w r. 1913 zajętych było 57 tysięcy robotników, a w r. 1919 przeszło 65, i wobec tego wydajność pracy przeciętnego robotnika notorycznie spadła o 41 procent. Na dobitek dowiadujemy się z jednej strony, że wydatki firm na wygody dla robotników znacznie wzrosły — przed wojną na 34 firmy tylko 6 kantyn, po wojnie 20, — z drugiej strony stwierdzono, iż były wypadki oporu robotników przeciwko wprowadzaniu ulepszonej maszynerji. Przypominają się rozruchy „luddystyczne“ przeciwko maszynom w przemyśle na początku XIX wieku. Nic dziwnego, że sprawozdawcy wkońcu, wychwalając pracowitość robotnika niderlandzkiego, belgijskiego i niemieckiego, stawiają przed przemysłem angielskim, szczególnie w zakresie budowy maszyn, widmo zwycięskiej konkurencji zagranicznej w całej jego grozie.

Tak trzeba było uczynić, bo tu już widocznie mamy do czynienia z obniżeniem moralności pracownika. To jest skonstatowany cyfrowo rezultat stuletniej walki Związków zawodowych *(Trade Unions)* o polepszenie bytu robotniczego.

Samo polepszenie materjalne niewątpliwie się dokonało: wystarczy spojrzeć na obrazki egzystencji robotniczej w latach czterdziestych XIX wieku, w takich powieściach jak Disraelego *Sybil*, Dickensa *Hard Times*, pani Gaskell *Mary Barton*, by się przekonać o różnicy. Robotnicy sami więc przynajmniej ze stulecia działalności trade-unionów powinni być zadowoleni. A jednak właśnie oni na te Związki najbardziej narzekają: kongres Związ-

ków w r. 1922 stwierdził fakt, że liczebność członków znacznie spadła. Z robotników górniczych zaledwie 20 procent należy do Związków, a korespondent tygodnika *Nation* z zagłębia walijskiego niedawno bez ogródek powiedział, że górnik zajęty jest tylko dwiema rzeczami: przepijaniem zarobków i przeklinaniem trade-unionów.

Nie może więc być wątpliwości, że podniesienie dobrobytu materjalnego robotnika i zmniejszenie ciężaru jego pracy zostało okupione upadkiem moralności, zarówno indywidualnej, jak korporatywnej.

A dodać jeszcze trzeba, że sama walka o wysokie płace okazała się bronią obosieczną: bo uporczywa niechęć robotnika do zniżenia wysokich wojennych płac przy powrocie do normalnych stosunków po wojnie powoduje drożyznę towaru angielskiego, a przez nią zmniejszenie ilości zamówień zagranicznych, i tak już utrudnionych przez stosunki walutowe. Najlepszej ilustracji znowu dostarczy wspomniany już dwukrotnie, bezkonkurencyjny do niedawna w świecie przemysł budowy okrętów w Anglji. Panuje w nim stagnacja niebywała, gdy tymczasem doki niemieckie pracują jak nigdy, bo ich ceny są bez porównania niższe.

Ale powracając do kwestji moralności robotniczej: gdy tak, jak opisałem, dzieje się na zielonem drzewie, cóż powiedzieć o suchem? Głęboka demoralizacja bezrobotnych rzuca się w oczy wszędzie i ciągle; tak samo demoralizacja ludzi przez zajęcia przygodne i niestałe.

Przed wojną, zagadnąwszy Anglika, dlaczego w Anglji fryzjerami i kelnerami są tylko Niemcy, otrzymałem odpowiedź, że Anglik nie lubi się poniżać przez związane z temi zawodami branie n a p i w k ó w. Niezupełnie to było zgodne z prawdą; ale niewątpliwie dzisiaj manja napiw-

ków urosła do rozmiarów niebywałych, jak na własnej skórze miałem sposobność się przekonać. Anglicy skarżą się, że deprawującym czynnikiem byli tu podróżujący Amerykanie (jak u nas niegdyś bogaci Królewiacy w Zakopanem). Ale już chyba niema winy Amerykanów w takim krzyczącym absurdzie socjalnym (przynajmniej na stosunki angielskie), jak omawiany w gazetach z oburzeniem fakt, że formalną daninę napiwkową, po sześć pensów tygodniowo od domu, pobierają sobie w bogatej londyńskiej dzielnicy Westminster funkcjonarjusze miejscy, mianowicie zbieracze śmieci, sowicie płatni z podatków gminnych, bo pobierający 3 gwineje (3 funty 3 szylingi) tygodniowo, prócz ubrania do roboty i innych beneficjów.

Inny przykład zaniku skrupułów moralnych, a raczej zastanowienia. Czytam w gazecie wieczornej taką anegdotkę z życia dziatwy szkolnej: W szkole, gdzie ubogie dzieci w myśl ustawy z r. 1906 otrzymują bezpłatne śniadania, córka robotnika bez zajęcia raz na śniadanie się nie zjawia i potem wyjaśnia, że dziś było dobre śniadanie w domu. Na radosne zapytanie nauczycielki: „Pewnie tatuś znalazł robotę?“ odpowiada: „Nie, ale koń wygrał!“ Gra w totalizatora z ulubionego zdawna środka miłego odświętnego podniecenia staje się stałym przedmiotem hazardowej spekulacji dla człowieka, odwykającego od uczciwej pracy. I nie jest to *ben trovato*, tylko niestety *vero*.

3.

Ale wdrapmy się raz jeszcze na zielone drzewo, i to do wyższych jego gałęzi, skąpanych w słońcu wykształcenia. W ciągu r. 1922 Rząd uznał za potrzebne przy-

musowo przedłużyć godziny biurowe w urzędach administracyjnych, jako że były i krótkie i słabo przestrzegane. Posypał się w gazetach grad drwiących uwag o licznych zabawach, które sobie różne grona urzędników urządzają po restauracjach i salach balowych. Jest to nader znaczące, bo wysoka etyka i sprawność *Civil Service* była zawsze przedmiotem dumy patrjotycznej.

„Przy sposobności“ przeciwnicy Lloyd George'a nie omieszkali podnieść, jak wiele ta maszynerja kosztuje w stosunku do wydajności swej pracy. Dowiadujemy się z *Daily Mail,* że komisja budżetowa w swem sprawozdaniu o preliminarzu nie mogła się powstrzymać od uwagi, iż „mogłoby być mniej formularzy, rozsyłanych do wypełniania podatkowcom“. Dziennik wygrzebał skądś znamienny fakt, że na druki i papier Państwo wydawało przed wojną niewiele ponad miljon funtów, a dziś wydaje blisko półczwarta!

Poważniejszą jest druga sprawa, żywo dyskutowana w prasie w chwili, gdy to pisałem. Generalny kontrolor Państwa wydał sprawozdanie o finansowej stronie polityki aprowizacyjnej Państwa w czasie wojny, i jak było do przewidzenia, okazuje się, że ta polityka najelementarniejszej krytyki ekonomicznej nie wytrzymuje. Państwo straciło przeszło półszosta miljona funtów szterlingów na słoninie, trzy miljony na mięsie australijskiem, a miljon blisko na porzeczkach (!). Sprawozdanie z żalem stwierdzało, że był „opłakany brak dokładności“ w funkcjonowaniu Ministerstwa aprowizacji. Jako zaś najskandaliczniejszy kwiatek wyszło na jaw, że jedna firma (John Layton i Ska) otrzymała za dostarczaną przez nią chińską słoninę „przez omyłkę“ tylko o ćwierć miljona funtów

szterlingów za dużo, z czego faktycznie odzyskano tylko 100.000. Firma się broni, ale — *aliquid haeret.* Dwaj urzędnicy, którzy byli winni, według sprawozdania „opuścili Ministerstwo". „To malutko", powiedziałby boyowski Pan Bóg.

Takie rewelacje trafiają w tę najczulszą strunę obywatela, którą szczególnie były poddany austrjacki dobrze pamięta: apelują do niego jako do „podatkowca". Co się za jego pieniądze robi, ma chyba prawo zapytywać ten, kto, jak dzisiejszy Anglik, płaci 4—5 szylingów podatku na funt dochodu, czyli jedną czwartą swych zarobków oddaje Państwu, — a pamięta dawne dobre czasy, gdy podatek osobisto-dochodowy nie przekraczał szylinga na funt, czyli jednej dwudziestej.

Nietylko pracuje z niebywałym naciskiem śruba podatkowa, ale pracowało jakiś czas okrutniejsze jeszcze narzędzie: „siekiera" sir Eryka Geddes i jego komisji rzeczoznawców finansowych; zastosowana do budżetu r. 1922, wyrąbała zeń około 70 miljonów funtów szterlingów oszczędności. Podniosło się *larum* w kołach prawowiernych socjalistów państwowych na tę „bankierską gospodarkę". Szczególnie głośno narzekało się i narzeka na upośledzenie szkolnictwa narodowego przez tę chirurgję budżetową, bezlitośnie rzeczywiście amputującą subwencje dla szkół. Znakomity powieściopisarz Wells, wystawiony jako kandydat do parlamentu z uniwersytetu londyńskiego przez partję socjalistyczną, powiedział w swej mowie kandydackiej, że ile razy widzi konną gwardję królewską w jej błyszczących pancerzach i czerwonych kurtach, to sobie powiada, że ona jest ubrana w krzywdę biednych dzieci szkolnych.

Pewnie, że to demagogja, i lepszy Geddes ze swą siekierą, niż nasze trwonienie miljardów na nowe uniwersytety, których ani obsadzić ani zaopatrzyć należycie nie możemy. Koniec końców, powie Polak, Anglja nie zna tej najgorszej klęski naszego życia gospodarczego — drożyzny.

Anglja z żelazną konsekwencją prowadzi nieubłaganą politykę deflacji. Inflacja papierowa, główna cecha gospodarki pieniężnej wszystkich państw w okresie wojny, coprawda panowała w Anglji jeszcze dłuższy czas po wojnie, i przyniosło to nawet swoje pomyślne skutki w postaci ożywienia przemysłu. Dziś deflacja jest na porządku dziennym,[1] i znamy jej namacalne wyniki: wiemy, jakie stanowisko zajmuje pieniądz angielski na rynku światowym. W kraju wprawdzie niema w obiegu złota, które przed wojną tak obficie kursowało, ale banknoty jedno- i półfuntowe nie budzą u nikogo nieufności ani lekceważenia i mają ustaloną siłę kupna.

Mimo to raz wraz rozlegają się głosy, że dobrodziejstwa deflacji są za drogo okupione zastojem w przemyśle, zniżeniem płac roboczych, ograniczeniem wydatków Państwa na żywotne cele społeczne; że deflacja służy raczej klasie finansistów niż masom pracującym; nadewszystko, że polityka deflacyjna przeszkadza stopniowemu zmniejszeniu olbrzymiego długu państwowego, który przeciw-

---

[1] Pogłoski o przejściu z powrotem do inflacji, kursujące w jesieni r. 1923 po giełdach, rychło zostały zdementowane i stłumione. Były zresztą jedną z zapowiedzi agonji konserwatywnego Rządu Baldwina, który w rozpaczy myślał może chwilowo i o takim środku poprawy. Ale ostatecznie nie chwycił się tego środka nawet Rząd robotniczy Mac Donalda.

nie w przeciągu dwóch lat 1921 i 1922 urósł o całych 50 procent.

Możemy jednak trudne kwestje polityki skarbowej pozostawić fachowym ekonomistom. Sami zaś przyjrzyjmy się bez uprzedzeń teoretyczno-programowych, czysto doświadczalnie, sprawie drożyźnianej z punktu widzenia „człowieka na ulicy“, jak lubi mówić Anglik.

Rzeczywiście, drożyzny w Anglji niema w znaczeniu tego galopującego wzrostu cen, który szalał w pierwszych latach powojennych w Niemczech lub u nas, nie mówiąc już o Austrji lub Rosji. W Anglji ceny naogół są zaledwie o połowę wyższe, niż przed wojną. Wyjątek — dzięki dobrej organizacji zawodowej robotników — stanowią taryfy kolejowe, wyższe bez porównania od przedwojennych: to też wielkie Towarzystwa kolejowe, straciwszy miljony wskutek zmniejszenia ruchu pasażerskiego wobec wysokich cen jazdy, musiały się zdecydować zniżyć je od Nowego Roku 1923 o $^1/_4$ pensa *(farthing)* za każdą milę angielską, co stanowiło poważną różnicę.

Przykład prywatnym przedsiębiorstwom kolejowym dało przedsiębiorstwo rządowe użyteczności publicznej: p o c z t a, która, zniżywszy swe opłaty do poziomu 50% ponad przedwojenny, zyskała przez zwiększony po tej zniżce ruch korespondencyjny cztery miljony funtów więcej dochodu za pięć miesięcy r. 1922 w porównaniu z pięciu poprzedniemi. Co najważniejsza w obecnem socjalnem położeniu Anglji, zyskało przez to nowe posady blisko pięciuset ludzi.

O ile chodzi o koszt życia, ceny w porównaniu z wojennemi poszły energicznie wdół, i w niejednem miejscu Londynu na olbrzymich plakatach już można widzieć ra-

dosne obwieszczenia, że ten lub ów artykuł sprzedaje się po cenach przedwojennych.

4.

Ale czy te olśniewające cyfry są rzeczywiście wyrazem nie mniejszego niż przed wojną dobrobytu?

Że król angielski musiał sprzedać część swych koni, i jacht królowej-matki Aleksandry poszedł na licytację, temu winien sir Eryk Geddes, i to tu w rachubę nie wchodzi.

Że wielu arystokratów musi „dłużej niż dawniej nosić ubrania“ i nawet „ograniczać się co do wieczorów w teatrach i restauracjach“ (wielki Boże!); że, co więcej, dawno naruszone jest stare prawo zwyczajowe, według którego sprzedaż ziemi była czemś w rodzaju świętokradztwa, i wciąż bywają ogłaszane na sprzedaż zarówno wielkie majątki,[1] jak i wspaniałe domy miejskie, — na to moglibyśmy machnąć ręką.

Że z drugiej strony robotnik bezrobotny wpada w ostateczną nędzę, to okropne, ale i konieczne i nie nowe. Oszczędność nigdy nie była wybitną cnotą narodu angielskiego, — zawsze drwił ze Szkotów jako dusigro-

[1] Przez kilka miesięcy r. 1922 jedna wielka agentura w arystokratycznej dzielnicy Londynu (Knight, Frank i Rutley na Hanover Square) pośredniczyła w sprzedaży 75.000 akrów angielskich majątków ziemskich za łączną sumę półtora miljona funtów szterlingów.

Tak wygląda „reforma rolna“ bez osobnej ustawy. Ale nie daje ona, jak zobaczymy, rezultatów w postaci licznych średnich gospodarstw wiejskich. Majątki kupują przeważnie poprostu nowi bogacze.

szów, sam lubił dużo wydawać. A lekkomyślna rozrzutność proletarjusza przedwojennego wzmogła się z ogromnemi zarobkami klasy robotniczej w czasie wojny. Przypomniało się to w jesieni r. 1922, gdy odbywała swój zjazd doroczny niezmiernie pożyteczna instytucja drobnooszczędnościowa, którą pod nazwą *War Savings* założył w r. 1916 sir Robert Kindersley, z myślą przedewszystkiem o zachęceniu narodu do koniecznego wtedy ograniczenia konsumcji, a która teraz rozwija się dalej pod nazwą *National Savings Committees*. Stanowi ona tę nieocenioną rzecz, którą wszyscy nasi ministrowie skarbu tak gorąco pragną i u nas stworzyć: absolutnie pewną lokatę drobnych kapitałów przy wszystkich fluktuacjach rynku pieniężnego. Tej to instytucji przy jej powstaniu zorganizowany ruch robotniczy ani nie poświęcił uwagi, ani nie okazał poparcia. Dziś, w czarnej godzinie bezrobocia, przydałby się bardzo uciułany grosz, ale go niema.

Zdawało się już przed wojną, że skutecznym środkiem uzdrowienia społecznego uprzemysłowionej Anglji będzie podniesione jeszcze przez Disraelego hasło: *Back to the Land!* — wskrzeszenie upadającego rolnictwa. Gorliwą propagandę w tym kierunku prowadził szczególnie powieściopisarz Rider Haggard, a rząd Lloyd George'a starał się uczynić coś stanowczego przez *Small Holdings Act* (1909) — ustawę o tworzeniu małych gospodarstw przy pomocy Państwa. Ale mało kto się do tego dobrodziejstwa garnął. Wojna zmusiła Anglików do intensywniejszej uprawy swej ziemi; nawet parki wielkopańskie szły pod ogrody warzywne. Można było myśleć, że po demobilizacji zacznie się „osadnictwo wojskowe“ na roli, daleko potężniejsze niż u nas. Ta nadzieja zawiodła. Według jednomyślnego świadectwa obserwatorów ucieczka

ze wsi do miast przemysłowych trwa dalej z niezmniejszoną siłą. Niedawno pojawił się w *Daily Mail* zabawny a prawdziwy obrazek: wzbogacony wieśniak wraca własnym automobilem „ze świata“ i dowiaduje się, że w jego wsi rodzinnej zostali przeważnie tylko starzy niedołędzy, że niema tam już ani probostwa, ani poczty, ani nawet szynku, bo wszystko to z powodu zmniejszonego ruchu ludności „scentralizowano“ w jednej z pobliskich gmin na całą okolicę.

Więcej widoków może ma, ale bardzo widocznych owoców także dotąd nie przynosi, ta usilna reklama, którą australscy i kanadyjscy mężowie stanu robią w gazetach londyńskich nieskolonizowanym a bogatym obszarom swych państw, jako wdzięcznym terenom dla emigracji rolniczej. Niema snadź w masach proletarjatu przemysłowego tej tężyzny, której na taką wyprawę potrzeba. Niema też kapitału zakładowego, ani wykształcenia fachowego. Rzecz nie jest tak prosta, jak się wydaje, i niewiadomo, czy jakie środki zaradcze wymyśli komisja, ustanowiona dla zbadania całego programu agrarnego przez nowy Rząd Mac Donalda. Po upadku wznowionego programu ceł ochronnych przy wyborach r. 1923 rolnik angielski w dalszym ciągu bezbronny jest wobec konkurencji tańszego obcego zboża, i już w jesieni tegoż roku na zjeździe angielskiego Związku producentów rolnych jego przewodniczący Mr. German radził rolnikom angielskim zmienić na pastwiska resztę roli, znajdującej się jeszcze pod pługiem.

Jednak nie według arystokratów, nie według robotników, nie według zamierającej po dawnemu wsi angielskiej sądzić można o poziomie dobrobytu narodowego. Właściwym jego probierzem jest położenie klasy średniej. Nie brak oznak, że ono się faktycznie pogorszyło.

Niema czytelnika-inteligenta w Polsce, coby nie znał z własnego doświadczenia b o l ą c z k i m i e s z k a n i o w e j. Człowiek, co wróciwszy po siedmiu latach z Syberji, przez pół roku był bez mieszkania w Krakowie, nie bez złośliwej radości się dowiaduje, że w Anglji bieda mieszkaniowa także się daje we znaki. Nie znać jej może po wyglądzie Londynu. Wyrosło w tych latach i rosło w r. 1922 i 1923 na moich oczach więcej olbrzymich gmachów, szczególnie publicznych i handlowo-przemysłowych, niż za któregokolwiek poprzedniego pobytu. Ale w miastach mniejszych szczególnie zastój w ruchu budowlanym doskwiera obywatelowi stanu średniego co niemiara, i poziom wygód bez pardonu się obniża. Dowiadujemy się z gazet, że w dzielnicy londyńskiej St. Pancras władza sanitarna uznała za niemożliwe interwenjować w wypadkach przepełnienia mieszkań i spania w suterenach (straszne, nieprawdaż?), bo poprostu ludzi niema gdzieindziej podziać. A od osób z prowincji wiem, że ludzie, którym się przedtem o tem nie śniło, zajmowali w kilka rodzin jedno mieszkanie, jak w dzikich krajach wschodniej Europy. Przysłowie: „Dom Anglika, to jego twierdza“ niedługo tak samo, straci znaczenie, jak je straciły w strategji twierdze w czasie wojny światowej.

Oczywiście w Anglji niema „ochrony lokatorów“ w tej postaci, co we wspomnianych przed chwilą krajach. Ale jest w każdym razie *Rent Restriction Act*, ustawa o państwowej kontroli nad wysokością czynszu, ważna do r. 1925. Za rządów konserwatywnych w r. 1923 uchwalono stopniowe zniesienie ograniczeń co do czynszu *(de-control)* do trzech lat. Rząd robotniczy Mac Donalda przedłużył ten okres do r. 1928. Ale niewiele to ponoś pomoże, bo dyskusje nad reformą ustawy w r. 1922 dostatecznie jasno

wykazały, że angielska ustawa o ochronie lokatorów tak samo mijała się z celem, jak nasza. Istnieje i w Anglji ten kwiatek cywilizacji lichwiarskiej, który znamy, jako „odstępne“: jakiś adwokat w artykule o reformie prawa mieszkaniowego wspomniał jako przykład, że za marne cztery pokoje w niezbyt pokaźnej dzielnicy Londynu, warte przed wojną 65 funtów szterlingów rocznie, żąda się *premium* w sumie tysiąca funtów za pięć lat. I jak u nas, zwala się na lokatora ciężar wszelkich reparacyj, przekłada na jego barki ciężar podatku od nieruchomości. W pierwszej z tych dwóch spraw Państwo wywiera nacisk na właścicieli kamienic, w drugiej jest bezsilne. Tak więc w dzielnicy londyńskiej Bermondsey rozesłano 200 wezwań do właścicieli, by puste i zaniedbane domy przysposobili na mieszkania pod groźbą egzekucji. Z drugiej strony zaś lokator jednego z pięciu mieszkań w pewnym domu w Willesden bezskutecznie wniósł skargę przeciwko włożeniu nań całego ciężaru podatków gminnych za tamtę cztery lokale, których mieszkańcy okazali się niewypłacalnymi: sędzia mógł mu tylko wyrazić współczucie.

Ale kłopoty mieszkaniowe, wynikające z braku nowych domów, przecież jeszcze nie mogą służyć jako argument, że stanowi średniemu wogóle się gorzej powodzi. Dowodów na to trzeba szukać w innej sferze: w tej dziedzinie mianowicie, która zawsze jest główną troską drobnomieszczanina i inteligenta, w dziedzinie wychowania dzieci.

Znamienną jest rzeczą, że uprawiana już przed wojną w Anglji propaganda eugeniki, czyli starań o jakościowe raczej niż ilościowe poprawienie rasy, przybiera obecnie najwyraźniej kształt powrotnej fali maltuzjanizmu. Niedawno powstałe i głośno rekla-

mowane „Towarzystwo dla ograniczenia przyrostu ludności“ (*Society for Promoting Birth Control)* cieszy się nawet współpracownictwem wysokich dygnitarzy Kościoła anglikańskiego. Znamienną jest rzeczą, że do książki *Conception Control and its Effect on the Individual and the Nation* przez doktorkę medycyny lady Barrett (Londyn, John Murray, 1922) przedmowę napisał sam prymas Państwa, arcybiskup kanterburyjski. Nie chodzi tu o broszurę propagandystyczną, tylko o poważną naukową rozprawę, omawiającą wszystkie *pro* i *contra,* ale czy słyszał kto kiedy dawniej w Anglji o udziale duchowieństwa w publicznej dyskusji takich spraw, — ba, o ich publicznej dyskusji wogóle? Dziś wychodzi nawet miesięcznik *Birth Control News.* Wreszcie jako jeden jeszcze charakterystyczny przykład tej zmiany postawy pozwolę sobie przytoczyć fakt, że środki, służące w praktyce takim celom, dawniej starannie ukrywane przed okiem ludzkiem, dziś wraz z masą odpowiedniej literatury agitacyjnej — a niestety po części i pornograficznej — otwarcie zalegają całe wystawy specjalnych sklepów i noszą takie sentymentalne nazwy, jak n. p. *The Poor Man's Friend* („przyjaciel biednego człowieka“). Widziałem pary, zatrzymujące się przed takiemi wystawami i swobodnie rozprawiające o nich. *Où sont les neiges d'antan* — gdzie jesteś, hipokryzjo purytańska?

Ale właściwie nie o nieistniejących dzieciach chciałem mówić, tylko o istniejących. Że z początkiem nowego roku szkolnego 1922/3 lekarze szkolni znaleźli 20% dzieci, stanowczo chorych i wymagających specjalnego leczenia, w szkołach londyńskich, i uderzyli na alarm, że jeszcze nie dość się wydaje na opiekę sanitarną: to należy do statystyki proletarjatu. Znamienne natomiast dla położe-

nia stanu średniego jest, że z tej samej okazji, jeszcze przed początkiem tego nowego roku szkolnego, posypały się w listach do redakcyj pism skargi rodziców na podniesione i niemożliwe do opłacenia koszta wykształcenia w tych wielkich internatowych szkołach średnich, które są chlubą Anglji i celem ambicji każdego ojca dla swych synów. Gdy ceny w Eton i Harrow podniosły się z przedwojennych 150 do blisko 240 funtów szterlingów rocznie, wielu ojców z żalem odmówić sobie musi posłania swych synów do jednego z tych dwóch najsławniejszych zakładów. Studja uniwersyteckie oczywiście także nie potaniały, i syn doktora lub adwokata, zamiast, jak zwykle dotąd w Anglji, sposobić się do zawodu ojca, musi poprzestawać na skromniejszej pod względem towarzyskim, choć może z czasem intratniejszej, karjerze w banku lub kantorze kupieckim.

Trochę w tych lamentach typowego angielskiego snobizmu. Eton i Harrow były magnesami nie dla szczególnie dobrej nauki, ale dlatego, że tam się uczyli synowie arystokracji i plutokracji — *the best set.* Można więc bez wielkiego współczucia pocieszać strapionych rodziców tem, że są liczne prywatne szkoły średnie, nie gorsze jakościowo, choć tańsze i mniej dystyngowane.

Ale czy szkoły o mniejszej reputacji, szczególnie po drakonicznem obcięciu subsydjów rządowych przez komisję Geddesa, mogą rzeczywiście przyciągać najlepsze siły nauczycielskie, a nadewszystko dbać o to podniesienie poziomu naukowego, którego opinja publiczna coraz energiczniej się domaga? Oto pytanie, które musi dręczyć rodziców klasy średniej, zwłaszcza że bezustannie naokoło słyszą i czytają o potrzebie gruntownych reform w szkolnictwie.

Istotnie, dawno nie było w życiu angielskim okresu, w którym sprawa reform szkolnych byłaby tak aktualna i tak gorliwie omawiana. Zanosiło się na to już przed wojną. Przypomnijmy sobie *Education Act* z r. 1902 i przewrotowy projekt lorda Haldane, dążący do upaństwowienia całego prywatnego szkolnictwa średniego według wzorów niemieckich, wreszcie napaści na przewagę języków klasycznych w systemie uniwersyteckim.

Wojna przyniosła nowe doświadczenia. Wciągnięci w kataklizm europejski, Anglicy zdali sobie sprawę, jak mało znają Europę; walcząc na polach Francji, odczuli boleśnie, jak mało umieją po francusku; sojusz z tajemniczą Rosją był łamigłówką dla narodu, nie znającego ani jej języka, ani jej stosunków; triumfy techniki niemieckiej były przykrem przypomnieniem braków w angielskiem wykształceniu przyrodniczem.

Zaczęły się protesty przeciwko monopolowi łaciny i greki, oraz „matematyki czystej“ w szkołach średnich i uniwersytetach; żądano kategorycznie intensywniejszej nauki języków żyjących i przedmiotów przyrodniczych; rozległy się głośniejsze niż kiedykolwiek narzekania na średniowieczny z gruntu ustrój i filozoficzną bezpłodność obu starych uniwersytetów angielskich. Z drugiej strony te uniwersytety same — Oxford i Cambridge — dotąd żyjące ze swych bogatych fundacyj w dumnej niezależności i finansowej i organizacyjnej od Rządu, po wojnie były zmuszone same zwrócić się do Rządu po pomoc pieniężną na swą rozbudowę naukową.

Wobec tego wszystkiego Rząd jeszcze w czasie wojny — gdy miał zgoła inne troski — uznał za stosowne powołać kilka komisyj z poważnych fachowców do wszechstronnego zbadania sprawy reform w różnych dzie-

dzinach wychowania. Zrodziło się kilka nader zajmujących *Reports*, które zapełniają całe tomy.

Najmniej rewolucyjnem, jak było do przewidzenia, jest sprawozdanie o uniwersytetach. Powściągliwość tu dyktowała nietylko głęboka cześć Anglika dla tych historycznych siedzib wiedzy i dla ich samorządu, ale poprostu także jasny fakt, że z uniwersytetami w Oxfordzie i w Cambridge nic zrobić nie można. Zreformować ich średniowieczną kolegjalną strukturę, znaczyłoby to zburzyć je — nawet w dosłownem znaczeniu, bo są rozsypane po oddzielnych internatach! — i postawić całkiem nowe instytucje na ich miejscu. A że instytucje takie obok nich już istnieją w postaci nowoczesnych uniwersytetów prowincjonalnych w centrach przemysłowych (Birmingham, Leeds, Sheffield, Manchester, Liverpool, Cardiff) i uniwersytetu londyńskiego, który jest całem muzeum rozmaitości akademickich, więc co do Oxfordu i Cambridge „komisja królewska“ poprzestała na kilku delikatnych projektach ulepszeń [1] w kierunku zapewnienia profesorom i docentom większej ilości wolnego czasu na pracę naukową przez odciążenie ich w sprawie agend administracyjnych i egzaminów — prawdę powiedziawszy, mają już i tak wolnego czasu daleko więcej, niż profesorowie i docenci u nas, — dalej w kierunku podniesienia wymagań przy egzaminach wstępnych celem uwolnienia uniwersytetów od balastu nauczania elementarnego, po

[1] Całe konkretne rezultaty prac komisji w stosunku do obu starych uniwersytetów streścił na kilku stronicach B. F. Henderson w miesięczniku *The Nineteenth Century and After* (zeszyt październikowy, 1922, artykuł *Oxford: Ideals, Realities, Reforms)*. Specjalnie o Cambridge zaś pisał sławny filolog klasyczny sir William Ridgeway w październikowym zeszycie *Quarterly Review* w r. 1922.

trzecie w kierunku obostrzenia dyscyplinarnej kontroli nad faktycznemi postępami młodzieży w nauce (w Anglji nigdy nie było „wolności akademickiej"), — wreszcie — najnieśmielej, bo to najdemokratyczniejsze — w kierunku dopuszczania dorosłych ludzi bez programowych studjów do korzystania w pewnym stopniu z dobrodziejstw nauki uniwersyteckiej. Na to ostatnie już peruki profesorskie się trzęsły, jak często i gdzieindziej wobec idei „Uniwersytetu ludowego". Ale właśnie tej tendencji daleko pełniejszy jeszcze wyraz dała nowa ustawa o szkolnictwie z r. 1918, reorganizując całą ogromną dziedzinę tak rozwiniętej w Anglji prywatnej oświaty pozaszkolnej dla dorosłych, i poddając ją łącznemu zarządowi władz miejscowych i uniwersytetów. [1]

Ciekawsze dla nas ze względu na większe podobieństwo omawianych urządzeń do naszych są *Reports* o przedmiotach nauczania w szkołach średnich. Jako filolog czuję się powołanym mówić tylko o tych, które traktują o nauce języków i literatur.

Najgrubszy tom z nich, nader piękny i solidny, to oczywiście memorjał światłych obrońców klasycyzmu. Ale to szlachetni rycerze sprawy straconej. Daleko oczywiście w Anglji do tego poziomu nieuctwa w kulturach klasycznych, do którego szybko dochodzi cały kontynent Europy. Jeszcze się tu pisze po grecku i po łacinie prozą i wierszem, jeszcze czytuje, nawet w gazetach, cytaty

---

[1] Od jesieni r. 1923 nawet w starym, ultra-konserwatywnym Oxfordzie istnieje komisja dla kierowania powszechnemi wykładami uniwersyteckiemi *(Board of Extra-Mural Studies)*. Por. moją broszurę *Nauka a oświata pozaszkolna* (przedruk z czasopisma „Oświata pozaszkolna"), Warszawa, 1924.

z autorów klasycznych. [1] Ale w systemie wymagań egzaminacyjnych jedna placówka za drugą nieuchronnie pada, i kierunek jest widoczny. Niedawno niejaki p. W. F. R. Hardie na doroczny, rozpisywany w Cambridge z fundacji imienia Gaisforda, konkurs na rozprawę prozą po grecku napisał arcydowcipny Dialog na sposób Lukjana, toczący się w podziemiach między Sokratesem a takimi typowymi a różnorodnymi przedstawicielami dzisiejszej Europy, jak Lloyd George, irlandzki rewolucjonista de Valera, Trockij, znany literat i kpiarz Chesterton i wreszcie światły filozoficzny krytyk dzisiejszych tendencyj społecznych, dziekan katedry św. Pawła w Londynie, Dr W. R. Inge. Otóż recenzent w *Times Literary Supplement* słusznie musiał stwierdzić, że z tych znamienitych interlokutorów jedynie czcigodny duchowny anglikański mógłby naprawdę ocenić w ich całej subtelności i mistrzostwie stylistycznem te greckie elukubracje, jakie im w usta wkłada uczony autor.

Najciekawsze dla nas bezwątpienia musi być sprawozdanie o reformie nauki języków nowszych. Góruje nad niem myśl nie nowa, ale szczególnie cenna obecnie. Jeszcze w r. 1907 na kongresie neofilologów niemieckich w Monachjum z ust profesora literatury francuskiej w Würzburgu, H. Schneegansa, usłyszałem w mowie inauguracyjnej słowa, którym gorąco przyklasnąłem: *Wir sollen nicht blos Lehrer des Französischen und Englischen sein, sondern Lehrer Frankreichs und Englands.*

---

[1] W chwili, gdy to pisałem, właśnie *Daily Telegraph* w artykule wstępnym na temat nieporozumień pomiędzy Lloyd Georgem a partją robotniczą w sprawie Bliskiego Wschodu zacytował Tacyta: *nota inter fratres odia.*

Tę tendencję głosi i obecny angielski memorjał. *Regional studies* — studja nad całemi krajami i narodami w zwierciedle ich języka, historji, ekonomji, obyczajów — oto ideał. Ideał to zaiste najgodniejszy tego narodowościowego układu politycznego świata, ku któremu wielka wojna przecież przynajmniej do pewnego stopnia nas zbliżyła. Takie wzajemne poznawanie się narodów jedynie może przyczynić się do tego, że Liga Narodów stanie się kiedyś rzeczywistą siłą. Trzeba będzie starać się o to i u nas, by w kraju, nareszcie wyzwolonym z pod jarzma obowiązkowej nauki niemieckiego i rosyjskiego w szkołach średnich, języki zachodnie — francuski i angielski — w tych szkołach były wykładane tak, żeby istotnie „uczyć Francji i Anglji".

Wartości cywilizacyjne wielkich kultur europejskich w wychowaniu szkolnem, jak słusznie stwierdza sprawozdanie angielskie, mają nietylko żywotne znaczenie praktyczne w świecie dzisiejszym, ale mogą stać się w ideowej budowie wykształcenia surogatem zanikającego z konieczności pierwiastka klasycznego. Najstosowniej i najlepiej jednak ma ten pierwiastek kultury humanistycznej zastąpić — według zdania autorów trzeciego Memorjału — język ojczysty i jego literatura. Studjum literatury angielskiej zawsze było lekceważone i po macoszemu traktowane w niższych i wyższych szkołach angielskich: wszak dopiero w moich studenckich czasach zmarły profesor sir Walter Raleigh rozpoczął pierwsze seminarjum literatury angielskiej w uniwersytecie oxfordzkim w r. 1905. Teraz ma być z gruntu inaczej. Autorowie memorjału, zgodnie z wielką tradycją parlamentarną angielską, kładą też należyty nacisk na sprawę językowego, stylistycznego i oratorskiego wyrobienia obywatela przez szkołę. Znowu

nasuwają się myśli o tem, jak zgoła nową i daleko potężniejszą rolę powinien teraz odgrywać język polski i literatura polska w naszym systemie wychowania. O znaczeniu poetów dla naszej politycznej przeszłości i przyszłości mówiłem tutaj w mej prelekcji inauguracyjnej w uniwersytecie londyńskim, o potrzebie i sposobach oratorskiego wyszkolenia młodzieży akademickiej pisałem niedawno w artykule *Uniwersytety a wychowanie obywatelskie* w książce zbiorowej *O naprawę Rzeczypospolitej.*[1]

Potrzeby — i sposoby: *ways and means*, jak to nazywa technika budżetowa angielska; zaletą wspomnianych trzech angielskich *Reports* właśnie jest, że traktują i jedno i drugie. Nietylko „poruszają kwestje aktualne", stwierdzają kierunki rozwoju i stawiają programy zasadnicze, ale podają odrazu cały szereg środków i metod do urzeczywistnienia tych myśli. Wiele z tych projektów naprawdę wcieli się w czyn, to „leży" — jak mówi Homer — „na kolanach bogów" (czyli Rządu). Wszak i daleko idące pomysły reformatorskie lorda Haldane w małej tylko mierze zostały urzeczywistnione. Właśnie też dzięki temu cały system przeróżnych szkół średnich i najrozmaitszego typu uniwersytetów, nie uzależniony dotąd od kierownictwa rządowego, doszedł dziś do stanu chaosu, który w rozpacz wprawia nietylko obcego obserwatora, ale czasem i samych Anglików, jak to niżej podpisany n. p. miał sposobność zauważyć na dość bezradnej i bezładnej konferencji angielskich profesorów sławistyki nad ujednostajnieniem nauk słowiańskich w uniwersytetach. Że w przyszłości konieczną się okaże większa niż dotąd ingerencja Rządu na cały ustrój wychowania publicznego,

[1] Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1922.

i że znacznie się rozszerzą agendy najmłodszego i najskromniejszego z Ministerstw angielskich (jakiem było przed wojną Ministerstwo oświaty), to napewno przepowiedzieć można. Już dziś zajmuje ono olbrzymi budynek z ogromnemi kompleksami biur przy ulicy Whitehall i pokrywa całe szkolnictwo krajowe gęstą siecią inspektorskiego nadzoru. Już ujęto także organizację badań naukowych (szczególnie przyrodniczych) i wynalazków technicznych w ramy społeczne przez utworzenie *Industrial Research Department* (czegoś w rodzaju naszego „Wydziału Nauki").

Jeszcze energiczniej do korzenia spraw pedagogicznych, niż wspomniane trzy Memorjały, sięgnął p. Alec Waugh w świeżej swej książce o internatowych szkołach średnich. [1]

Memorjały traktowały głównie o doborze przedmiotów nauki i metodzie ich wykładania. My przywykliśmy wielbić szkoły angielskie nietyle za wykształcenie umysłowe, jakie dawały — wiedziało się, że to jest ograniczone i przestarzałe, — ile za wychowanie charakteru i kulturę fizyczną. Autor przytoczonej książki odważnie jął się tego właśnie przedmiotu i ku niemałemu poruszeniu opinji publicznej ośmielił się nareszcie powiedzieć, że za dużo było w angielskim systemie przesadzonego kultu dla sportów, a w szczególności, że sporty nie osiągały tego celu wychowawczego, jakim miało być odwrócenie uwagi ucznia od pierwszych poruszeń popędu płciowego. Nie zawahał się nazwać po imieniu pederastji, jako znanego powszechnie, ale nigdy dotąd publicznie nie dysku-

[1] Alec Waugh: *Public School Life.* Londyn, Collins, 1922.

towanego ujemnego wyniku anty-koedukacyjnego ascetyzmu angielskich szkół internatowych.

Żyjemy w innych zgoła warunkach w Polsce i raczej za mało niż za dużo wciąż jeszcze mamy kultury fizycznej. Ale dzięki propagandzie ćwiczeń cielesnych mamy już i wśród naszej młodzieży typy „hijen sportowych“ o nieprzyjemnie zacieśnionej mózgownicy, więc część przynajmniej nauk autora i u nas ma zastosowanie.

Przy tej sposobności warto mimochodem wspomnieć i o drugiej śmiałej książce treści pedagogicznej. Seymour Hicks (znany także jako komedjopisarz) w grubej wiązance najrozmaitszych wskazówek praktycznych omawia różnorodne małe i wielkie *Trudności*,[1] jakie napotyka młody człowiek przy wstąpieniu w życie. I ten autor także odrzucił tradycyjną pruderję angielską i omawia stanowczo a rozważnie zagadnienia płciowe. Tej dawniej niezwykłej, ale obecnie coraz częstszej śmiałości towarzyszy nawet już reakcja ze strony przeciwnej: na anglikańskim kongresie kościelnym w Sheffield w r. 1922 zgóry wykluczono solennie z dyskusji kwestje etyki seksualnej, a to dlatego, że sparzono się na poprzednim kongresie na gorsząco otwartem ich omawianiu: stąd to „dmuchanie na zimne“. W centrum dyskusji na tym kongresie natomiast stał problemat „nawracania“, poruszony przedtem w bardzo śmiałym liście do redakcji jednego z dzienników na temat „bezużyteczności akcji misjonarskiej w kolonjach“. Powtóre zaś, jak przy wszystkich tego rodzaju okazjach w Anglji, głośno znowu na tym kongresie rozległo się hasło zjednoczenia chrześcijań-

[1] Seymour Hicks: *Difficulties: an Attempt to Help.* Londyn, Duckworth, 1922 (318 str.).

stwa: wydany przez arcybiskupa kanterburyjskiego apel w tej sprawie do dysydenckich sekt w Anglji *(Lambeth Appeal)* dał nowy impuls. Wyraźnie zawsze w tych wypadkach zaznacza się ciążenie wyższych sfer Kościoła anglikańskiego ku porozumieniu z Rzymem. Podnieść jednak muszę, choćby to komu z czytelników miało sprawić przykrość, że sprawy te wielkiej żywotności w opinji publicznej nie mają i namiętności — ani za, ani przeciw — nie budzą.

5.

Daleko odbiegłem od problematów ekonomicznych i stanowych, w które mimowoli zabrnąłem w tych impresjach. Czytelnikowi nawet wydawać się mogło, że pod wpływem kilkuletnich doświadczeń w Rosji sowieckiej stałem się jednostronnym, poświęcam sprawom gospodarczym więcej uwagi, niż się im przy rozpatrywaniu całokształtu życia społecznego należy, i widzę je same w fałszywem świetle i niewłaściwych proporcjach.

Ale tak nie jest. W rzeczywistości twarda ręka faktów życiowych kieruje każde zagadnienie społeczne przedewszystkiem na tory ekonomiczne.

Weźmy jeden jeszcze wybitny przykład — r u c h k o b i e c y.

Kiedyś aż przystanąłem ze zdumienia na Trafalgar Square, widząc kobietę w mundurze policyjnym. Co to zjawisko oznaczało, dowiedziałem się niebawem ze sprawozdań w dziennikach o wszechbrytyjskim zjeździe 700 delegatek do „Narodowej Rady Kobiet“, odbytym w Cambridge pod przewodnictwem lady Franciszki Balfour. Tam właśnie zaprotestowano dobitnie przeciwko temu, że Mi-

nister spraw wewnętrznych — także pod siekierą oszczędnościową Eryka Geddes — chce znieść utworzony przez niego samego kobiecy korpus policyjny. Kobiety domagały się, by wszelkie urzędowe czynności natury policyjnej w stosunku do kobiet pełniły wyłącznie kobiety, i domagały się tego nietylko ze względów delikatności, ale także ze względu na możności zarobkowania, które to dla kobiet otwiera.

I tak samo względy gospodarcze grały rolę decydującą w traktowaniu na tym kongresie wielu innych postulatów kobiecych. Istotnie zgodzić się trzeba z artykułem wstępnym w *Daily Telegraph*, że budującą cechą tego zjazdu feministek był brak „pryncypjalnego“ krzykactwa i skupienie uwagi na sprawach praktycznych. Szkocką iście trzeźwością tchnęło spokojne oświadczenie lady Balfour, że „żadna kobieta jeszcze epokowego wynalazku nie zrobiła“, i drugie, niemniej trzeźwe, że „już tylko małe placówki pozostały do zdobycia dla kobiet“. Rzeczywiście: wielkie żądania kobiet przeważnie są spełnione; sprawność sufrażystek na wojnie wywalczyła im to, czego nie dały lata hałaśliwej obstrukcji społecznej: dostęp do parlamentu.[1] Pierwsza wkroczyła doń lady Astor, wprowadzona przez Balfoura i Lloyd George'a, którzy podobno przy tej ceremonji mieli daleko większą tremę, niż ona sama. Lady Astor już się i czynnie zaznaczyła, jako autorka projektu ustawy, która ma „osuszyć“ Anglję na sposób Ameryki, t. j. usunąć zupełnie

[1] Otrzymały coprawda przez ustawę r. 1918 *(Representation of the People Act)* prawo głosowania tylko kobiety powyżej lat 30, a mężczyźni mają je już od pełnoletniości, t. j. od 21-go roku życia. Ale i tę ostatnią różnicę ma wyrównać ustawa, wniesiona w bieżącym roku 1924 i traktowana życzliwie przez nowy Rząd robotniczy.

napoje alkoholowe. Oczywiście myśl ta jest namiętnie zwalczana — w imię wolności osobistej obywatela brytyjskiego, — najnamiętniej przez G. K. Chestertona, który napatrzył się fatalnym skutkom „prohibicji“ w Ameryce.[1] Przyłączam się do jego opinji, bom widział, co ludzie pili w Rosji, gdy wódki z wybuchem wojny zakazano. „Narodu przez uchwałę parlamentu cnotliwym nie zrobisz“ — mówi przysłowie angielskie. Ale nie zapominajmy, że popóczątek w tym kierunku zrobił kilka lat przed wojną Lloyd George przez wysokie opodatkowanie szynków.

Powracając jednak do spraw kobiecych: dostępu do wyższych studjów narówni z mężczyznami broni im już tylko jedna twierdza staroświecczyzny — uniwersytet w Cambridge, na który też spadły odpowiednie gromy na odbytym w samem Cambridge kongresie. Rezultaty wyższych studjów — i wojny — wszędzie widać: w Londynie jest obecnie daleko więcej doktorek i profesorek, niż przed wojną, a w ostatnich czasach Zjazd Związków robotniczych w nadmorskiem miasteczku Bridgeport musiał solennie przepraszać miejscowego burmistrza-kobietę za pominięcie jej przy rozsyłaniu zaproszeń na otwarcie.

Wybory r. 1923 i Rząd utworzony przez partję robotniczą, oprócz zwiększonej (do ośmiu) ilości kobiet-posłów w parlamencie przyniosły jeszcze nową zdobycz: jedną z najwyższych odpowiedzialnych placówek urzędniczych — pod-sekretarjat stanu w Ministerstwie — zajęła kobieta: stara działaczka robotnicza, pani Małgorzata Bondfield.

Zrównawszy się z mężczyznami co do karjery oso-

---

[1] Gilbert Keith Chesterton: *What I saw in America*. Londyn, 1922 r.

bistej, dorównują im też kobiety w sprawności, a co więcej, w bezwzględności korporacyjnej swych organizacyj zawodowych: w niemały kłopot wprawił Radę hrabstwa Londynu Związek Nauczycielek, narobiwszy potężnego skandalu w gazetach za przyjęcie na służbę znacznej liczby niekwalifikowanych ochroniarek z tej prostej przyczyny, że z kwalifikowanemi Rada nie mogła dojść do porozumienia co do płacy.

6.

Jakiż wyciągnąć bilans socjalny z tych luźnych i rapsodycznych uwag i spostrzeżeń?

Trudność zaiste niemała. By cały jej rozmiar uwidocznić, przytoczę zabawny ustęp z jednej z gazet niedzielnych:

„Spotkałem dziś Zdeklarowanego Pesymistę. A więc: Anglja, niezdrowa moralnie, degenerująca fizycznie, niepewna finansowo, na prostej, bitej drodze do „piekielnych psów“. Najbogatsi przenoszą się ze swych pałaców do najbliższych przytułków dla ubogich. Zawody akademickie na wymarciu pod ciężarem podatków: żadnych dodatków do płacy, żadnych premij wojennych, żadnych Związków zawodowych — nic. (Wzdycham rzewnie w milczeniu współczucia!) Klasa robotnicza — największy sobek-kapitalista, o ile chodzi o skąpstwo w pracowaniu — woli sobie żyć z zapomóg państwowych, totalizatora, zabawiać się kinematografami i przypatrywaniem się piłce nożnej, zamiast zdjąć bluzę i pchać swoją robotę. Jedyne Imperjum brytyjskie, jakie oni znają, to Teatr Rozmaitości *Imperjum* z dwoma programami co

wieczór. Agitatorzy rozsiewają niezadowolenie i rozpowszechniają trujące doktryny, za co dostają po 400 funtów szterlingów rocznie z szylingami, albo „ogryzki“ partyjne. Przeklęta dziura ten kraj! Patrz Pan, co się dzieje w Irlandji! i t. d.

Rzecz osobliwa: wkrótce potem spotkałem Doskonałego Optymistę. Więc: Anglja wykuwa swoje przeznaczenie coraz zdrowszym sposobem. Stosunki przemysłowe stopniowo się coraz bardziej ustalają. Handel odżywa. Klasa robotnicza zaczyna znowu zdejmować bluzę do roboty: zdaje sobie nareszcie sprawę, że jeżeli chce mieć coś więcej, niż „okrawki“ rzeźnickie po cztery pensy w sobotę wieczór, to musi sobie to zdobyć pracą. Podatek osobisto-dochodowy spadnie stopniowo o odrobinę lub dwie, i z czasem każdy znowu będzie nosił „nieschodzący“ uśmiech na twarzy.

Konkluzja reportera: Ja uśmiechu nie przybrałem. Wpadłem w djabli „skweres“ (umysłowo), starając się pogodzić te najwidoczniej nie dające się pogodzić punkty widzenia. Zdecydowałem się wreszcie, że „wzmocniona“ będzie potrzebna, by przywrócić równowagę duchową. Ale oto, co słyszę: „Żałuję bardzo, proszę Pana: dziś już za późno, zamykamy. Ale coś na pragnienie Pan jeszcze dostanie w sąsiedniej parafji...“ Chwała Bogu, że mam wodociąg w sypialni: bieg pocieszenia!“

Skoro już „Zdeklarowany Pesymista“ wspomniał o Irlandji, wtrąćmy i my tu słówko o niej. Eryn, ojczyzna poezji i baśni, kraj tak sympatyczny nam Polakom i przez temperament ludu i przez wiekową niedolę i przez walkę o wolność, w chwili, gdy przybywałem do Anglji jesienią r. 1922, był chyba najniespokojniejszą ziemią w Zachodniej Europie. Grzechotały karabiny maszynowe i po

ludnych ulicach jego miast, i po jego zielonych wzgórzach i dolinach, i nad wodami jego jezior, i po skalistych wybrzeżach atlantyckich. Zabójstwa polityczne, napady partyzanckie, niszczycielskie „zajazdy“ były na porządku dziennym. To „republikanie“ czyli zwolennicy „zupełnej niepodległości“ zwalczali nowy Rząd Wolnego Państwa irlandzkiego, który kosztem unji personalnej z Anglją kupił faktycznie zupełną niezawisłość Irlandji. Unjoniści spodziewali się z czasem zwyciężyć republikanów i ustalić prawny porządek, ale że się czuli niepewnie, o tem świadczyły tak rozpaczliwie drakońskie środki samoobrony, jak rozstrzelanie szlachetnego przywódcy republikańskiego, idealisty-Anglika Erskina Childersa. Sam Rząd stracił przez nagłą śmierć dwa swoje filary, Michała Collinsa i Artura Griffitha, — jednak nadziei nie tracił. Spodziewał się nawet dojść po jakimś czasie do porozumienia z prowincją ulsterską, która jako angielska, protestancka i uprzemysłowiona, wrogo się wyodrębniła od reszty Irlandji — katolickiej, celtyckiej, rolniczej.

Rok 1923 w tych smutnych stosunkach irlandzkich przyniósł zmianę na lepsze: de Valera i jego republikanie ostatecznie kapitulowali przed wojskami rządowemi, i wojna domowa się skończyła. Zastąpiła ją wojna legalna na terenie parlamentarnym, gdzie republikanie uzyskali prawie jednę trzecią mandatów (44 na 153). W każdym razie odetchnął naród po tych aktach sabotażu, które przez dwa lata tak bezlitośnie niszczyły dobrobyt społeczeństwa. A trzeba pamiętać, że Irlandja, nie zmuszana przez Anglję w czasie wojny światowej do powszechnej służby wojskowej, była po pokoju wersalskim jednym z pomyślniej sytuowanych krajów w Europie. Obecnie zaczęła się praca nad odbudową gospodarczą: zainicjowana

przez Rząd narodowy pożyczka wewnętrzna ma znaczne powodzenie. Nie mniej trudnem od uzdrowienia gospodarczego zadaniem będzie podniesienie poderwanego przez wojnę domową zmysłu prawnego u ludności: nie brak skarg, że nowa armja irlandzka, przywykłszy do partyzantki, i teraz czasem praktykuje metody sądownicze „wujaszka Lyncha". Ale poprawa jest niezaprzeczona, i zgodnie z tem także stosunki sąsiedzkie z „sześciu hrabstwami" wrogich separatystów ulsterskich znacznie złagodniały, choć trwa poważny spór o granice.

A o Anglji samej cóż powiedzieć po tych wybuchach skrajnego optymizmu i skrajnego pesymizmu, które przytoczyłem powyżej?

Przedewszystkiem: jakie to podobne — nieprawdaż? — do tych ostateczności optymizmu i pesymizmu, między któremi i w naszej nowej Polsce waha się opinja, często waha się ta sama jednostka!

Że w Anglji osobistości rozważne jednak liczą się z ewentualnościami treści pesymistycznej, tego dowodem fakt, że stamtąd, tak samo jak z całej Europy, ekonomiści i finansiści ślą tęskne wejrzenia za Atlantyk. Sensacyjną mowę do zgromadzenia bankierów z całej Ameryki wypowiedział jesienią r. 1922 były angielski minister-skarbu, Reginald Mac Kenna: zapewniał w niej wprawdzie, że Anglja zapłaci Ameryce wszystkie swoje długi wojenne co do pensa, ale zapewniał równie stanowczo, że inne narody tego uczynić nie będą mogły, i ostrzegał przed tą polityką muru chińskiego, której się Ameryka właśnie teraz ostatecznie chwyciła przez wprowadzenie wysokich taryf cłowych. Wskazywał, jako na odstraszający przykład, na *splendid isolation* dawnej Anglji w sprawach europejskich — stanowisko, które już Beaconsfield

ujrzał się zmuszonym porzucić. (A w myśli pewnie miał, że *splendid isolation* Ameryki przez taryfy nie pozwoli Anglji płacić długów towarami!). Ostatecznie w r. 1923 Anglja przyjęła prawdziwie drakońskie warunki nieubłaganej Ameryki co do spłaty swych długów u niej i przez to chlubną kartę dodała do historji swego kredytu kupieckiego, który dla Anglika jest tak drogi, jak nasz honor narodowy dla księcia Józefa. Ale też znacznemi obarczyła się ciężarami. Albowiem gdy chodzi o odległe sprawy europejskie, Yankesowi w jego zadowolonym z siebie patrjotyzmie niedostaje nieco współczującej wyobraźni, tego zbawczego daru, który niedawno, gdy zaszedłem w niedzielę do opactwa westminsterskiego, tak gorliwie zachwalał tępym Anglikom jakiś entuzjastyczny kaznodzieja.

Do wyobraźni i ja pragnąłem się odezwać przez te obrazki. Boleśnie one dotkną i nerwowo zaniepokoją zapewne niejednego gorącego wielbiciela cywilizacji angielskiej u nas. „Przecież musi być przynajmniej jeden doskonały naród na świecie“, jak mi mówił w r. 1915 w Rostowie Książęcym niedaleko Jarosławia nad Wołgą pewien zacny polski przyjaciel. Nie potrzebuję się chyba sam legitymować jako miłośnik kultury angielskiej. Jeżeli tu uwydatniłem głównie różne trudne zagadnienia, groźne możliwości i oznaki zepsucia społecznego w dzisiejszem życiu Anglji, to uczyniłem to z dwóch względów.

Po pierwsze dlatego, że za jedno z najważniejszych zadań ludzi myślących w dzisiejszej Europie uważam zwracanie powszechnej uwagi na wspólność poważnych niebezpieczeństw, jakie grożą naszej budowie cywilizacyjnej, wspólność już poniesionych szkód i wspólność środków — nie zaściankowych, lecz europejskich i świa-

towych, — któremi jedynie możemy sobie pomóc. Wszyscy — *mutatis mutandis* — walczymy z jednakowemi biedami, i Anglja w tym względzie — ani w żadnym innym — nie jest tak bardzo wyspą, jak była.

Ale z analogij w stosunkach ekonomicznych i społecznych między krajami tak różnemi, jak Anglja i Polska, wynika druga moja myśl. W Anglji, jak zawsze, słyszałem wciąż naokoło krytykę, nawet z kazalnicy: w katedrze św. Pawła, gdy tam byłem, kaznodzieja nie wahał się piętnować świeżo zmarłego lorda Northcliffe za demoralizację prasy; w *City Temple* duchowny rodem z Australji zarzucał chrześcijaństwu angielskiemu, że ma za mało czynnego, wojowniczego, „wściekle-ryzykanckiego“ ducha; w dystyngowanym kościele parlamentarnym św. Małgorzaty słyszałem z ambony również narzekania na bezwładność moralną społeczeństwa, która powoduje, że sprawa Ligi Narodów nie jest w Anglji tak popularną, jak być powinna.

Ale też właśnie w tym kościele kaznodzieja nie omieszkał zaznaczyć, że do kierowania Ligą Narodów bądź co bądź powołani są Anglicy, jako najmoralniejszy naogół naród pod słońcem. To samo zdanie niejednokrotnie wypowiedział dobitnie pełen gorzkiego pesymizmu krytyk obecnego stanu społecznego Anglji i całej dzisiejszej kultury, wspomniany już świetny publicysta dr. Inge, dziekan katedry św. Pawła w Londynie. Dla niego także w tym spodlałym świecie koniec końców Anglicy są narodem najcenniejszym, najtęższym, najwięcej zawierającym zadatków moralnych lepszego jutra.

O to więc mi chodzi: naród ten, widząc swe błędy i braki, nigdy nie traci wiary w siebie, swoją wartość,

swoją żywotność, swoją przyszłość państwową, społeczną, kulturalną.

Nie traćmyż więc i my na widok różnych bied polskich nigdy wiary w naszą wartość i przyszłość. O narodach, jak o jednostkach, można powiedzieć słowami Goethego, że „tylko hołota jest fałszywie skromna“ — *nur Lumpe sind bescheiden*. Jedynie narody, uważające się w tym czy owym sensie za „wybrane“, dokazały czegoś w świecie. „Świętymi“ sami siebie zwali ci Purytanie, co stworzyli nowoczesną Anglję i nowoczesną Amerykę. Miejmyż i my się, w myśl nauk naszych wieszczów, choć w innem niż mesjańskie znaczeniu — za „naród wybrany“. Wierzmy, że są rzeczy, których ludzkość cywilizowana nie dokaże tak dobrze bez Polski, jak ich dokaże z Polską; że tu jest sens i racja naszego bytu politycznego, że nasze zmartwychwstanie nie jest przypadkiem wojskowo-dyplomatycznym; że będą musieli nas uznać nietylko oficjalnie, ale i kulturalnie i moralnie; słowem, że Polska „przyszła, by zostać“.

II

ANGLJA DZISIEJSZA A JUTRZEJSZA

1.

„Wstąpiliśmy w piąty rok pokoju. Rzeczoznawcy odrazu mówili, że to będzie sprawa przewlekła". Takiemi głęboko smutnemi słowy odezwał się klasyczny londyński tygodnik humorystyczny *Punch* jesienią r. 1922, w czwartą rocznicę zawieszenia broni. *Punch* jest może wierniejszem od wielkich partyjnych dzienników zwierciadłem tej nieuchwytnej a najistotniejszej siły społecznej w Anglji — przeciętnej powszechnej opinji publicznej, czyli, jak mówi Anglik, opinji „człowieka na ulicy" *(the man in the street)*. To też nastrój rozczarowania, niepokoju i przygnębienia, wiejący z przytoczonego aforyzmu, przedewszystkiem udzielać się dziś musi każdemu, kto znał Anglję z przed wojny i ponownie ją ogląda w jej stanie powojennym. Z siłą poetycką uderzył w tę samą nutę dominującą Chesterton, kończąc swój wiersz o angielskich bohaterach wojny światowej słowami: „Polegli, by zbawić swą ojczyznę, a oni tylko zbawili — świat!" [1]

[1] G. K. Chesterton: *The Ballad of St. Barbara and other Verses*. Londyn, Cecil Palmer, 1922, p. 36: *They died to save their country and they only saved the world!*

Rozczarowania pokoju wersalskiego, w szczególności jego „następstwa ekonomiczne“, jak je nazwał w tytule swej głośnej książki profesor Keynes, odarły wspomnienia o samej wojnie światowej z blasku heroizmu i pozostawiły tylko nagie, okrutne, niedorzecznie bezowocne cierpienie. Wojna, która miała „położyć koniec wszelkim wojnom“, jak ją określał Wells *(The War which ends War)*, prowadzi w swych konsekwencjach dziś do nowej orgji zbrojeń. Z takich refleksyj płynie zawzięty antymilitaryzm przeciętnego Anglika w dniu dzisiejszym. Zwalcza się wciąż w mowach i artykułach wojsko i wojnę, tak jakby to były instytucje same sobą stojące, które dowolnie „znieść“ lub „zlikwidować“ można, a nie zewnętrzne objawy zjawisk głębszych i istotniejszych. Z wojny światowej wspomina się najczęściej niepowodzenia strategiczne i bezcelowe ofiary w ludziach. Echo tego powszechnego przygnębienia i rozczarowania odezwało się nawet w pięknej i poważnej mowie (podobno napisanej przez Kiplinga), którą król Jerzy V podczas swych odwiedzin u króla włoskiego na wiosnę r. 1923 wypowiedział nad grobami poległych żołnierzy brytyjskich, na płaskowzgórzu Asiago. A najpotężniejszym wyrazem panującego ogólnie usposobienia był sensacyjny obraz sir Williama Orpen, „Mogiła nieznanego żołnierza brytyjskiego we Francji“, który stanowił *clou* wiosennego salonu londyńskiej *Royal Academy*. Sir Wiliam Orpen, znakomity portrecista, chciał na tle tej wspaniałej dekoracji, jaką jest łuk triumfalny w Paryżu na *Place de l'Étoile*, zgrupować około płyty grobowej nieznanego żołnierza angielskiego postacie wszystkich znakomitych mężów stanu i wodzów z czasów wojny światowej. Ale, jak sam wyjaśnił w artykule w *English Review*, przypomniał sobie przy robocie, że największym bohate-

rem jest właśnie sam bezimienny szeregowiec, a gdyby jego umieścić na obrazie, „niema już miejsca na nikogo innego“. Tak powstał obraz, na którym oprócz mogiły i łuku widnieją tylko dwie nagie figury żołnierskie, z karabinami w ręku i z „kociołkami“ na głowie, stojące po obu stronach grobu. I oto, podchodząc do obrazu, widz z przerażeniem spostrzega, że ci wartownicy... to trupy — wychudłe zielonkowate ciała, w nienaturalnie sztywnej postawie. Obraz, surowy i prymitywny w kolorach, niepokaźny rozmiarami, nieefektowny w traktowaniu swego monumentalnego tła architektonicznego, przejmuje tragiczną grozą i na długo rzuca urok na myśli wszystkich, co go oglądają.

Nie trzeba jednak temu, co chodzi po ulicach Londynu, takich artystycznych przypomnień straszliwej bezpłodności wojny: rzucają się one w oczy na każdym kroku w samem życiu w postaci nędzy bohaterów i zwycięzców. Pierwszym określonym sądem, jaki sobie tworzy cudzoziemiec o dzisiejszych stosunkach angielskich, jest niewątpliwie ten, że potężna i bogata Wielka Brytanja przechodzi obecnie przez ciężkie przesilenie społeczno-gospodarcze, — nie mniej ciężkie, niż ów długi, przeszło ćwierćwiekowy okres przed stu laty, po wojnach napoleońskich, gdy wprowadzenie maszyn, pozbawiając wielkie rzesze robotników pracy, popchnęło ich w rozpaczy do buntów „luddystycznych“ i pogromów fabryk; [1] gdy lichwa żywnościowa, uświęcona przez „ustawy zbożowe“ *(Corn*

[1] Właśnie wiosną r. 1923 grano w Londynie z powodzeniem pełny furoru rewolucyjnego dramat młodego poety dzisiejszych Niemiec (uwięzionego za komunizm) Ernesta Tollera na temat tych angielskich wypadków z przed stu lat p. t.: *Die Maschinenstürmer.* Zaś jego dramatyczna fantazja na temat rewolucji socjalnej p. t.: *Masse-*

Laws), dowiodła cierpiące masy we wielkich miastach przemysłowych do „głodnych lat czterdziestych“ *(the hungry forties);* gdy wreszcie ferment przed „wiosną ludów“ o mało nie wybuchł w Anglji rewolucją pod radykalnie demokratycznemi hasłami „chartyzmu“.

Jakże podobnie dzisiaj! Wprawdzie lord Curzon, który jako minister spraw zagranicznych państwa wielkobrytyjskiego obejmuje widnokrąg daleko szerszy, niż zwykły śmiertelnik, mógł powiedzieć na wiosnę roku 1923 w swej wielkiej mowie w *Aldwych Club*, że, jego zdaniem, świat po ostatniej wojnie daleko prędzej przychodzi do siebie, niż po napoleońskich. Ale ten, kto nie patrzył na dzisiejsze życie angielskie z olimpijskich wyżyn dostatku i stanowiska lorda Curzona, lecz poruszał się wśród szarzyzny nizin, mieszkając, jak niżej podpisany, w dzielnicy pełnej niechlujnych i nędznych domów proletarjatu — osławionych *slums* w północnej dzielnicy londyńskiej St. Pancras, — ten musi właśnie raczej sądzić, że proces powrotu do jakichś normalnych stosunków ekonomicznych w Anglji dziwnie wolno się wlecze i niewymownie bolesnemi się znaczy etapami.

2.

Ale wnikając pod powierzchnię życia, do poruszających niem sił duchowych, obserwator dochodzi rychło i do drugiego wniosku: że te wielkie przymioty moralne, które uczyniły nowoczesną Anglję tem, czem jest, dzia-

Mensch wyszła w r. 1924 w tłumaczeniu angielskiem (*translated by Vera Mendel*, Londyn, Nonesuch Press), a wiosną r. 1924 również z powodzeniem kilkakrotnie była grana w Londynie przez amatorskie towarzystwo teatralne.

łają w tych ciężkich czasach potężniej, niż kiedykolwiek. Już w czasach wojny przebywający w Anglji cudzoziemcy ze zdumieniem i podziwem patrzyli na milczący heroizm, z jakim ludność znosiła ciężary i straty wojenne. Gdy w innych krajach po wszystkich miejscach, od mównic publicznych do kolumn gazet, rozlegały się skargi i jęki, narzekania i utyskiwania na racjonowanie żywności, w Anglji i teraz zaledwie przygodnie i mimochodem można coś usłyszeć o tem, że nie bywało cukru, masła, mięsa, chleba. Tak samo z hojnym upustem krwi. Hekatomby najlepszej młodzieży angielskiej pochłonął odrazu pierwszy okres wojny, gdy Wielka Brytanja, jedna z państw wojujących, nie miała jeszcze obowiązkowej służby wojskowej i dlatego właśnie na front w charakterze ochotników szedł istotnie kwiat młodzieży: kosiła go śmierć obficie, szczególnie przy różnych ofensywach w pierwszych latach wojny, gdy plany i dyspozycje aljantów nie były jeszcze dostatecznie uzgodnione, a w dowództwie angielskiem (jak to wyjawiły pamiętniki lorda Frencha i innych) panowały niesnaski, rywalizacje, nieporozumienia, chwiejność w decyzjach, niejasność w rozkazach, i materjałem żołnierskim szafowano brawurowo. A prócz krwawych pól Francji, co pochłonęła szalona wyprawa na niezdobyte Gallipoli, co niefortunna ekspedycja mezopotamska! Zdziesiątkowaną została w najstraszliwszy sposób elita młodzieży, mianowicie z klas arystokratycznych i inteligentnych. I znowu ni głosu tych wymownych skarg, które do przesytu słyszymy gdzieindziej. Roi się po miastach, wsiach, instytucjach publicznych i prywatnych od pomników i tablic pamiątkowych dla naszych „z chwałą poległych“ *(our glorious dead)*. Ale napisy na ich cześć są przeważnie tak skromne, prawie oschłe, jak ten, grozą

iście przejmujący, na pomniku w śródmieściu londyńskiem, koło starych, trzechsetletnich domów ulicy Holborn, głoszący pamięć „tych 22.000 fizyljerów“ z pułku rekrutowanego w tej dzielnicy *(Holborn Fusiliers)*, którzy z wojny nie wrócili. A usłyszeć w rozmowie coś o stratach rodzinnych należy do rzeczy trudnych i rzadkich.

Z tem samem bohaterstwem zawziętego milczenia, bez melodramatycznych gestów, znosi dziś ludność angielska cierpienia uciążliwego pokoju. O znacznem obniżeniu stopy życia klasy średniej więcej się dowiedziałem z ponurej książki byłego ministra C. F. Mastermana: *England after War* (Londyn, Hodder i Stoughton, 1922), niż z bezpośredniego doświadczenia. Konieczne oszczędności, przykre ograniczenia, poważne kłopoty ze zbilansowaniem budżetu familijnego ukrywa się wstydliwie przed okiem ludzkiem, niechętnie się o nich mówi. Na zewnątrz panuje ta sama, co zawsze w purytańskiej Anglji, staranna i poprawna przyzwoitość form życiowych; gościnność rzadsza i mniej hojna, niż za dawnych dobrych czasów, jest nie mniej nienaganną, gdy się jej doznaje.

Ta sama prostota i zgoła niedeklamatorska rzeczowość w stosunku do konieczności ekonomicznych i w nieubłaganem przeprowadzaniu niezbędnych oszczędności, co w życiu prywatnem i rodzinnem, panuje w życiu publicznem i państwowem. W r. 1923 ówczesny minister skarbu (późniejszy premjer), Stanley Baldwin, zapowiedział nieznaczne ulgi podatkowe i bezlitosne warunki upłaty długu wobec Ameryki w mowach tak nieefektownych, że najzwięźlejsze wyrazy szacunku, bez polemicznych lub entuzjastycznych komentarzy, były jedyną odpowiedzią całej prawie poważnej prasy wszelkich odcieni. Dumna z tego wskaźnika zdrowotności gospodarczej, jakim jest

ustalona waluta, Anglja nie roztacza przed światem widoku tych bied, jakiemi swój wznowiony *prestige* finansowy okupiła, i zdaje się powtarzać hardą dewizę średniowiecznego feudalnego pana: *Malo invidiam, quam misericordiam.* Woli zazdrość, pełną poważania, niż litość z domieszką wzgardy.

3.

Tak samo, jak nie apeluje do galerji międzynarodowej deklamacjami na temat swoich ciężkich kłopotów gospodarczych, tak samo nie opowiada światu o swych troskach politycznych. A są one nie mniej poważne. Gdybym był Anglikiem, patrzyłbym z wielkim niepokojem na chmury, co zewsząd zasępiają widnokrąg państwa wielkobrytyjskiego.

Prawda — Wielka Brytanja wyszła ze zwycięskiej wojny z bardzo realną korzyścią: zagarnęła sporo kolonij niemieckich. Ale mało na dziś i jutro pociechy z tego surowego materjału na bogactwa w odległej przyszłości. Kolonje samym Niemcom jeszcze się nie opłacały, lecz obciążały ich deficytem, i tak samo od Anglji będą wymagały na początek uciążliwych wkładów.

Rzeknie ktoś jednak, że wielkie w każdym razie jest moralne znaczenie tego zadatku świetniejszej przyszłości, jaki stanowi tak znaczne rozszerzenie już i tak potężnego, światowego imperjum.

Istotnie: siłą moralną idei imperjalistycznej już oddawna starano się działać na zewnątrz i na wewnątrz, — szczególnie odkąd na początku XX wieku Józef Chamberlain usiłował nadać tej idei konkretniejsze kształty przez projekt unji cłowej, — odkąd w tym samym czasie

zyskała w Kiplingu swego wielkiego wieszcza w dziedzinie literatury pięknej.

I dziś gorliwsi patrjoci bezustannie wysuwają ideę imperjum jako lekarstwo na wszystkie boleści organizmu społecznego dzisiejszej Anglji. Ale pusto jakoś i beznadziejnie dźwięczą hasła imperjalistyczne w ciężkiej powojennej atmosferze.

Zastój w przemyśle angielskim spowodowany jest utratą rynków wskutek upadku waluty i innych powojennych nienormalności gospodarczych w państwach kontynentu europejskiego. Miejsce tych utraconych rynków kontynentalnych zajmą kolonje — tak pocieszają bezrobotnych Anglików imperjaliści. Złudne to nadzieje: pojemność rynków kolonjalnych jest mała, bo są to kraje nierozwinięte i rzadko zaludnione. Kanada na przestrzeni równej prawie Europie ma zaledwie 8 miljonów mieszkańców. Ponadto ta sama Kanada wskutek swego położenia geograficznego wchodzi w coraz bliższe i w coraz żywotniejsze stosunki gospodarcze ze swym sąsiadem — Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej, a coraz bardziej rozluźnia, zamiast zacieśniać, węzły ekonomiczne z krajem macierzystym za Atlantykiem. To nieubłagana konieczność; i ta konieczność unicestwia projekty uzdrowienia gospodarczego starej Anglji przy pomocy jej kolonij.

Ale ta konieczność, z jaką rozluźniają się związki między częściami składowemi rozrzuconego po całej kuli ziemskiej imperjum, ma, prócz ekonomicznej, także swą poważną stronę polityczną. Nie chcę się rozwodzić nad takiemi sprawami, jak egipska lub indyjska; jasnem wszakże jest dla każdego myślącego obserwatora, że nawet te bardzo daleko idące koncesje na rzecz samorządu, które Anglja w obu tych krajach przez ostatnie lata poczyniła,

nie zadowolnią i nie pohamują rozagitowanego młodego nacjonalizmu tych starych narodów. Niepodległościowcy (zagluliści) wzięli górę w parlamencie egipskim; i w Indjach stronnictwo „non-kooperatystów“ (Gandhiego) zdobyło potężną reprezentację w ciele ustawodawczem i zażądało od nowego Rządu robotniczego w Anglji pełnego samorządu, którego on odmówił.

Daleko poważniejszy jednak od tych gwałtownych poruszeń nacjonalistycznych jest ten proces organicznego rozwoju, który się dokonywa w łonie rdzennie angielskiego elementu w autonomicznych kolonjach brytyjskich. Jak to stwierdziła zmarła pani Humphry Ward w swej powieści *Kanadjanin z urodzenia (Canadian Born)*, — jak tego z drugiej strony dowodzi istnienie takich typowo i specyficznie australijskich poetów jak Henry Lawson, — trzeba się dziś już liczyć z istnieniem odrębnych anglosaskich narodów w Kanadzie i Australji. Z tych naród kanadyjski, odmienny od angielskiego już przez swój silny, zwarty, zdolny i czynny składnik francuski w południowych prowincjach Kanady, w całym swym typie, i umysłowością, i strukturą społeczną, i nawet wyglądem fizycznym, temperamentem, obyczajami i wymową angielską daleko bardziej się zbliża do Amerykanów, niż do Anglików. Wystarczy przypomnieć tak typowo amerykańskiego pisarza, jak największy przedstawiciel Kanady w literaturze — Jack London.

Australja zaś, i tak samo rozwijająca się potężnie i samodzielnie Nowa Zelandja, tak zupełnie są pochłonięte rozbudową swego radykalnie demokratycznego ustroju i rozlicznemi zadaniami opieki socjalnej, które praca nad wychowaniem i ukształceniem ich młodych społeczeństw na nie wkłada, że nie mogą zarazem żyć szerszem ży-

ciem całego imperjum. Prawda, w świeżej jeszcze i chlubnej pamięci są nieśmiertelne czyny bohaterskie „Anzaków“ (*A*ustralia-*N*ew *Z*ealand *A*uxiliary *C*orps) i Kanadyjczyków na polach bitew wojny światowej od Gallipoli do Passchendaele, Messines i Vimy. Ale w świeższej jeszcze pamięci są pewne wielce znamienne epizody powojenne z roku ubiegłego. Oto Kanada, zawierając traktat ze Stanami Zjednoczonemi, uporczywie się broni przeciw poddaniu tego aktu międzynarodowego pod kontrolę rządu Wielkiej Brytanji i wkońcu dopiero zgadza się na to czysto formalne ustępstwo, że ambasador angielski w Waszyngtonie kładzie swój podpis na dokumencie po podpisach przedstawicieli Kanady i Ameryki. Wnet potem wynika spór o ratyfikację przez Kanadę traktatu z Turkami w Lozannie. Oto znowu Australja, gdy już na włosku wisi wojna między Anglją a Turcją nad tym samym Hellespontem, nad którym kilka lat temu tyle australskiej krwi się polało, zastrzega się wyraźnie przez usta swego ówczesnego premjera, p. Hughes, że swój udział czynny w takiej walce uzależnić musi od tego, by ją wciągnięto, jako równorzędną jednostkę państwową, do wszelkich narad i decyzyj w tej sprawie.

Anglja półtora wieku temu pogodziła się po upartej walce z istnieniem nowej republiki angielskiej za oceanem; w zaraniu naszego stulecia okazała wysoki rozum polityczny, tworząc sama Stany Zjednoczone Południowej Afryki. Zebrała owoce tych ustępstw: od stu zgórą lat nie było wojny między Ameryką a Anglją; Boerowie, co jeszcze ćwierć wieku temu walczyli z Anglją na śmierć i życie, na wojnę światową słali generałów i żołnierzy narówni z najlojalniejszymi Anglikami przeciw temu samemu Wilhelmowi, co pisał przyjacielskie depesze do ich

prezydenta Krügera. A dziś Afryka południowa w postaci swego premjera, jenerała Smutsa, posiada jednego z najzdolniejszych rzeczników naczelnych tendencyj obecnej polityki międzynarodowej imperjum brytyjskiego, szczególnie w stosunku do Francji. Niema więc chyba żadnego nieprawdopodobieństwa w przypuszczeniu, że w niedalekiej przyszłości Anglja uzna w drodze mniej lub więcej polubownej faktyczną niepodległość państwową Kanady i Australji, zarówno jak Południowej Afryki.

A gdy to się stanie, gdy z drugiej strony Irlandja, Egipt i Indje tak czy owak zdobędą sobie to *maximum* niezależności, do którego nieprzeparcie dążą, — cóż wtedy jeszcze jednoczyć będzie te wyemancypowane terytorja wielkiego imperjum brytyjskiego?

Jednoczyć je może tylko ta wielka potęga moralna, jaką jest jedna wspólna kultura anglosaska i anglosaska tradycja polityczna.

4.

Warunkiem jednak, by ta siła zachowała swą nieporównaną dotychczas żywotną moc asymilacyjną i twórczą, jest utrzymanie jednolitości i odrębności tej kultury, utrzymanie ciągłości i stałości tej tradycji.

Tymczasem właśnie w czasach ostatnich angielski charakter narodowy i mechanizm państwowo-społeczny tak się zmienia w swych najcharakterystyczniejszych właściwościach, tak się zbliża do typu innych i głęboko różnych od Anglji narodów, angielskie życie polityczne tak odbiega od swych wypróbowanych kolei, że dziwićby się nie można, gdyby jakiś stroskany stróż tradycji plemiennej anglo-saskiej odezwał się do swego narodu przestrogą

starego Polonjusza do syna w *Hamlecie* (I, 3): *This above all, to thine own self be true!* („A nadewszystko, bądź wierny sam sobie!“)

Czy Anglja wśród koniecznych i wspólnych całemu światu nowożytnemu przemian społecznych pozostaje „wierną samej sobie“? Odpowiedzieć na to pytanie bez zastrzeżeń twierdząco byłoby wielką śmiałością. Wraz z całą cywilizowaną ludzkością Anglja przeszła stanowczo od indywidualistycznych ideałów epoki liberalnej do tendencyj mniej lub więcej socjalistycznych w ustawodawstwie. Rozrosły się do niebywałych rozmiarów dziedziny działania państwa i wpływ jego na sprawy dawniej według uświęconej tradycji angielskiej pozostawione inicjatywie prywatnej. Co się dzieje na wyżynach władz centralnych, to powtarza się w samorządzie miejscowym. Wyolbrzymiałe niesłychanie w ostatnich dziesięcioleciach agendy „Rady hrabstwa Londynu“ *(London County Council)* obejmują między innemi system najprzeróżniejszych szkół i kursów dziennych i wieczornych, tak bogaty w rozmaitość i tak umiejętnie wyzyskujący doświadczenia innych narodów (głównie Niemców) w zastosowaniu do potrzeb angielskich, że jest ze wszech miar godny szczegółowych studjów ze strony pedagogów. Zresztą opieka Rady Hrabstwa nad 7 i pół miljonowem terytorjum „Większego Londynu“ (miasta i przyłączonych gmin podmiejskich) rozciąga się na wszystkie dziedziny — od komunikacji i bezpieczeństwa do mieszkań i higjeny. Rozległa ta działalność — cała nowej daty — otrzymała już w XX wieku dwa charakterystyczne pomniki swego rozrostu: pierwszy to gruba niemiecka rozprawa o tej instytucji (R. Sinzheimer, *Der Londoner Grafschaftsrat*, 1903), drugi — monumentalne, zarówno w swym ogromie, jak w swej konwen-

cjonalnej brzydocie, pomieszczenie dla biur, w postaci potwornie rozległego budynku, który zajmuje długą połać południowego brzegu Tamizy naprzeciwko pięknego i wytwornego gmachu parlamentu. Te dwa budynki po dwóch stronach rzeki, to jakby naoczne przeciwstawienie dawnej i nowej tradycji: liberalnego indywidualizmu i biurokratycznego socjalizmu. Ale dom Rady hrabstwa Londynu nie jest jedynym nowszym pomnikiem przemian organizacyjnych w Anglji na obraz i podobieństwo ustrojów biurokratycznych na kontynencie Europy: właśnie w jesieni 1922 r. Lloyd George, wówczas jeszcze premjer, uroczyście otwierał w samem sercu Londynu inny ogromny nowy gmach, mieszczący kancelarje zarządu portu londyńskiego *(Port of London Authority)*.

Wojna na swój sposób pchnęła rozwój dalej na te tory, na które już przed nią wkroczył. Chlubą wielkich szpitali angielskich zawsze było, że utrzymują się całkowicie z dobrowolnych składek, — od pensa, rzucanego do skarbonki, do czeków na tysiące funtów od magnatów finansowych *City* londyńskiej. Dziś wymowniej niż cokolwiek innego świadczy o powojennej opresji ekonomicznej społeczeństwa angielskiego ten sensacyjny fakt, że wszystkie wielkie szpitale londyńskie stoją nad brzegiem bankructwa: odrapane fasady wspaniałych starych gmachów szpitalnych, oblepione afiszami błagalnie wołającemi o pomoc, są wyraźnem *memento,* głoszącem bliski już dzień, gdy cała ogromna dziedzina szpitalnictwa także spadnie na barki państwa.

Przytoczone przykłady zastanawiać tylko muszą szybkim i rozległym wzrostem funkcyj państwowych, ale naturą tych funkcyj wielkiego zdziwienia, a tem mniej zgorszenia, budzić nie mogą. Tak samo nie dał wiele te-

matu do zasadniczych refleksyj ten charakterystyczny fakt, również dokonany w ciągu ubiegłego roku, że pod naciskiem przymusu państwowego przeprowadzone zostało zjednoczenie licznych angielskich Towarzystw kolejowych w kilka większych terytorjalnych grup, co już właściwie oznacza przebycie połowy drogi od tradycji czysto prywatnej inicjatywy i wolnej konkurencji, dotąd panującej w kolejnictwie angielskiem, do kontroli rządowej nad całym systemem transportu.

Wszystko to jeszcze może nie budziłoby skrupułów moralnych w typowym Angliku XIX wieku. Ale jakżeby się zdziwił, gdyby, zmartwychwstawszy, przekonał się, jakie ogromne rozmiary przybrała działalność państwa w takiej dziedzinie, w XIX wieku zaledwie od czasu do czasu lekko przez inicjatywę społeczną dotykanej, jak budowa domów dla uboższej ludności! Dziś magiczne słowa *the housing problem* nie schodzą z porządku dziennego politycznie-społecznego. Nie jest przesadą powiedzieć, że zagadnienie budowy mieszkań państwowych dla klasy robotniczej w Anglji jest w ostatnich czasach kamieniem probierczym dla wszystkich programów i partyj politycznych. Postawił je w samem centrum wygórowanych oczekiwań powojennych Lloyd George, obiecując w czasie wojny patetycznie masom obywateli, co szli na front, że ci, co przetrwają wojnę, wrócą do domów, które będą „godnemi pomieszkaniami dla bohaterów“ *(homes for heroes)*. W tym samym czasie ten sam nieporównany demagog, jak mu to niedawno z wyrzutem przypomniano w listach do *Times*, bez zająknienia obiecywał, że *Boche* „wszystko zapłaci“ — i szkody wojenne i żołd dla inwalidów i pensje dla rodzin poległych — co kto chce. Dziś następcy Lloyd George'a borykają się z trudnościami,

stworzonemi przez obietnicę „domów dla bohaterów“, a spotęgowanemi przez to ogólno-europejskie powojenne przesilenie mieszkaniowe, które i Anglji nie oszczędziło. To też w czasie kampanji wyborczej w jesieni r. 1922 słowo *housing* rozlegało się na wszystkie tony po wiecach i w mowach agitacyjnych. Powietrze pełne było (i jest) oskarżeń i zarzutów; z goryczą stwierdzano, że rząd chce stawiać nie domy, lecz „nory królicze“ dla bohaterów *(rabbit hutches for heroes)*. Awanturnik literacki W. H. Crosland w książce *The Fine Old Hebrew Gentleman,* podnosząc przeciw rządowi Lloyd George'a oskarżenie (zgoła zresztą nie bezpodstawne) o przewagę wpływów żydowskich, wyszydził jego niespełnione obietnice, przekręcając je z *homes for heroes* na *homes for Hebrews* z wyraźną aluzją do zalewu przez wzbogacone żydostwo niektórych nowszych dzielnic Londynu (np. *Golders Green* na północy miasta). Na tę samą nutę toczyły się dalej namiętne rozprawy, gdy wreszcie rząd konserwatywny, najpierw Bonar Law'a, a potem Baldwina, przystąpić musiał do praktycznego rozwiązania tej groźnej kwestji mieszkaniowej. Charakterystyczne znowuż jest, że rząd, choć platonicznie oświadczył, iż w zasadzie budowę domów uważa za sprawę inicjatywy prywatnej, i choć zapowiedział, że ze względów oszczędnościowych wiele w tej rzeczy sam zrobić nie może, jednak poczuwał się do obowiązku możliwie najwydatniejszej akcji w tej dziedzinie. Spory w tej materji, jak zwykle w Anglji (a jak niestety rzadko u nas), toczą się nie o oderwane kwestje zasadnicze, lecz o sposób pogodzenia w praktyce wymagań ekonomji z wymaganiami wygody w tych budowach rządowych. A wymagania wygody ze strony „bohaterów“ są znaczne: jednym z najbardziej typowych epizodów

w trakcie dyskusji nad sprawą mieszkaniową w komisji Izby Gmin była burza rozpętana przez wzmiankę ministra o tem, że nie w każdem mieszkaniu robotniczem nowego typu będzie mógł być pokój bawialny *(parlour)* i nie w każdem będzie mogła być łazienka. Natychmiast z ław robotniczych rozległy się głośne protesty przeciw socjalnemu deklasowaniu robotnika przez odmawianie mu saloniku, i jeszcze głośniejsze przeciw oszczędzaniu na łazienkach, które dobitnie określano jako „jedną z najelementarniejszych konieczności życiowych". To też nowy Rząd robotniczy w r. 1924 przez swego ministra, p. Wheatley, musiał wystąpić wobec parlamentu z programem budowy domów rządowych dla robotników, wyrażającym się w zawrotnych cyfrach wydatków.

Dotarliśmy do sekretu, dlaczego tendencjom socjalistycznym w ustawodawstwie tak łatwo i bez oporu dają folgę wszystkie kolejne rządy, jakiekolwiek ich zabarwienie partyjne. Ławy robotnicze nie pozwalają na wahanie.

5.

Odkąd Partja Robotnicza wkroczyła do parlamentu angielskiego w sile 39 ludzi po pamiętnych wyborach r. 1906, postępy jej przy każdych kolejnych wyborach były coraz bardziej oszałamiające, a przewaga jej dążeń nad starem stronnictwem liberalnem, z którem zrazu była w przymierzu, stawała się coraz wyraźniejszą.

Jeszcze bardziej stanowczą wygraną przyniosła tej sile politycznej sama wojna. W ciągu wojny konieczność szybkiego zorganizowania przemysłu amunicyjnego postawiła żywioł robotniczy w kraju w położeniu dyktatorskiem, o ile chodziło o warunki wynagrodzenia za tę nie-

zbędną pracę. Ponadto wojna we wszystkich krajach z tą samą koniecznością wywołała różne eksperymenty państwowo-socjalistyczne w dziedzinie wytwórczości i rozdziału produktów, i to w znacznej mierze pozbawiło socjalizm partji robotniczej jego nieuchwytności i grozy. Nietylko organizm gospodarczy, ale i organizm partyjno-polityczny trzeba było naprędce przebudować na czas wojny dla stworzenia jednolitego frontu narodowego. Po rozebraniu tego budynku zapanowała desorjentacja i rozprzężenie w szeregach obu wielkich starych stronnictw — konserwatystów i liberałów — a przywileje przysłowiowego *tertius gaudens* przypadły w udziale tej trzeciej partji, która, przy wszystkich jaskrawych różnicach opinij i zasadniczych i taktycznych w swem łonie, zachowała jednak zwartość na zewnątrz: — partji robotniczej. Wybory w jesieni r. 1922 przyniosły jej niebywały skok naprzód w ilości zdobytych mandatów; przerwała linję obronną przeciwnika nawet w takiej twierdzy burżuazji, jaką są śródmiejskie okręgi wielkiego miasta przemysłowego Glasgow, gdzie walczył wśród innych sam premjer konserwatywny, Bonar Law. Rezultatem było, że partja robotnicza, wprawdzie jeszcze dość daleka liczebnie od absolutnej większości w Izbie i od władzy rządowej, zdobyła tę pozycję, która jest jedyną władzy alternatywą i ostatnim do niej stopniem w systemie parlamentarnym angielskim — mianowicie stanowisko uznanej opozycji. Wódz partji robotniczej, James Ramsay Macdonald, piastując uświęcony zwyczajem tytuł „przywódcy opozycji Jego Królewskiej Mości“ — a więc będąc niejako oficjalnym anty-premjerem, — zasiadł na pierwszem miejscu w pierwszej ławie opozycyjnej, pierwszy po przedstawicielu Rządu głos zabierał we wielkich dyskusjach. Poniżej

niego siedział i po nim dopuszczany bywał do głosu sędziwy przywódca liberałów, Herbert Henryk Asquith.

Już stanowisko oficjalnej opozycji w angielskim systemie konstytucyjnym wkłada na stronnictwo poważną odpowiedzialność: jest ono jakby „rządem w rezerwie". Nic więc dziwnego, że badawczy wzrok ludzi zamyślonych nad przyszłością Anglji i świata zwracał się już w r. 1923 bardziej uważnie niż kiedykolwiek na partję robotniczą, by znaleźć odpowiedź na pytanie, czy sprosta ona najpoważniejszej odpowiedzialności narodowej, czy w krytycznej chwili okazałaby się partją zdolną do rządów. Najzupełniej aktualnem stało się wreszcie to pytanie z końcem r. 1923, gdy ponowne wybory znów przyniosły partji robotniczej wielkie zwycięstwa i w rezultacie, posiadłszy blisko jednę trzecią głosów w Izbie, wydała z siebie Rząd Wielkiej Brytanji.

Jest elementarnym aksjomatem doświadczenia politycznego, że żadnego stronnictwa co do jego zdolności do rządzenia ostatecznie sądzić nie można według jego zachowania się, póki jest na dorobku. Władza głęboko zmienia i ludzi i grupy polityczne. Z jednej strony, przynosząc ze sobą odpowiedzialność, zmniejsza skłonność do idealistycznego ryzykowania, do mierzenia sił na zamiary, z drugiej znowu, dając siłę wykonawczą, pobudza do czynności twórczej, do wzniesienia się ponad bezpłodną krytykę, do ogarnięcia nowych i szerszych widnokręgów. *Es wächst der Mensch mit seinen höheren Zwecken,* jak pięknie powiedział Schiller.

Z tego względu nie należy może dziś, gdy partja robotnicza stanęła u władzy, przywiązywać zbyt wielkiej wagi do jej przeszłości politycznej. Skargi na partję w przeszłości — częste i głośne — streszczały się głównie

w dwóch punktach: po pierwsze, że partja ta jest niepatrjotyczną, powtóre, że jej program jest czysto klasowy.

Rzeczywiście w przełomowych dla Anglji i dla całej Europy chwilach partja robotnicza przez swoje zachowanie się mogła budzić oburzenie patrjoty. Nie okazała zrozumienia dla niebezpieczeństwa, grożącego całej cywilizacji europejskiej w chwili bolszewickiego najazdu na Polskę i projektowała wtedy nawet (ku swej hańbie) utworzenie „Rady czynnego oporu“ *(Council of Direct Action)* przeciwko wszelkim wysiłkom antybolszewickim, a nawet przeciwko rządowi własnego narodu. Ale wiemy, że wtedy i szef tego rządu, Lloyd George, był przygotowany wyciągnąć dłoń do bolszewików, gdyby zajęli Warszawę, i faktycznie wyciągnął ją do nich niewiele później w Genui. Zarówno on, jak partja robotnicza łudzili się fatą morganą dziewiczych bogactw Rosji i widzieli w stosunkach ze Sowietami sposób dźwignięcia handlu i przemysłu angielskiego z fatalnej stagnacji powojennej. *British policy is British trade* — „Polityka Anglji, to handel angielski“ — ta zasada w gruncie rzeczy była wspólną i kapitalistycznemu rządowi i socjalistycznej opozycji.

Równie spokojnie dziś, po podpisaniu pokoju lozańskiego, możemy spoglądać wstecz na drugie wystąpienie partji robotniczej z lat ostatnich, które już dotyczyło nietyle interesów cywilizowanej Europy w całości, ile Wielkiej Brytanji w szczególności, i było w swoim czasie z oburzeniem napiętnowane, jako niepatrjotyczne. Chodzi mianowicie o zbiorowy protest przedstawicieli Związków zawodowych, który w chwili największego naprężenia między Anglją a Turcją, we wrześniu 1922 roku, podciął najfatalniej groźne stanowisko Lloyd George'a w kwestji pozycyj brytyjskich wojsk koło Czanaku, na azjatyckim

brzegu Hellespontu. W gruncie rzeczy te same motywy, co wtedy partją robotniczą, kierowały o miesiąc później konserwatywnymi przeciwnikami Lloyd George'a, gdy go obalali za to, że prowadził „ryzykancką“ politykę zagraniczną i lekkomyślnie narażał państwo na wojnę przez swe „improwizacje“ dyplomatyczne. Jeżeli partja robotnicza pragnie pokoju, niemal że za wszelką cenę, to nie mniej pragnie go i najszowinistyczniejszy fanatyk imperjalizmu brytyjskiego, bo w danej sytuacji dziejowej widzi w nim jedyną drogę do odrodzenia handlu i przemysłu angielskiego, a co za tem idzie, wzmocnienia nadwątlonego *prestige* Wielkiej Brytanji na kontynencie europejskim. Najlepszem narzędziem utrzymania tego *prestige* jest w oczach przeciętnego obywatela angielskiego Liga Narodów; to też pracują nad jej spopularyzowaniem liczne *League of Nations Unions,* pokrywające siecią całą Anglję i jednoczące ogół drobnej inteligencji. Z drugiej strony partja robotnicza przy każdej sposobności odzywa się za przekazywaniem ważniejszych spraw międzynarodowych Lidze Narodów. I tu więc zachodzi różnica może w motywach i celach, ale nie w samej treści dążeń.

Jeżeli wreszcie dziś Rząd robotniczy przerywa rozpoczętą budowę wielkiej bazy dla floty wojennej w Singapore na wodach wschodnich, to poprostu dlatego, bo czuje, iż wielkie okręty już na wojnie grać nie będą tej roli, co dawniej. Ten sam Rząd z drugiej strony gorliwie dalej prowadzi ogromne nowe zbrojenia powietrzne, które Anglja w roku 1923 rozpoczęła, by się w tym względzie zrównać z Francją. Partja robotnicza te zbrojenia powietrzne w swojej zawziętości na Francję po okupacji zagłębia Ruhry przejęła jako część własnego programu,

gdy stanęła u rządu; a już i przedtem protesty jej przeciwko nim miały charakter raczej platoniczny.

6.

Poważniej napozór przedstawia się rozdźwięk między pewnemi metodami, jakiemi partja robotnicza dobijała się władzy, — a tradycyjnym indywidualizmem demokracji angielskiej. Często słyszy się narzekania, że sposoby walki, używane przez partję robotniczą, prowadzą, jak wszelki konsekwentny socjalizm, do zupełnego stłumienia osobistej wolności myśli politycznej i do zaniku tego konstytucyjnego przywileju obywatela angielskiego, jakim jest swoboda zrzeszeń. Jak się ta sprawa zbliska przedstawia nieuprzedzonemu obcemu oku? Wspaniały rozwój Związków zawodowych *(Trade Unions)* jest słusznie chlubą Anglji. Dzięki nim te nieuniknione w systemie kapitalistycznym wojny ekonomiczne, jakiemi są strajki, ujęte są w karby cywilizowanych konwencyj i wolne od nieokiełznanej namiętności. Ale wzrastająca potęga polityczna Związków dawno już myślących obywateli napełniała troską. Nowsza ich historja — to falowanie między okresami naporu czysto ekonomicznego a okresami wytężenia sił w kierunku zdobyczy politycznych. Gdy fala szła w stronę polityki, dobiegała już przed wojną do takich niesprawiedliwych ostateczności, jak osławiona ustawa *Trades Disputes Act* z r. 1906, znosząca odpowiedzialność Związków robotniczych za szkody strajkowe.

Partja robotnicza w parlamencie niewątpliwie wyrosła na granitowej opoce Związków zawodowych i bez

ich działalności nigdyby nie była powstała. Otóż na tej podstawie ustaliła się w ostatnich czasach praktyka traktowania Związków zawodowych, które właściwie winny stać na straży gospodarczych interesów klasy robotniczej — poprostu jako maszynerji agitacyjno-partyjnej dla parlamentarnego stronnictwa robotniczego. Stałymi funkcjonarjuszami Związków są nie robotnicy, lecz profesjonalni działacze polityczni, z których wielu awansuje stamtąd na posłów do parlamentu. A co za tem idzie, zarządy bez ceremonji używają funduszów Związków na agitację wyborczą i inne cele polityczne. Istnieje wprawdzie formalna klauzula, że wolno członkom Związków zastrzegać się, iż na cele polityczne wkładek nie płacą; ale tego rodzaju protesty mają nieprzyjemne następstwa dla wnoszących je jednostek. Z drugiej strony jeszcze nieprzyjemniejszem jest stanowisko robotnika, który do Związku, ze względu na jego określone polityczne zabarwienie, nie przystępuje. Indywidualista taki naraża się na bojkot i na utratę pracy pod naciskiem opinji Związku, wywieranym na pracodawcę. Przykłady tyranji Związków zawodowych i w sprawie użycia funduszów i w sprawie obowiązkowej przynależności robotników do nich, od czasu do czasu nabierają skandalicznego rozgłosu w prasie. Tak w r. 1924 jeden Związek żądał, by wywalczone przez strajk polepszenie płacy otrzymali tylko jego członkowie, a nie wszyscy robotnicy w danym przemyśle.

I to jednak ani nas dziwić nie może, ani zachowania się partji robotniczej po dojściu do władzy istotnie nie przesądza. Taka dyscyplina bowiem jest konieczną w postępowaniu stronnictwa, dążącego dopiero do władzy, i należy raczej do czasowej taktyki, niż do zasadniczego programu.

Jakże wyglądać będzie ten zasadniczy program? Na czelnym jego punktem, głoszonym zapamiętale podczas kampanji wyborczej w jesieni r. 1922 i podczas całej następującej potem sesji parlamentarnej, — jest konfiskata części kapitału narodowego w formie daniny państwowej *(Capital Levy)*. Danina ma być uniwersalnem lekarstwem na wszystkie powojenne kłopoty gospodarcze Anglji — ma przyspieszyć umorzenie wyolbrzymionego przez wojnę długu państwowego i umożliwić przeróżne inwestycje socjalno-filantropijne, oświatowe, higjeniczne. Krytycy tego pomysłu, podnosząc, że byłby on poderwaniem w korzeniu całego dobrobytu narodowego, — ze zwykłą wyspiarską wzgardą dla doświadczeń narodów kontynentu europejskiego nie raczyli interesować się kwestją, jakie były wyniki eksperymentu daninowego tam, gdzie go spróbowano. My Polacy wiemy z niedługiej i niewesołej historji naszej nowej skarbowości, że danina ani z jednej strony nie ma tak cudotwórczej siły uzdrowienia całej sytuacji gospodarczej za jednym zamachem, ani też z drugiej strony tak gruntownie nie zwala z nóg dobrobytu narodowego, ponieważ — *on trouve avec le ciel des accommodements*. Ale ograniczając się nawet do samych doświadczeń angielskich, trudno nie dziwić się lekko tej zawziętości, z jaką w listach do wielkich dzienników, w artykułach i przemówieniach wytaczano najcięższą artylerję wiedzy ekonomicznej przeciwko temu projektowi. Wszakże w gruncie rzeczy danina, nawet wysoka, efektem swym wiele różnić się nie może od dotychczasowego podatku, który, konfiskując jednę czwartą dochodów z przedsiębiorstw, bezlitośnie dławi handel i przemysł i pozbawia je możliwości organicznego rozwoju. Różnica jednak jest znaczną, powie przeciwnik daniny:

boć danina socjalistyczna będzie jednorazowym rabunkowym zamachem na część kapitału przemysłowego, którą jest nawet fizycznie niemożliwem wyciągnąć z zakładów, maszyn, materjałów i obrotu, podatki zaś wyciskały z tego wszystkiego soki żywotne sposobami przyjętemi, do przyzwyczajeń ludności i ustroju gospodarczego dostosowanemi, i przez to, przy całem obciążeniu, możliwemi do zniesienia. Słowem: nie tak straszne jest to, że Rząd robotniczy ściągnie z narodu daninę, ile to, jak ją będzie ściągał. Narazie zresztą partja robotnicza, doszedłszy do władzy bez absolutnej większości w parlamencie i zależna wskutek tego od poparcia mieszczańskiego stronnictwa liberalnego, hasło daniny podjąć w praktyce nie miała możności.

7.

Ale nawet na wypadek, gdyby partja robotnicza z czasem do pełnej i nieograniczonej władzy doszła, to płodniejszą może rzeczą niż dyskusja programu, który oczywiście będzie mniej lub więcej socjalistyczny, jest rozważanie, jak w świetle dotychczasowych stosunków przedstawia się jej przypuszczalna taktyka. Czy będzie ona bolszewicką, rewolucyjną, czy umiarkowaną, oportunistyczną, — czy w partji robotniczej górę weźmie jej prawica, czy lewica? Oto pytanie, od którego zależy w znacznej mierze przyszłość społeczna i polityczna Anglji. A nie zapominajmy, że ze względu na historyczną, przodującą rolę Anglji w rozwoju politycznym nowoczesnych społeczeństw europejskich, przyszłość społeczna i polityczna Anglji w znacznej mierze rozstrzygać będzie o kierunkach rozwoju całej tej Europy zachodniej i środkowej,

która ze swą wiekową kulturą jakoś jeszcze wyszła z piekła wojny i dotąd ocalała od pożogi bolszewickiej.

Bolszewizmem niema Anglików co straszyć — odpowiada zawsze w Anglji przeciętny obywatel, gdy mu cudzoziemiec (szczególnie taki, u którego wspomnienia z Rosji zostawiły piętno na całe życie) przedkłada grozę tych perspektyw. Zdrowy rozum i wysoki poziom oświatowy i moralny mas angielskich nigdy nie dopuści do niszczycielskich gwałtów na sposób bolszewicki. Przy istniejącej, drobno-kapitalistycznej psychice każdego angielskiego ojca rodziny niema się istotnie co obawiać przewrotowych zamachów na konstytucję i parlamentaryzm, na nietykalność własności prywatnej i na przewagę inteligencji w hierarchji społecznej.

Ale o ile *common sense* szerokiego ogółu jest czynnikiem uspokajającym, o tyle elementem niepokoju jest ten (zdaniem mojem) wogóle najniebezpieczniejszy w dzisiejszej Europie typ społeczny: doktrynerski krytyk i utopistyczny reformator socjalny w szeregach inteligencji, na wyżynach wykształcenia. Z szeregów prawdziwej inteligencji wychodzą ci zapamiętali zapaleńcy, co prowadzą w Anglji agitację komunistyczną, — nietylko płatną z sowieckiej Rosji, ale samorodną i domową. Okrzyczanem jej narzędziem stały się *Socialist Sunday Schools,* gęsto po kraju organizowane na obraz i podobieństwo dawnych, religijnych „szkółek niedzielnych“, i wpajające w dzieci na sposób ochronek bolszewickich „proletarskie“ dogmaty walki klasowej i fałszywego humanitaryzmu. Z wybitnym przedstawicielem tego radykalizmu inteligenckiego spotkałem się pewnego wieczoru w gościnnym domu polskim w Londynie, w postaci kierownika działu zagranicznego w znanej skrajnie lewicowej gazecie *Daily Herald.* Mr. Ewer,

młody człowiek, nienagannie ubrany i o wytwornych manjerach, objawiał w rozmowie wykwintną kulturę literacką i filozoficzną, wyniesioną z uniwersytetu oxfordzkiego, który ukończył. Zarazem jednak z zapałem deklamował swe zachwyty nad Leninem, Trockim i sowiecką Moskwą, którą na własne oczy jako gość bolszewików oglądał, — i z uniesieniem powtarzał najdemagogiczniejsze frazesy z toczącej się właśnie kampanji górników angielskich o niemożliwe w danej sytuacji gospodarczej płace. Gdy mu przy pożegnaniu powiedziałem, że wiem, iż od zachowania się socjalistów angielskich zależy przyszłość świata cywilizowanego, że przewiduję możliwą sytuację, w której znowu będą tylko dwa obozy polityczne w Anglji: rozbitki starego konserwatyzmu i liberalizmu z jednej strony, a zjednoczeni socjaliści z drugiej, — odpowiedział z uprzejmym uśmiechem na ustach, ale błyskiem w oczach: „Panie, już teraz są tylko dwie partje".

Wobec takich zjawisk nie można z niezmąconem ukontentowaniem patrzeć na wzrastający raptownie napływ inteligentów w szeregi partji robotniczej. Sama w sobie rzecz ta wydałaby się właśnie najpożądańszą w świecie: jeżeli ma dojść ostatecznie do nowego ugrupowania na dwie partje — burżuazyjną i socjalistyczną, — cóż może być lepszego nad to, żeby dla równowagi w zapasach politycznych i odebrania im ostrza walki klasowej mózgi wykształcone rozdzielały się równomiernie na obie strony, i żeby ich weszło jak najwięcej do stronnictwa, reprezentującego żywiołową siłę pracy fizycznej? Objaw, zdawałoby się, równie dodatni, jak zaznaczający się u nas w ostatnich czasach dopływ inteligentów do stanowego stronnictwa chłopskiego. Ale wszystko zależy od tego, jaki typ inteligenta wybija się na front i uzyskuje wpływy

partyjne z pośród tej nowej domieszki. Otóż o ile nikt nie może nie uważać za rzecz pożyteczną, że w szeregach partji robotniczej w parlamencie angielskim szybko robi karjerę polityczną taki wytrawny znawca życia, świata i ludzi, jak rutynowany adwokat londyński, Patrick Hastings, o tyle za mniej dobrą wróżbę można poczytywać wstąpienie na arenę praktyczno-polityczną w nowym parlamencie takiego światowej sławy luminarza historji i teorji ekonomicznej, jak Sidney Webb.

Profesor Sidney Webb, małego wzrostu, krępy, z kozią bródką i w okularach, typowy mól książkowy, i jego małżonka Beatrice, dystynkcją postawy i wdziękiem osobistym zdradzająca pochodzenie ze sfery o wysokiej kulturze towarzyskiej — oboje nie od dziś znani są całemu światu naukowemu przez takie obszerne dzieła, jak *Historja Związków Zawodowych* lub *Historja samorządu miejscowego w Anglji*. Znani są także jako wybitni członkowie tego grona akademickich myślicieli socjalistycznych, które od dziesiątków lat jednoczyło się w londyńskiem „Towarzystwie Fabjańskiem“ i puszczało w świat broszury, mające przygotować umysły ogółu obywateli do reform ustawodawczych w duchu socjalistycznym. Po wojnie położyli pieczęć na swej przeszłości naukowej i propagandystycznej przez swą głęboko pomyślaną, niewielką książkę socjologiczną *O upadku kapitalistycznej cywilizacji (The Decay of Capitalist Civilisation)*. Że kapitalistyczny ustrój gospodarczy płaci za zalety rozbudzonej przedsiębiorczości osobistej krzywdami wielkich nierówności społecznych; że ustrój ten w ostatnich dziesięcioleciach objawia wyraźne symptomy czy uwiądu starczego, czy jakiejś trawiącej gorączki; że po katakliźmie wojny trzeszczy we wszystkich swych wiązadłach pod brzemie-

niem bied powojennych, — tego nie trzeba było na nowo faktami i argumentami naukowemi popierać, jak to uczynili państwo Webb, bo i tak wszyscy rozważni ludzie zdają sobie z tego sprawę. Natomiast jak ma być urządzoną socjalistyczna przebudowa społeczeństwa, żeby obecne ostre niedomagania usunąć, a niczego cennego nie zburzyć, tego państwo Webb nam nie powiedzieli. Może dlatego, że przy całej swej uczoności pytania w tej formie postawionego rozwiązaćby nie potrafili. Ale i dlatego, że go sobie w tej formie nie stawiali. Wydali przecież jeszcze w r. 1920 projekt „Konstytucji socjalistycznej republiki brytyjskiej“ *(Constitution of the Socialist Commonwealth of Great Britain)*, ale to jest raczej utopijny manifest, abstrakcyjna „Deklaracja Praw Człowieka“ nadchodzącej rewolucji socjalnej, niż konstruktywne ujęcie praktycznego problematu w danych konkretnych warunkach. Takie widocznie nie może się wyłonić z ich teoretyzujących głów. To jest główne wrażenie, jakie wyniosłem z długiej rozmowy z uczonymi małżonkami za gościnnym stołem wspólnej znajomej, Amerykanki w Londynie. Fakt, że gospodyni jest żoną profesora ekonomji politycznej w uniwersytecie rzymskim i czynnego liberalnego polityka włoskiego, sam sprowadził rozmowę na tory polityki socjalnej i ekonomicznej. I oto zdumiałem się, widząc, jak twardo i nieugięcie logicznemi schematami i dogmatycznemi przekonaniami operują te dwa umysły, tak bogate przecież w wiedzę historyczną z całą jej rozmaitością doświadczenia. Wiedziałem zdawna, jak bezustannie jeszcze w Anglji przedwojennej ze strony kapitału czynione były starania nad złagodzeniem walki klasowej przez dopuszczanie robotników w tej lub owej formie do udziału w zyskach przedsiębiorstw. Nasłuchałem i na-

czytałem się dość o tych eksperymentach, wznowionych na większą skalę i po wojnie, czyto w postaci automatycznej regulacji płac (jak to ma oddawna miejsce w przemyśle bawełnianym w Lancashire), czyto przez nadawanie akcyj robotnikom i wypłacanie im dywidend (jak to na większą skalę uczynił Ford w Ameryce), czy wreszcie w drodze bezpośredniego ich dopuszczania do kontroli kasowej i procentowego udziału w zyskach. Wspominając o takich wysiłkach, ośmieliłem się wyrazić zdziwienie, dlaczego żaden z tych różnych sposobów jakoś nie trafił do przekonania praktycznej duszy robotnika angielskiego i nie był uwieńczony większem powodzeniem. Na to państwo Webb odpowiedzieli odruchowo i prawie jednogłośnie: „To jest przeciwne naszym zasadniczym poglądom, my tego nigdy nie popieraliśmy i popierać nie będziemy, więc ono powodzenia mieć nie może“. Dalsza dyskusja w tym kierunku oczywiście po takiem *dictum* upadała. Nie trzeba tłumaczyć, jakim szkodnikiem ortodoks tego typu stać się może, gdy jako Egerja naukowa partji robotniczej zasiadł w Izbie Gmin, a obecnie już i w gabinecie.

8.

Izba Gmin — to miejsce ostatecznej próby dla partji robotniczej. Przedziwny mechanizm najstarszego z parlamentów dotychczas zawsze umiał zemleć na bielutką mąkę spokojnej kurtuazji parlamentarnej nawet najgrubsze ziarno fanatycznej pasji partyjnej i zgoła nieparlamentarnych manjer. W r. 1923 odbyła się w gotyckim pałacu nad Tamizą niezwykła i wzruszająca uroczystość. Fetowano „Ojca Izby“, czyli najstarszego posła. Jest nim jeden z niewielu

pozostających jeszcze w parlamencie angielskim Irlandczyków, T. P. O'Connor, który od pół wieku zasiada w Izbie Gmin, a od długiego szeregu lat reprezentuje zamieszkały przeważnie przez Irlandczyków okręg wyborczy miasta Liverpoolu. „T. P.", jak go krótko nazywają, znany jest w całem towarzystwie londyńskiem, jako żywa kronika anegdotyczna i biograficzna ostatnich kilku dziesięcioleci życia politycznego Anglji: gawędzi bez końca i bardzo mile o ludziach i rzeczach z czasów Gladstone'a i Disraelego za stołem biesiadnym i na łamach gazety niedzielnej *Sunday Times*. Na jego uczczenie zebrali się najstarsi i najdostojniejsi mężowie w parlamencie: *speaker* Izby Gmin, premjer, stary wódz liberałów Asquith, sam gromowładny Lloyd George, i inni. I oto ich przemówienia, a najwyraźniej przemówienie samego solenizanta, przypomniały światu, że ten sam T. P. O'Connor, czczony dziś jako wcielenie najlepszej tradycji parlamentarnej, rozpoczął przed pół wiekiem karjerę, jako jeden z dzikiej watahy obstrukcjonistów irlandzkich, otaczających głośnego w swym czasie bojownika o samorząd Irlandji, Parnell'a, — i że, jak sam powiada, nauczył się regulaminu Izby (co do którego dziś jest wyrocznią), naruszając jego punkty jeden za drugim.

Czy można wróżyć podobną przyszłość nieokrzesanym gwałtownikom, głównie z południowej Szkocji, którzy od jesieni r. 1922 zasiadają w parlamencie jako skrajna lewica partji robotniczej i zakłócają dystyngowaną atmosferę Izby takiemi okrzykami, jak niedawny: „mordercy"! pod adresem ministrów, co ich zdaniem niedość robią w sprawie higjeny dzieci proletarjatu? Czy cała partja robotnicza dokumentnie się sparlamentaryzuje i, doszedłszy do całkowitej i wyłącznej władzy, przeprowadzać bę-

dzie swój program przyjętemi w Anglji, spokojnemi i prawnemi metodami w ramach istniejącego ustroju konstytucyjnego? Ufnością w tym względzie napawać nas musi przedewszystkiem osoba przywódcy parlamentarnej partji robotniczej. James Ramsay Mac Donald słynie i u przeciwników jako nieposzlakowany wzór ogłady, kurtuazji, rozwagi, spokoju i taktu w debatach i jako zazdrosny stróż i obrońca etykiety parlamentarnej. Ale czy prawica partji, przez niego tak świetnie reprezentowana, nie dostanie się w krytycznej chwili pod dyktaturę burzliwych i demagogicznych żywiołów skrajnych? Wprawdzie niedawno jeszcze partja na wielkim krajowym zjeździe w Londynie uroczyście się wyrzekała wszelkiej łączności z brytyjską partją komunistyczną i postanowiła nie upominać się o krzywdy tych kilku ultra-radykalnych posłów robotniczych, którzy za grube naruszenia przyzwoitości parlamentarnej zostali wykluczeni z Izby na dłuższy okres. Ale posłowie ci rychło potem ze względu na ważność debat wrócili bezkarnie i znowu hałasowali. A że posłowie, deklarujący się jako komuniści, na podstawie uchwały wydziału partji robotniczej w parlamencie nie dostają jej oficjalnych uwiadomień o ważnych dyskusjach i głosowaniach — tak zwanych „biczów partyjnych“ *(party whips)* — to sprawa czysto formalna, i również stanowczego odgraniczenia prawicy od lewicy partji robotniczej nie stanowi.

Patrząc jednak na samą ową namiętną lewicę partji, niepodobna oprzeć się i wtedy jeszcze optymistycznej wierze w żywotność parlamentaryzmu angielskiego. Przedewszystkiem w tej skrajnej połaci partji pojawiają się już prawdziwe kwiaty tego, co terminem, niesłusznie przywłaszczonym przez sowiecką Moskwę, możemy nazwać „proletarską kulturą“. Właśnie w sesji parlamen-

tarnej r. 1923 przez równie piękną i poetycką, jak płomienną mowę „dziewiczą“ w Izbie Gmin zwrócił na siebie powszechną uwagę poseł James Welsh, który urodził się jako jedno z licznych dzieci ubogiego górnika w Walji i sam od dwunastego roku życia zjeżdżał na robotę do kopalni. Ten sam nowy poseł już poprzednio dał się poznać przez poezje. Nie można bez głębokiego rozrzewnienia czytać jego autobiografji, w której opisuje, jak wśród nędzy proletarjackiego żywota budził się w nim zachwyt dla wiosennego piękna przyrody i natchnienie do pieśni, jak w czternastu leciech, zasłuchany w pienia skowronka, napisał pierwszy swój wiersz, i jak rozumną pochwałą zachęciła go do dalszej twórczości biedna, zapracowana matka.

Są oczywiście pośród skrajnych także typy zgoła inne. Niemiłego rodzaju popularność zdobył sobie w r. 1923 jako nieznośny krzykacz poseł z Motherwell, Newbold, który pompatycznie oświadczył, że zasiada w tej Izbie jako przedstawiciel komunistycznej Międzynarodówki i że „z dumą kroczy pod czerwonym sztandarem Lenina“. Ale oto w odpowiedzi na tak obrażające dla parlamentu odezwanie, zamiast patetycznych protestów, rozległ się chóralny, homerycki śmiech. I ten niezrównany środek wychowawczy już robi swoje, choć poseł Newbold i jemu podobni dąsają się przeciw niemu jeszcze, jak krnąbrni chłopcy na nauczyciela. Ten sam poseł Newbold, wykluczony na szereg posiedzeń za swoje ekscesy, już zdobył się na to, by marszałkowi podziękować za „niezmienną uprzejmość“, z jaką stale z nim postępował, i poddając się orzeczeniu, dobrowolnie wyszedł, składając żartobliwie przesadny ukłon w stronę krzesła prezydjalnego. Wolno może w tym ukłonie widzieć uspakajający zada-

tek parlamentarnej i konstytucyjnej przyszłości socjalizmu angielskiego.

9.

Oprócz niechybnego działania prastarej angielskiej maszyny parlamentarnej na ogniste temperamenty młodych radykałów, jest jeszcze jedna ważna rękojmia, że jakiekolwiekby przyszłość przyniosła przemiany, dokonają się one w normalnej drodze ustawodawczej i bez wstrząsających konfliktów. Rękojmię tę stanowi charakter opozycji, jaką przeciwko rządowi robotniczemu prowadzić będą zjednoczone grupy zachowawcze. Ewentualność ta może nie jest bliską. Może nawet mają słuszność ci, którzy — jak nasz edynburski przyjaciel, profesor Sarolea, w rozmowie z niżej podpisanym — przepowiadają w całej Europie, a więc także i w Anglji, potężną falę reakcji antysocjalistycznej, i widzą w meteorycznem zjawisku faszyzmu włoskiego zwiastuna tej nowej ery. Piszący te słowa z różnych znaków na niebie i ziemi — przynajmniej o ile chodzi o Wielką Brytanję — takiego prognostyku wyczytać nie może, i uważa raczej za prawdopodobne, że nawet gdyby obecny Rząd robotniczy upadł, partja robotnicza po krótszym czy dłuższym czasie znowu dojdzie do władzy, i to już absolutnej, nie skrępowanej względami na jakiegoś aljanta, jak obecnie.

Przypuściwszy więc — dla dyskusji — że czas ten będzie niedługi, czy wynikająca konfiguracja stronnictw da gwarancje spokojnego, konstytucyjnego rozwoju?

W nowym układzie przedewszystkiem nie będzie już miało miejsca — nawet kątem, jak obecnie, — stare stronnictwo liberalne. Jego hasła nieograniczonej wolno-

ści osobistej, wywodzące się jeszcze od ideałów rewolucji francuskiej, w sferze politycznej wyczerpały się przez stopniowe ich urzeczywistnienie w klasycznej erze liberalnego ustawodawstwa gladstońskiego, zaś w sferze gospodarczej stały się niemożliwemi do utrzymania wskutek potworności socjalnych, wytworzonych przez nieokiełznaną wolną konkurencję przedsiębiorców kapitalistycznych. W dziedzinie polityki zagranicznej doktryneryzm liberalny Gladstone'a, powodując porażki dyplomatyczne i utraty *prestige'u* Wielkiej Brytanji, musiał ustąpić zdecydowanemu imperjalizmowi Disraelego. Tak się stało, że w początkach XX wieku stronnictwo liberalne, szczególnie gdy w r. 1906 znowu doszło do władzy, było w sprawach zagranicznych nie mniej stanowczo imperjalistyczne, niż jego przeciwnicy konserwatywni, a w sprawach domowych przeprowadzało program ustawodawczy socjalistyczny, a nie liberalny. Bohaterem tego kierunku państwowo-socjalistycznego, zwalczanym z odpowiednią zaciętością przez stronę przeciwną, stał się Lloyd George, przez swe epokowe ustawy o ubezpieczeniu społecznem i rewolucyjne wytrącenie resztek władzy ustawodawczej z rąk Izby Lordów. Przez dziwną ironję losu ten sam człowiek potęgą swojego autokratycznego temperamentu i swej gigantycznej ambicji osobistej rozsadził to stronnictwo liberalne, na którego czoło się wybił. Z tą samą siłą woli i bezwzględnością, z jaką przed wojną na czele liberałów przeprowadzał reformy socjalistyczne, w czasie wojny odtrącił liberałów od steru rządów, utworzył koalicję z konserwatystami, zorganizował wszystkie siły kraju do długotrwałej walki i zapewnił zwycięstwo. W dalszym ciągu ta sama siła woli, objawiając się już jako niczem nieosłonięta miłość władzy, przez szereg imponujących w swym

cyniźmie krętactw politycznych sztucznie utrzymywała przy życiu przez kilka lat po wojnie ową wojenną koalicję konserwatywno-liberalną aż do zupełnego jej moralnego zdyskredytowania i buntu opinji publicznej. Przyszła, jesienią r. 1922, katastrofa, ale nietylko dla koalicji, lecz także dla obu wielkich starych stronnictw, z których się składała. Oba uległy rozbiciu na frakcje. Do walki wyborczej stanęli koalicyjni i antykoalicyjni konserwatyści, koalicyjni i antykoalicyjni liberałowie. Pierwsi do jakiego takiego ładu doszli konserwatyści, dzięki silnym zawsze w tej partji pierwiastkom dyscypliny i autorytetu, — i dziś są już znowu zjednoczonem stronnictwem. Natomiast w łonie liberałów potężna osobistość i potężniejsza jeszcze ambicja Lloyd George'a stanowi nadal przeszkodę, o którą rozbijają się wszystkie wysiłki zreorganizowania wielkiej, jednolitej partji liberalnej. On mógłby w niej być tylko *aut Caesar aut nihil*, a że jest w pełni sił i ustąpić z widowni nie myśli, zaś starzy liberali pod jego komendę za nic w świecie nie pójdą, więc powstaje dylemat nie do rozwiązania. Lloyd George, jakby umyślnie chciał drażnić tych wszystkich, których oczy są na niego skierowane, to rzuca poważne napomnienia do tworzenia wspólnego frontu przeciw falangom socjalizmu, to znowu tonem wyroczni prawi o potrzebie wielkich państwowych reform socjalnych, słowem, trzyma dla siebie otwarte różne drogi do nowej władzy. W rezultacie bardzo możliwe jest, że liberali starszego typu pójdą ostatecznie na prawo, liberali młodszego autoramentu na lewo, i jako dwa wielkie stronnictwa przyszłości staną naprzeciw siebie: wzmocniona o część liberałów partja konserwatywna, i wzmocniona o drugą część liberałów partja robotnicza.

10.

Co wtedy?

W tej właśnie możliwej sytuacji niedalekiej przyszłości rękojmię przeciw gwałtownym konfliktom klasowym i przewrotom rewolucyjnym w Anglji wolno upatrywać w nowej strukturze partji konserwatywnej i w starej już jej tradycji. Domieszka najbardziej ideowego odłamu liberałów, prawdziwej „starej gwardji", z tak czcigodnymi mężami, jak Asquith, na czele, wzmocniłaby w partji konserwatywnej ten element myśli postępowej i demokratycznej, który tkwi w niej silnie od czasów największego konserwatywnego wodza w Anglji XIX wieku, genjalnego dorobkiewicza Disraelego. Już przed nim widniały w historji partji konserwatywnej angielskiej takie zupełnie niezwykłe postacie, jak lord Shaftesbury, słusznie niedawno uczczony zajmującą biografją w serji *Twórcy XIX wieku.*[1] Dowiadujemy się z niej, że ten arystokrata był fanatycznym konserwatystą i zawziętym wrogiem nawet pierwszej i najskromniejszej z reform wyborczych angielskich — reformy r. 1832, dającej prawo głosu ogółowi klasy średniej w miastach przemysłowych. Zarazem jednak z niegasnącą energją walczył całe życie o ustawowe polepszenie doli robotnika fabrycznego i o państwową jego ochronę przed niesłychanym wyzyskiem przez rozpasany kapitalizm szkoły manchesterskiej, znany nam dziś w jaskrawych kolorach z kart Dickensa. W świetle dzisiejszych stosunków państwowej opieki nad pracą wprost

---

[1] J. L. Hammond and Barbara Hammond: *Lord Shaftesbury* (Londyn, Constable, 1923, w serji *Makers of the Nineteenth Century).*

legendarnemi nam się dziś wydać muszą takie szczegóły, jak ten, że czternaście lat zaciętego oporu (1833—1847) przemóc musiał lord Shaftesbury, zanim nareszcie przeszła ustawa o ograniczeniu pracy małoletnich w przemyśle do — dziesięciu godzin na dobę! To było w Anglji i w XIX wieku! Tak: ale było w czasie, gdy nieskrępowana przez państwo swoboda przedsiębiorczości przemysłowej była kardynalnym dogmatem ekonomji politycznej i panującej myśli społecznej. Gdy sobie to przypomnimy, potrafimy należycie ocenić romantyczne bohaterstwo tego arystokratycznego Don Kiszota.

Lord Shaftesbury jednak był jeszcze w szeregach konserwatywnych postacią odosobnioną. I on podobno znacznie mniej niż losem robotników fabrycznych w miastach, przejmował się dolą robotników rolnych na swych własnych majątkach wiejskich w hrabstwie Dorset.

Dopiero odkąd Disraeli, wybiwszy się na front partji konserwatywnej, z całą śmiałością człowieka niezwiązanego żadnemi tradycjami, uczynił pamiętny „skok w ciemność“ *(leap in the dark)* przez reformę wyborczą r. 1867, nadającą szerokim masom robotniczym w miastach przemysłowych prawo wyborcze, odtąd w całej już partji konserwatywnej angielskiej zawsze żywe było poczucie, że trzeba „z żywymi naprzód iść“ i liczyć się z wymaganiami i dążeniami nowoczesnej demokracji. Załamał się wprawdzie jeszcze później lord Randolph Churchill przy wysiłku utworzenia nawskróś demokratycznego stronnictwa neo-konserwatywnego, ale to dlatego tylko, że poczynał sobie zanadto zapalczywie i po młodzieńczemu, nie dbając o stworzoną już przed nim tradycję demokratycznej polityki socjalnej konserwatystów. Wystarczy zaś spojrzeć na jakikolwiek manifest programowy

partji konserwatywnej, lub wybitniejszą mowę czy artykuł polityka konserwatywnego na całej przestrzeni ostatnich kilku dziesięcioleci, by nie wątpić, że stronnictwo to w nowszych swych fazach zawsze najtroskliwiej zabiega o zaufanie i życzliwość tych potężnych bataljonów wyborczych, które rozstrzygają wielkie bitwy polityczne w dzisiejszem państwie ściśle według maksymy napoleońskiej *(La victoire est toujours aux gros bataillons)*. Wystarczy przypomnieć, że *gradus ad Parnassum* dla jednego z największych Torysów-imperjalistów nowszych czasów, Józefa Chamberlaina, była godność burmistrza wielkiego miasta przemysłowego Birminghamu, gdzie wsławił się przez zupełne zniesienie plugawych dzielnic proletarjackich i budowę zdrowych i przyzwoitych miejskich mieszkań robotniczych na wielką skalę. A drugi wielki Tory-imperjalista w naszych własnych dniach, były dumny *proconsul* Wielkiej Brytanji w Afryce południowej, lord Milner, na wiosnę r. 1923 zelektryzował całą opinję publiczną angielską przez serję artykułów *Towards Peace in Industry,* drukowaną na wiosnę r. 1923 w niedzielnej gazecie *Sunday Times* i wydaną później w formie książki. Było się istotnie czem zdumiewać: bo oto wielki polityk-realista, znany dotąd głównie jako nieugięty administrator kolonjalny, po głębokiem zastanowieniu nad groźnemi zagadnieniami społecznemi doby obecnej, jako jedyną drogę ku upragnionemu „pokojowi w przemyśle“ (zapowiedzianemu w tytule) wskazuje odważne i daleko idące dopuszczanie robotników do uczestnictwa nietylko w zyskach przedsiębiorstw, ale w ich administracji finansowej, prowadzeniu technicznem i ogólnej polityce rynkowej. W praktyce ta śmiała reforma, zdaniem lorda Milnera, urzeczywistnić się może przez rozbudowę istnie-

jącej już miejscami instytucji pojednawczej, złożonej z przedstawicieli pracodawców i robotników, mianowicie tak zwanych „Whitleyowskich Rad przemysłowych“. Dotychczasowe niewielkie powodzenie tych organizacyj na gruncie angielskim, spowodowane przez niechęć pracodawców z jednej strony, a nieufność robotników z drugiej, nie odstrasza lorda Milnera, a podobieństwo do bolszewickich „komitetów fabrycznych“ go nie przeraża.

Wobec tak zadziwiających przykładów chyba wierzyć wolno, że gdyby naprawdę stanęły wreszcie oko w oko w systemie politycznym angielskim te dwie partje, o których, jako o już istniejących, mówił redaktor zagraniczny *Daily Herald* we wspomnianej powyżej rozmowie — a więc partja „burżuazyjna“ i partja „proletarjatu“, — to nic podobnego do wypadków rosyjskich w Anglji nie zajdzie. Przeciwnie, przy zupełnej zgodzie między obu stronami na zasadę, że podniesienie materjalnego dobrobytu mas jest jednym z najistotniejszych celów dzisiejszego państwa, walka w ramach czysto parlamentarnych i konstytucyjnych toczyć się będzie jedynie o zakres i możliwość tych ulepszeń ustawodawczych, o ich sposoby i środki — *ways and means*, jak brzmi sakramentalna formuła w debacie budżetowej angielskiej.

Zatrzymałem się tu umyślnie tylko przy jednej stronie obrazu — przyszłości obozu „burżuazyjnego“, który niewątpliwie potrafi myśleć nie mniej socjalnie i demokratycznie, niż wymienieni powyżej konserwatywni mężowie stanu ostatnich dziesięcioleci.

Drugą stronę obrazu — nową kompleksję partji robotniczej, obarczonej odpowiedzialnością za rządy kraju, i wzmocnioną dopływem lewego skrzydła partji liberalnej — już poczęła malować na naszych oczach historja

z końcem 1923 i początkiem 1924 r. Dotychczas wprawdzie niema fuzji z częścią liberałów, tylko luźny sojusz parlamentarny z całem ich stronnictwem, krępujący partję robotniczą w najistotniejszych jej dążeniach programowych. W każdym razie ani skrupulatna praworządność gabinetu Mac Donalda, ani lojalność „burżuazyjnej“ opozycji dotychczas nie pozostawiają nic do życzenia. O konstytucyjną i ewolucyjną przyszłość Anglji można być zupełnie spokojnym.

11.

Przewidując jednak, że zgrupowane w przyszłości znowu tylko w dwa wielkie obozy polityczne, przeciwne siły społeczne walkę swą toczyć będą według wszelkich etykietalnych zasad tradycyjnego angielskiego sportowego *fair play* w niewzruszonych ramach porządku parlamentarnego, musimy sobie zdać sprawę z tego, że od tak jasnej sytuacji socjalnej i od tak normalnego toku konfliktów politycznych jesteśmy jeszcze dość daleko. Dzisiejszą Anglją targają, jak całą powojenną Europą, coraz nowe konwulsje głębokiego niepokoju wewnętrznego. Czyż nie jest znamiennem, że miodowym miesiącom Rządu robotniczego w tym roku Pańskim 1924 towarzyszą wybuchy jednego po drugim potężnych strajków w najżywotniejszych dla społeczeństwa dziedzinach pracy. Strajki dotąd szybko i sprawnie zażegnywane, jednak wszystkie w swej genezie są objawami niesforności mas robotniczych nawet w stosunku do dyscypliny własnych zrzeszeń i autorytetu własnych przywódców.

I nie jest to bynajmniej jedyny objaw, świadczący, że naród przeżywa okres krytyczny.

Górującem wrażeniem z dzisiejszych stosunków wewnętrznych angielskich raczej jest to, że społeczeństwo znajduje się w stanie głębokiego fermentu, w którym na najistotniejsze ustalone formy, instytucje i tradycje działa ostry kwas niebywałej krytyki, i zapowiada się ich przetworzenie na rzeczy nowe, zgoła odmienne, a narazie nieznane i nieokreślone.

Kilka przykładów z życia i z tego jego zwierciadła, którem jest literatura.

Atmosfera Anglji nasycona jest historją; stąd poszanowanie, z jakiem ogół narodu odnosi się do wszelkich starych tradycyj, zwyczajów, a nawet najdziwaczniejszych zewnętrznych symbolów, gdy wieje od nich wiekami dziejów. Wszak w Anglji dotąd sędziowie i adwokaci w czasie rozpraw, oraz *speaker* Izby Gmin w czasie obrad noszą peruki, a profesorowie i studenci starych uniwersytetów chodzą na wykłady w togach. I jest harmonja między temi zewnętrznemi akcesorjami a żywotną treścią instytucyj, które zdobią: bo i w prawie angielskiem i w procedurze parlamentarnej i w organizacji uniwersyteckiej pełno średniowieczyzny, w którą wniknąć można tylko przy pomocy głębokich i szczegółowych studjów historycznych.

Ten konserwatyzm w stosunku do symbolów i systemów cechuje także te klasy, które od stosunkowo niedawnych czasów są na dorobku, własnej wiekowej tradycji nie mają i wykształceniem historycznem celować nie mogą. Często powtarzaną jest w Londynie autentyczna anegdotka, jak pierwszy robotnik angielski, co został ministrem, John Burns, oprowadzał gościa z Ameryki po Londynie i z dumą mu pokazywał Tamizę z mostu koło parlamentu. Amerykanin, dając wyraz rozczarowaniu, miał powiedzieć, że Tamizę możnaby nieść przez

Mississippi i dziesięć razy zgubić po drodze. Na to zaś Burns odrzekł z godnością: „Tak, ale Mississippi, to tylko woda, a Tamiza — to płynna historja!“

Niemniej znamiennym jest świeży fakt, że choć niejeden poseł robotniczy deklamuje o konieczności przekształcenia Anglji na republikę — prawi o tem i literat-socjalista Wells w takich swoich dziełach, jak *The New Republic*, — jednak wielka część członków partji robotniczej w r. 1923 zdecydowała się przyjąć zaproszenia na tradycyjne przyjęcia dworskie w pałacu królewskim, urządzane kilkakrotnie w ciągu sezonu specjalnie dla posłów, a w r. 1924 widziało się robotniczego premjera Mac Donalda w szamerowanym mundurze dworskim, asystującego przy przyjęciach królów włoskiego i rumuńskiego przez monarchę W. Brytanji.

Otóż powracając do stwierdzonego na początku tego ustępu wrażenia, że Anglja jest w stanie jakiegoś krytycznego fermentu, trzeba zaznaczyć, że właśnie to dotychczasowe poszanowanie szerokiego ogółu obywateli angielskich dla ustalonych przez długi rozwój historyczny form życia społecznego poczyna zanikać i fasada budynku socjalnego pokrywa się rysami.

Cechą tej fasady była dotychczas większa niż w innych krajach k a s t o w o ś ć. Anglja, radykalniej i szczerzej zdemokratyzowana politycznie w ciągu XIX wieku, niż niejeden kraj na kontynencie europejskim, zarazem jednak uporczywiej i ściślej przestrzegała etykietalnych różnic klasowych w życiu towarzyskiem, niż wszystkie inne narody cywilizowane. *I know my place, Sir* („Wiem, jakie jest moje miejsce, szanowny panie“) — mówi z godnością stary kelner w nadmorskim hotelu w sztuce Bernarda Shaw *You Never Can Tell*, gdy wobec przybycia jego syna, poważanego adwokata z Londynu, goście ho-

telowi proszą ojca, by zasiadł z nimi do stołu. Uznanie hierarchji towarzyskiej szło nawet w parze z dumą stanową u tych, co świadomie stali na jej szczeblach podrzędnych: majestatyczny „majordomus“ czyli *butler* w zamożnym domu angielskim, napełniał cichą trwogą serca takich gości, co niezupełnie byli pewni wszystkich sakrametalnych szczegółów etykiety, a czasem bywał nawet postrachem dla samych gospodarzy, o ile byli dorobkiewiczami i czuli swą niższość w znajomości rytuału towarzyskiego. Tak drżą przed swym „butlerem“ wzbogaceni państwo Veneering w powieści Dickensa *Nasz wspólny przyjaciel*, i tak samo niejeden inny jeszcze *nouveau riche* w nowszej literaturze powieściowej i w życiu.

Każda wysoka kultura w dziejach ludzkości opierała się, jak na granitowej podstawie, na jakiejś formie niewolnictwa. Bez niego nie byłoby monumentalnych budowli starego Egiptu, Assyrji, Krety lub Meksyku. Bez niego nie byłoby wspaniałej cywilizacji greckiej i rzymskiej. Średniowieczną formą niewolnictwa była pańszczyzna: na niej stały cudowne katedry gotyckie i zamki feudalne, rycerstwo, poezja romantyczna, filozofja scholastyków. Nowoczesną formą tej samej rzeczy jest służba domowa, i na niej materjalnie się opiera wykwint naszych salonów, swoboda myśli naszej nauki, swoboda produkcji naszej literatury i sztuki, swoboda działania przedsiębiorców, swoboda służby publicznej mężów stanu — słowem, jest to kardynalny warunek wszelkiej twórczej pracy umysłowej wśród ludzkości. Jak automatycznie i natychmiastowo upada bezeń wszelkie życie duchowe, tego najwymowniejsze przykłady oglądał każdy, kto przeżył pierwsze lata rządów bolszewickich w Rosji: egzystencja inteligenta, obarczonego całem brzemieniem codziennych ro-

bót fizycznych, stawała się czysto zwierzęcą wegetacją, wypełnioną aż po ostatni skrawek czasu troskami materjalnemi i nacechowaną takiem stałem zmęczeniem cielesnem, że pod jego naciskiem mózg tępiał i wszelkie interesy umysłowe zanikały.

Nie należy się ani na chwilę łudzić co do tego, że podobne niebezpieczeństwo — nie w drodze przewrotu bolszewickiego, lecz w drodze postępującej organizacji klasy pracowników domowych — zagraża nie od dzisiaj cywilizacji poza-bolszewickiego świata. Już przed wojną Ameryka przeżywała ostre przesilenie w dziedzinie obsługi domowej, złagodzone przez wielkie wydoskonalenie techniczne wygód domowych. Przeżywa je także już od dość dawna dotkliwie Francja, łagodząc je dziś na swój sposób, przez wprowadzanie służby kolorowej z kolonij. Odczuła je wreszcie po wojnie i Anglja, zdawna słynąca z obfitości i sprawności personalu służbowego po swych zamożniejszych domach. Służbę męską, już przed wojną traktowaną jako zbytek i nawet jako zbytek opodatkowaną, porwała w swój wir wojna i rozniosły gdzieś powojenne wichry społeczne. Zastąpiła ją w szerokim zakresie obsługa żeńska, nawet w takich uświęconych przybytkach tradycji, jak niektóre stare kluby londyńskie, gdzie nigdy kobieca nie postała noga. Ale i w sferze obsługi żeńskiej wojna przyśpieszyła kryzys. Ta klasa dziewcząt, z której rekrutują się służące, we wielkiej ilości znalazła w czasie wojny niebywale świetnie płatny zarobek w fabrykach amunicji i po wojnie woli pracę fabryczną od domowej, a nawet woli żyć chwilowo jako robotnice bez zajęcia ze skromnych zapomóg państwowych, niż iść do złoconej klatki służby w zamożnym domu. Położenie stało się tak krytyczne, że Rząd uznał za potrze-

bne ustanowić osobną komisję parlamentarną, któraby zbadała to zagadnienie. Sprawozdania z posiedzeń tej komisji, roztrąbione przez chciwe sensacji dzienniki, zawierają niezmiernie ciekawy istotnie materjał społeczny w odpowiedziach chlebodawczyń, a nadewszystko w odpowiedziach służących, badanych przez komisję. Okazuje się, że przesilenie jest wynikiem organicznego rozwoju, a bynajmniej nie jakiegoś zaostrzenia stosunków osobistych między pracodawcami a służbą. Przy panujących naogół bardzo dobrych warunkach wynagrodzenia i utrzymania, oraz przyjętej w życiu angielskiem nienagannej uprzejmości wobec służby, przedmiotem skarg jest prawie wyłącznie brak swobody osobistej, spowodowany przez mieszkanie w jednym domu z chlebodawcami. Służba żąda ścisłego ograniczenia godzin pracy, jak w przemyśle, a w szczególności wolnych wieczorów. Padły takie słowa oskarżenia przeciw istniejącemu angielskiemu trybowi życia, jak: „fetysz wieczornego obiadu“. Co to znaczy, potrafi ocenić ten tylko, kto wie, jak nierozerwalnie i zasadniczo obiad wieczorny złączony jest z całym cudownie produktywnym mechanizmem pracy tych miljonów inteligentów, którzy mieszkają tanio po przedmieściach, rano zdążają na cały dzień do swych warsztatów pracy umysłowej w śródmieściu, a wieczorem wracają do domowego ogniska. Nieporównana w całym świecie wydajność dziennej pracy Anglika byłaby równie gruntownie wstrząśniętą przez pozbawienie go wieczornego obiadu po niej, jak przez zmniejszenie obfitego angielskiego śniadania przed nią, a wprowadzenie wydatniejszego posiłku w środku dnia, nietylko że byłoby technicznie prawie niewykonalne wobec znacznej odległości wszystkich prawie domów rodzinnych drobnej klasy średniej od warsztatów pracy,

ale nadewszystko obarczałoby system angielski temi sennemi godzinami poobiedniemi, które w tak znacznej mierze obniżają produktywność wszelkiej pracy umysłowej u nas. Drzemka poobiednia byłaby ciosem zabójczym przeciw „wyższości Anglo-Sasów".

Powracając do społecznego problematu służby domowej: oprócz przyzwyczajeń, nabytych w czasie wojny przez pracę w fabrykach amunicji, zwycięskim konkurentem przeciwko domowi prywatnemu w oczach służby okazały się wielkie jadłodajnie w rodzaju rozsianych tysiącami po Londynie kawiarń i restauracyj firmy Lyons — tego londyńskiego „Duval'a". Znowuż dziwnego w tem nic niema: godziny służby u Lyonsa przez podział dyżurów między liczny personal są ograniczone do podobnie minimalnej liczby, jak w fabrykach. Panuje też w tych zakładach nie mniej ścisła, i znowu na organizacji przemysłowej wzorowana, specjalizacja funkcyj. Tymczasem w domach prywatnych klasy średniej, przy powojennej depresji ekonomicznej, ciążącej w Anglji (jak wszędzie) szczególnie nad tym stanem, coraz konieczniejszy i częstszy staje się właśnie stary typ *general servant*, czyli tej najnieszczęśliwszej z karjatyd naszego gmachu społecznego, służącej „do wszystkiego".

Wreszcie zaważyło potężnie i to, że niezmiernie bogate firmy w rodzaju Lyonsa, oprócz doskonałej płacy, mogą dawać nieprzejrzanym szeregom swych pracownic czytelnie, kluby, boiska sportowe, koncerty i tym podobne rozkosze, których służba domowa — choć zorganizowana w ogromny Związek zawodowy — ani na swój własny zbiorowy koszt, ani oczywiście na koszt pracodawców urządzać sobie nie zdoła.

Cóż więc osobliwego, że przy takim kontraście wygłaszane były przed komisją parlamentarną żądania, od których krew do głowy uderzała każdej dobrej gospodyni starego typu: by jedna kuchnia na każde kilka domów mogła służyć jako klub dla zebrań towarzyskich wieczornych służby okolicznej; by służąca miała zupełną swobodę przyjmowania wizyt w kuchni czy w swoim pokoiku (co się zresztą podobno w niektórych znanych nam krajach nieoficjalnie dzieje); by od niej po pewnej godzinie wieczornej — wymieniano godzinę 7·30 — żadnych posług nie wymagano; by miała prawo korzystać w określonych godzinach z fortepianu pani lub bibljoteki pana domu.

Oprócz takich niezwykłych, ale rozumnych wymagań, pojawiły się i inne pretensje, świadczące wyraźnie, że chodzi tu nietylko o polepszenie bytu, zmniejszenie ciężaru pracy i podniesienie poziomu kulturalnego, ale o emancypację społeczną i przełamanie granic formalnych między stanami. Okazało się mianowicie, że o ile kelnerki firm jak Lyons chętnie noszą jednolity strój, w jej zakładach przyjęty, o tyle podobny zupełnie i niemniej wdzięczny, tradycyjny ubiór pokojówki w domu prywatnym angielskim — czarna suknia z białym fartuszkiem, manszetami, kołnierzykiem i czepeczkiem — uchodzi za symbol poniżającej zależności osobistej i według wyraźnych świadectw, składanych przed komisją parlamentarną, zmniejsza wartość dziewczyny na rynku małżeńskim w oczach młodych ludzi z klasy pracującej. Tak samo zasadnicze znaczenie, jak się okazało, przywiązują panny służące do tego, by je narówni z pannami innych warstw społecznych nazywano po nazwisku z dodatkiem *Miss*, a nie, jak dotąd, poprostu po imieniu: przypominamy so-

bie moralną wagę, jaką temu szczegółowi przypisuje panna Eliza Doolittle w znakomitej komedji Bernarda Shaw *Pygmalion.*

Rozpisywanie się nad takiemi drobiazgami może wydać się śmiesznem. Że jednak sprawa ta głęboko porusza najbardziej myślące głowy Anglji, tego najlepszym dowodem, iż w chwili, gdy to piszę, pojawia się o traktowaniu służby domowej obszerny, pięciokolumnowy artykuł w najniespodziańszem w świecie miejscu, bo na frontowej stronicy czwartkowego literackiego dodatku do *Times* (z dnia 2 sierpnia 1923). Pod nagłówkiem *The Conduct of the Household* autor skrupulatnie zestawia głosy wielkich ludzi w literaturze powszechnej o tem zagadnieniu — od *Przysłów* Salomona i dzieł filozoficznych Arystotelesa, Platona, Ksenofonta i Seneki, do św. Pawła i średniowiecznych poetów, Machiavellego i moralistów angielskich XVIII wieku. Wymowne to chyba świadectwo historycznej ciągłości i społecznej doniosłości tego problemu.

Zebrawszy powyżej kilka drobnych może, ale charakterystycznych szczegółów na ten sam temat z bieżącego życia angielskiego, przytoczyłem je jako objawy powszechnego w dzisiejszej demokracji angielskiej, frontowego ataku na starą angielską kastowość. A kastowość, to przecież tylko zewnętrzna, symboliczna szata tego samego wszędzie, tradycyjnego ustroju społecznego, — szata w Anglji ściślej etykietalnie ustalona, niż w innych krajach, tak samo, jak tam ściślej ustalony jest strój, który przy różnych okazjach należy nosić w towarzystwie.

12.

Oczywiście nie te symbole same są przedmiotem owego frontowego ataku krytyki społecznej na kastowość. W istocie krytyka ta dotyczy rzeczy głębszych i podstawowych, choć widomie przeciw zwierzchnim symbolom się zwraca. Do samych tych podstaw już bezpośrednio sięga śmiała myśl krytyczna w innych, daleko poważniejszych i dostojniejszych objawach, które znowuż szczególnie wśród obecnego powojennego rozczarowania i niepokoju umysłów silnie się zaznaczają.

Mam na myśli wystąpienia w literaturze przeciwko naczelnym ideałom wieku XIX.

Wielkie dzieła cywilizacyjne wieku XIX, odgrodzone latami wojny, leżą dziś za nami, jako zamknięty rozdział historji. W Anglji już na początku XX stulecia, w erze króla Edwarda VII, w miarę przejścia od autorytaryzmu do liberalizmu w moralności, a od liberalizmu do socjalizmu w polityce, podnosiła się reakcja przeciw samoubóstwieniu epoki królowej Wiktorji, przeciw dogmatyzmowi tego wieku i twórczej pewności siebie jego wielkich ludzi. Uśmiechano się nad Macaulay'em z jego pełną zapału wiarą, że liberalizm XIX wieku jest szczytem postępu ludzkiego; ale tak samo uśmiechano się nad Carlyle'm z jego histerycznemi, deklamatorskiemi, niekonsekwentnemi inwektywami. Banalnym znajdowano Tennysona z jego przebrzmiałemi konfliktami między wiarą a wiedzą i staroświeckiemi komunałami patrjotycznemi. Nudnym i płytkim był wielotomowy Spencer (który zresztą nigdy nie cieszył się w ojczyźnie swej popularnością); a jego poprzednik, Mill, ze swym entuzjazmem dla

abstrakcyj wolnościowych i klasyfikacją metod logicznych, zdawał się wyłamywać drzwi otwarte. Gladstone był nieznośnie pompatyczny, Disraeli równie nieznośnie teatralny. Wielcy przyrodnicy od Darwina do Huxley'a wydawali się ograniczeni w ortodoksji swego materjalizmu; agnostycy, jak Leslie Stephen, byli przygnębiająco bezpłodni w swej zdecydowanej rezygnacji religijnej; religijny Newman znowu zbyt niewolniczo pokorny wobec władzy kościelnej. Wyczerpano wszystkie estetyczno-społeczne wskazania Ruskina aż do dziwactwa i bankructwa w praktyce, a zupełnego zamętu myślowego w teorji; przekarmiono się literacką subtelnością malarzy prerafaelickich, retoryczną zmysłowością i egzotycznym rewolucjonizmem Swinburne'a, który umierał w r. 1909 już prawie nieczytany. Stracił na poczytności i Dickens, jako karykaturalny i melodramatyczny, i Thackeray, jako szary i ciasny; minął pierwszy szał zachwytów młodszej inteligencji nad Browningiem, do niestrawności zawiłym a w gruncie tak rezolutnie optymistycznym, i pozostawiono to bałwochwalstwo snobistycznym naśladowcom w Ameryce. Nużył swą bezustanną, szowinistyczną propagandą imperjalizmu Kipling, tak samo, jak nużyli jednostajnością swych frazesów i degustowali nieludzkością swego stosunku do tubylców wielcy politycy kolonjalni tego typu, co Cecil Rhodes. Znakomite autorki XIX wieku, dziś wysoko cenione, jak poetka Elżbieta Barrett Browning, lub powieściopisarka Emilja Brontë, znajdowały się w cieniu tych przesądów, które na nowo budził niemiły, wojujący feminizm sufrażystek. Z ich sióstr, uznanych wcześniej, Karolina Brontë popadała w pełną szacunku niepamięć, jako staromodna, George Eliot budziła lekką odrazę, jako zbyt apodyktyczna. Najwyższe zachwyty — słuszne zresztą, ale

przez swój przedmiot znamienne — wywoływali w nowem pokoleniu tacy pisarze późniejszej ery wiktorjańskiej, jak rozdrabniający wszystko analizą do szpiku kości, na sposób Dostojewskiego, George Meredith, lub podobny mu głębokością psychologji i zagadkowością wyrażenia, zangliczały Amerykanin Henry James; przejmował potężną grozą i nieubłaganą ironją swego tragicznego pesymizmu Thomas Hardy.

Te entuzjazmy z początków XX wieku pozostały po wojnie i panują dziś nad smakiem literackim wykształconych Anglików. Z drugiej strony polepszył się stosunek do wielkich rzeczy doby wiktorjańskiej, i w perspektywie bardziej historycznej stała się bardziej sprawiedliwą ocena jej wielkich ludzi. Wolno znowu pisać o Tennysonie i zachwycać się klasyczną doskonałością jego formy poetyckiej: wyszły o nim dwie książki właśnie w roku ubiegłym. Na więcej odważył się jeden z najpoczytniejszych w chwili obecnej publicystów, dziekan katedry św. Pawła w Londynie, W. R. Inge, zawsze niezadowolony z naszego pokolenia i jego dążeń, a broniący spraw niepopularnych. Oto w odczycie akademickim w Cambridge w r. 1922 *The Victorian Age* postawił znowu na piedestale cały wiek wiktorjański i głośno się przyznał do szczerego podziwu dla olbrzymów tej epoki w porównaniu z pigmejami dzisiejszej.

Ale ten sam dziekan Inge nadaremnie rzucił na szalę całą powagę swej znanej osoby i oryginalnej argumentacji, gdy na wiosnę roku bieżącego, na wieczorze dyskusyjnym w centralnym klubie studenckim *Union* w Oxfordzie, bronił tezy, iż „pożądanym byłby powrót do ideałów wiktorjańskich“. Teza w głosowaniu upadła. Czwartkowe dyskusje w *Union*, to nietylko puste studenckie ćwicze-

nia retoryczne; opinja publiczna zawsze przywiązywała wagę do ich wyników, jako do wyrazu panujących mniemań młodzieży — przyszłych władców i ustawodawców Wielkiej Brytanji — o doniosłych sprawach aktualnych. W uchwale przytoczonej wolno widzieć wyraz dokonanego faktu rozwojowego, że w pewnych, bardzo zasadniczych, bardzo wielkich sprawach, Anglja dzisiejsza nie może całem sercem wierzyć w to, w co bez wahania wierzyli i w imię czego tak potężnie działali ludzie XIX wieku.

13.

Dwoma filarami tego imponująco jednolitego gmachu indywidualistycznej, liberalnej cywilizacji angielskiej XIX wieku, z jego wspaniałemi kondygnacjami naukowemi i literackiemi, politycznemi i przemysłowemi, socjalnemi i technicznemi, były dwie idee, dwa granitowe dogmaty: r o d z i n a — podstawa moralności, i w ł a s n o ś ć — podstawa ustroju społecznego.

Czyż więc nie jest wielce znamiennem dla krytycznego ducha obecnej chwili dziejowej, że właśnie w naszych dniach doczekał się spóźnionej, pośmiertnej sławy autor XIX wieku, który przeciw temu bożyszczu świata ideowego społeczności wiktorjańskiej, jakiem było pojęcie rodziny, najśmielszy, najzawziętszy i najradykalniejszy ośmielił się wymierzyć atak?

Autorem tym jest Samuel B u t l e r. Wśród jego dzieł, niezmiernie dziś wysoko cenionych i w istocie niezwykle subtelnych, jako świadectwa stosunku osobistego do całej kultury XIX wieku, wyróżniają się szczególnie dwa. Zjadliwą satyrą na tę tak dumną z siebie kulturę jest do-

wcipna utopja *Erewhon* (anagram słowa *Nowhere* „nigdzie“). W fantastycznym kraju Erewhon rozpanoszyły się maszyny i wzięły górę nad ludźmi; zbrodnie tam są traktowane jako choroby — to kpiny z teoryj w rodzaju Lombrosa, — choroby jako zbrodnie — to żarty z nazbyt gorliwych apostołów higjeny.

W samą podstawę systemu, a nie w różne zewnętrzne jego akcesorja, godzi druga i bardziej zdumiewająca książka Butlera *The Way of All Flesh* („Droga wszystkiego, co śmiertelne“). Bohater jej pochodzi z wzorowo cnotliwej rodziny duchownego anglikańskiego, objawiającej stałe uroczyste namaszczenie, jakie w jej codziennem życiu panuje, już przez śmieszne nazwisko *Pontifex* („Papież“). Wychowany jak najstaranniej, karmiony i pojony przy każdej sposobności nieznośnie podniosłemi maksymami moralnemi, a obdarzony przez naturę dostateczną dozą przenikliwości i dowcipu; by widzieć pod tym uroczystym płaszczem egoizm, oportunizm i obłudę, bohater nabiera żywiołowej wprost nienawiści do — rodziców, jako tych, co najsystematyczniej krępowali godny i swobodny rozwój jego osobistości i charakteru. Nieunikniony konflikt takiego buntownika-idealisty z faryzejską hipokryzją otaczającego świata społecznego prowadzi go nawet do więzienia; ale więzienie, uwalniając go ostatecznie od uciążliwego związku z rodziną, zarazem ostatecznie go oczyszcza przez cierpienie i Ernest Pontifex o własnych, wolnych siłach wybija się na znakomitego człowieka.

Już najbardziej zadumany z wielkich powieściopisarzy-psychologów, Meredith, w powieści „Próba ogniowa Ryszarda Feverela“ *(The Ordeal of Richard Feverel)* przedstawił zgubne życiowe skutki nadmiernie starannego, ostrożnego i przewidującego wychowania. Ale Butler idzie

znacznie dalej w swej zapalczywości: z licznych filipik w jego powieści bije najwidoczniej szczere przeświadczenie, że sama instytucja rodziny, w założeniu, przez swój nieunikniony autorytaryzm i doktrynerstwo pedagogiczne jest fatalną dla prawdziwego rozkwitu i harmonijnego, pełnego rozwoju wolnej duszy ludzkiej.

Butlera podziwiają dziś bądź co bądź tylko wybrane, wykwintne jednostki, od których nic ładowi społecznemu nie grozi. Inaczej ma się rzecz z tym wielkim pisarzem żyjącym, którego chcę przytoczyć jako przykład stanowiska krytycznego wobec drugiego kardynalnego pojęcia kultury XIX wieku — pojęcia własności

John Galsworthy uznany jest przez hołd najpowołańszych sędziów, zarówno, jak i całego czytającego ogółu, za jednego z największych mistrzów pióra w dzisiejszym świecie anglosaskim. Największe dzieło jego — i kalibrem i walorami myślowemi i literackiemi — to Kronika rodu Forsytów *(The Forsyte Saga)*. Tak na sposób kronik rodzinnych kolonistów staro-islandzkich nazwał trylogję obszernych powieści, przeplatanych dwoma krótszemi „interludjami“, i przedstawiających epizody z dziejów rozgałęzionej i majętnej rodziny angielskiej XIX wieku. Te głęboko przemyślane utwory, pisane stopniowo w latach 1906–1921, stanowią w swej całości pomnik cywilizacji angielskiej XIX stulecia, jak ona się z dzisiejszej perspektywy przedstawia bystremu i odważnemu umysłowi. Otóż perspektywa ta jest przedewszystkiem krytyczną w stosunku do niezachwianej wiary poprzedniego pokolenia w postęp i w celową doskonałość swych urządzeń. Autor, doszedłszy do swych wniosków, pisze w r. 1922 bez ogródek we wstępie do zbiorowego wydania całego cyklu: „Trudno byłoby uzasadnić twier-

dzenie, że stan Anglji był lepszy w r. 1913, niż w r. 1886... A w r. 1920 stan Anglji niewątpliwie jest tak samo nadmiernie płynnym i niewypłacalnym, jak w r. 1886 był nadmiernie zamarzniętym i ubezpieczonym...“

Jednostronność „zamarzniętego“ systemu XIX wieku streszcza się dla autora przedewszystkiem w ewangelji kapitalistycznej tego stulecia. Forsytowie, jako szanowana rodzina londyńska, powstali z licznych synów jakiegoś obskurnego gospodarza wiejskiego, z których każdy na swój sposób, ale każdy własnym dorobkiem, zdobył sobie majątek i stanowisko, czyto w handlu, czy przemyśle, czy w sferze finansistów, czy w wolnym zawodzie akademickim. Wszyscy są wkońcu kapitalistami, i wszyscy musieli od początku niezachwianie wierzyć w świętość własności i moralność nieograniczonej wolnej konkurencji, by dojść do tego, do czego doszli. Siłą ich jest, że nigdy żadnej idei, żadnemu uczuciu, żadnej skłonności całkowicie się nie oddawali; nigdy nie tracili panowania nad sobą i świadomości celu. Zawsze za wszystko, co robili, chcieli coś mieć, „jak zresztą wszyscy zdrowi ludzie w normalnych społeczeństwach“, dodaje nawpół ironicznie autor. I w rezultacie mierzyli wszystko wartością pieniężną. Nawet ten z nich, który z upodobaniem i znawstwem zbiera obrazy, myśli przy nabywaniu arcydzieł z radością o ich przyszłej wartości rynkowej i o przewagach odniesionych przy ich nabyciu nad doświadczonymi handlarzami. „Sztuka, literatura, religja, żyją za sprawą tych niewielu dziwaków, co naprawdę wierzą w te rzeczy, i tych licznych Forsytów, którzy zużytkowują je handlowo“.

I oto ten „zmysł posiadania“, który obok potężnego panowania nad sobą i silnego indywidualizmu jest główną cechą rodu, prowadzi jednego z Forsytów do ruiny życio-

wej: pragnąc rozciągnąć swe nieubłagane „prawo posiadania“ na żywą istotę ludzką — na żonę, która go nie kocha, — traci ją ostatecznie. Jego rywal, jeden właśnie z owych „dziwaków, co wierzą w takie rzeczy jak sztuka“ — młody idealista-architekt — ginie śmiercią samobójczą w tym dramatycznym konflikcie, ale duch jego jest moralnie zwycięski nad złamanym przedstawicielem ideologji Forsytów. I wobec tej podwójnej tragedji, myśli jednego z obserwatorów — niewątpliwie zgodnie z najgłębszemi refleksjami autora — splatają się w taki gordyjski iście węzeł zastanowienia nad najbardziej zasadniczemi sprawami społecznemi:

„Rdzeniem tego wszystkiego jest własność. Zapewne, wielu jest ludzi, którzy nie radziby to tak wyrazić. Według nich chodzi o „świętość związku małżeńskiego“; ale świętość związku małżeńskiego zależy od świętości rodziny, a świętość rodziny zależy od świętości własności. A jednak, zdaje się, że wszyscy oni są wyznawcami Tego, który sam nigdy niczego nie posiadał. To osobliwe!“. [1]

A sam już autor, przebiegłszy cały krąg doświadczeń rodziny Forsytów i doszedłszy w ostatniej powieści cyklu pod znamiennym tytułem *Do wynajęcia (To Let)* do zmierzchu i wygaśnięcia tej dynastji plutokratów, taką wygłasza elegję nad nią i nad całem jej stuleciem:

„Do wynajęcia, zaiste — do wynajęcia wiek Forsytów i ich sposób życia, gdy to człowiek władał swą duszą, swemi oszczędnościami i swą kobietą, bez ograniczeń i bez wątpliwości. A teraz — Państwo włada, lub wnet owładnie, jego oszczędnościami, kobieta włada sama sobą,

---

[1] John Galsworthy, *The Forsyte Saga* (Londyn, W. Heinemann, 1923), str. 242 *(The Man of Property,* część II, rozdział X).

a Bóg jeden wie, kto włada jego duszą. Do wynajęcia — cała tamta wiara, taka zdrowa, taka prosta!". [1]

I jakby ze smutkiem widział wkoło siebie więcej krytyki i rozkładu niż pierwiastków twórczych, zamyślony pisarz melancholijnie dodaje: „Spienione wody zmiany przypływają i będą niosły zaledwie zapowiedź nowych form, gdy ich niszcząca fala już pocznie opadać". [2]

14.

Czyż istotnie pośmiertna popularność takiego krytyka całej kultury swego wieku, jak Butler, i historjozoficzna zaduma tak wielkiego człowieka pośród żyjących, jak John Galsworthy, miałyby świadczyć, że to „przewartościowanie wszystkich wartości", którego niewątpliwie dziś w Anglji jesteśmy świadkami, wyrazi się w najbliższym czasie przedewszystkiem tylko zniszczeniem i obaleniem wszystkich przyjętych form i kryterjów, tradycyj i konwenansów, autorytetów i dogmatów w życiu i w myśli?

Łatwo jest zbytnio się przejąć symptomami najjaskrawszemi, nieprzeparcie rzucającemi się w oczy. Niema cienia sensacyjności w pisarzach tak wytwornych, jak zmarły Butler lub żyjący Galsworthy. Sensacją dnia zato w całej pełni był w jesieni r. 1922 młody irlandzki pisarz James Joyce, gdy po kilku innych śmiałych, ale jeszcze nie tak radykalnie rewolucyjnych utworach — n. p. „Portret własny artysty w wieku młodym" *(Portrait of the Artist as a Young Man)* — rzucił na rynek z całym rytuałem tajemniczości (wysoka cena, szczupły na-

[1] Str. 1102. [2] Str. 1103.

kład) swe iście przerażające tomisko *Ulysses*. Ta Odysseja na 700 stronicach *in quarto* opisuje wędrówki nie dziesięciu lat, lecz tylko dwudziestu czterech godzin, i nie po dalekich lądach i morzach, lecz po współczesnym Dublinie. Jedyną ambicją autora w tym potwornym dziwolągu literackim było mówić o wszystkiem i powiedzieć wszystko, całą pełnię życia przelać na papier w niebywałej pełni słów. Istotnie zalewa nas falami najdziwaczniejszych słów, podobnie jak to lubił czynić Rabelais; — całą stronicę w jednem miejscu pokrywa katalogiem określeń na pojęcie „woda"! — prowadzi nas do domów publicznych, klinik położniczych i w zgoła inne jeszcze miejsca; od twórczości umysłowej i namiętności ludzkich do tualety i trawienia niczego nam nie oszczędza. Roi się oczywiście w całem dziele od aluzyj, zrozumiałych tylko dla dzisiejszego obywatela Dublinu, i od wyrażeń, żywcem przeniesionych do literatury z jednodniowego żargonu ulicy. Jak u nas formiści chcieli urzeczywistnić niemożliwe hasło „czystej formy", tak tutaj, zdawałoby się, pisarz irlandzki zapragnął osiągnąć równie niedorzeczny ideał „czystej treści", — przenieść życie na kartę drukowaną nietylko możliwie wszechstronnie, ale i możliwie bezpośrednio, bez wszelkich ograniczeń przyzwoitości czy etykiety, stylu czy kompozycji, wstydu czy poszanowania. Nie może być większego kontrastu, niż między nim a klasycznymi pisarzami angielskimi wieku XIX, jak Tennyson lub Matthew Arnold, których główną cechą jest purytańska powściągliwość, pełne rezerwy poszanowanie rzeczy najświętszych i pełne godności przemilczanie rzeczy najpospolitszych. Wszakże do nudności przyzwoitą była przez całe XIX stulecie przeciętna powieść angielska, w przeciwieństwie do tuzinkowej francuskiej.

Ale właśnie gdy sobie uświadamiamy to całe rozmyślne przeciwieństwo do pisarzy ubiegłego wieku, skłonni jesteśmy uspokoić się co do tego „bolszewizmu literackiego", jak słusznie, tylko nieco nazbyt groźnie, nazwano manjerę Joyce'a.

Człowiek obznajomiony z rozwojem literatury na nieco dłuższej przestrzeni dziejów snadnie pozna w tem zjawisku jeden z perjodycznych buntów osobistości przeciw autorytetowi, subjektywnej swobody przeciw objektywnej dyscyplinie, naturalnej rozmaitości życia przeciw sztucznej jednolitości form, słowem, odwiecznego w naturze ludzkiej i w piśmiennictwie pierwiastka romantycznego przeciwko równie odwiecznemu i na zawsze niespożytemu pierwiastkowi klasycznemu. Chodzi o nieustającą nigdy fluktuację między radykalizmem a konserwatyzmem w tworach ducha ludzkiego — fluktuację w gruncie rzeczy dobroczynną i ożywczą. Do denerwujących uogólnień socjologicznych taki fakt nie daje ponoś dostatecznej podstawy. W samej literaturze angielskiej współczesnej równowagę przywraca z drugiej strony nie mniej znamienny fakt, że nowości różnych „verslibrystów" naogół się nie przyjęły i właśnie w tym ubiegłym roku zarówno wykształcony ogół, jak najpoważniejsza krytyka z entuzjazmem wypowiadały się na korzyść skończonych w swej melodyjnej formie, a wzniosłych, głębokich i surowo prostych w treści poezyj A. E. Housmana lub zmarłej niedawno pani Alicji Meynell, którzy oboje przez długie lata życia milczeli i oboje napisali ogółem niewiele.[1]

---

[1] A. E. Housman wydał swój sławny zbiorek *A Shropshire Lad* w r. 1885, a drugi, *Last Poems,* dopiero po wojnie (1922). Pani Meynell, rozpocząwszy pisać jeszcze jako panna, milczała zupełnie

15.

Więcej zaniepokojenia, niż fenomeny literackie w rodzaju Joyce'a, mogłyby budzić pewne objawy w życiu obyczajowem.

Ze wszystkich kątów angielskiego życia społecznego, po gazetach i książkach, rozlegają się dziś wyrazy zdziwienia, często zgorszenia, nad zamaszystą swobodą i ostentacyjną nonszalancją manjer u p a n i e n powojennych. Istotnie, znowuż trudno sobie wyobrazić większy kontrast, niż między temi istotami a ich matkami, gdy były w tym wieku. Panna w epoce królowej Wiktorji — typowa *young lady* — była wzorowo przyzwoitą, rozpaczliwie rozumną i do niemożliwości tępą, ograniczoną i nieciekawą. Ta typowa *young lady* znała tylko takie wyrazy zainteresowania jak *Really?* („Naprawdę?"), takie wylewy zachwytu jak *How lovely!* („Jakie kochane!"), takie zaklęcia jak *Dear me!* (co już się zgoła nie da przetłumaczyć na nasz, bardziej krewki, język), — takie określenia miłości jak *to care a great deal for somebody* („dbać o kogoś bardzo"), i takie wybuchy oburzenia jak *I am not shocked, I am surprised* („Nie jestem zgorszona, jestem zdziwiona", — jak do mnie raz autentycznie przemówiła pewna panna owej doby).

Dzisiejsza *Georgian girl* — panna z epoki króla Jerzego V — pali demonstracyjnie papierosy, nazywa swych wielbicieli głośno po imieniu — *Jack, Tom, Dick, Harry,* —

przez długie lata szczęśliwego małżeństwa i macierzyństwa, i na nowo poczęła wydawać poezje dopiero jako wdowa. Cały zbiór jej dzieł, wydany obecnie w jednym tomie *(Complete Poems*, Burns, Oates & Washbourne, 1923), obejmuje zaledwie jakie 100 niedługich wierszy z siedmdziesięciu lat życia.

szasta się z nimi wiecznie po południowych tańcach herbacianych w salach hotelowych, i lubi wyzywająco szafować najdosadniejszemi wyrazami, nabytemi w czasie wojny po kantynach żołnierskich, szpitalach wojskowych, urzędach intendanckich lub fabrykach amunicji, — n.p. skróceniem *n. b. g. (no bloody good*, czyli „na nic, psiakrew", albo „perskie oko"). Niedawno dowcipny pisarz Ronald Knox (co został księdzem katolickim) w fikcyjnych pamiętnikach sędziwej damy z roku Pańskiego — 1983 ironicznie przeciwstawił nadmierną swobodę języka i manjer, rzekomo panującą wśród panien angielskich w tym okresie przyszłym, — trusiowatej skromności i przyzwoitości panienek angielskich za młodych lat urojonej bohaterki, w roku Pańskim 1923.

Z poważniejszą przestrogą zwrócił się do tej bezmyślnie rozbawionej młodzieży ubóstwiany przez panie londyńskie aktor Gerald du Maurier w napisanej do spółki z koleżanką-aktorką Wiolą Tree (pod wspólnym pseudonimem „Hubert Parsons") sztuce „Tancerze" *(The Dancers)*, w której sam z powodzeniem występuje. Bohaterkę tego dramatu w chwili podniecenia uwodzi niekochany zgoła mężczyzna, jeden z partnerów tych pustych zabaw tanecznych, a gdy zjawia się po długiej niebytności ten inny, co ją zdawna i wiernie kochał, i ma się odbyć ślub, ona nie znajduje odwagi ani na to, by go okłamywać, ani na to, by mu wyznać prawdę, i zażywa dozę śmiertelną tego samego narkotyku, którym w tem szalonem nocnem życiu posługiwała się już dawno.

W rzeczywistości i w tych pozornie zastraszających zjawiskach znowuż, jak w rebelji literackiej Joyce'a, mamy do czynienia z naturalnym odruchem natury ludzkiej. Wzburzone do gruntu fale powojennej Europy wszędzie

przecież pokrywa ta sama piana zapamiętałej zabawy. Nikt poważny nie zechce wszakże choćby na obecny szał nowomodnych tańców, rozpanoszony we wszystkich krajach, patrzeć jako na objaw trwały. W Anglji ta manja taneczna panuje może powszechniej, niż gdziekolwiek, bo ma dodatkową i silną sprężynę w tradycyjnem upodobaniu narodu do ćwiczeń cielesnych. Zachwycony byłem, gdy zaszedłszy raz około pierwszej w południe do Szkoły Nauk politycznych i ekonomicznych (obecnie stanowiącej część uniwersytetu londyńskiego), przez uchylone drzwi auli akademickiej ujrzałem pary studentów i studentek, wirujące przy dźwiękach gramofonu. W braku boisk sportowych w pobliżu (bo to śródmieście Londynu) dyrektor pozwolił im używać tego ruchu podczas przerwy południowej między wykładami. Jeden więcej z niezliczonych w życiu angielskiem dowodów, o ile skuteczniej od niemieckiego *Verboten* właśnie ta imponująca brytyjska tolerancja odbiera ostrze wszystkiemu, co mogłoby się stać niebezpiecznem, gdyby było tłumione.

Ale jeżelibyśmy nawet ową niebywałą swobodę dzisiejszych panien chcieli rozpatrywać nie jako efemeryczny objaw ogólnej w świecie psychiki powojennej, lecz jako zapowiedź stałych już, nowych form życia społecznego, to uspokajająco na różne strachy socjalne działać musi przypomnienie, jak głębokie są fundamenty ekonomiczne tej zewnętrznej przemiany. W Anglji już przed wojną było o $1^1/_2$ miljona więcej kobiet, niż mężczyzn, a po wojnie zapewne proporcja jeszcze dalej się przesunęła. [1]

[1] Obliczono, że gdy w myśl wniesionej obecnie ustawy kobiety narówni z mężczyznami otrzymają prawo wyborcze od chwili pełnoletności (t. j. 21 roku), wyborców-kobiet będzie $12^1/_2$ miljona, czyli o $2^1/_2$ miljona więcej, niż mężczyzn.

Ten prosty fakt statystyczny mówi językiem zupełnie jasnym. Czterdzieści lat temu *Married Women's Property Act* — ustawa nadająca mężatce prawo samodzielnego rozporządzania swoim majątkiem — była jeszcze aktem rewolucyjnym w stosunku do panujących pojęć i zasad. Dziś, gdy tyle miljonów kobiet samodzielnie się utrzymuje, pracując w zawodach dawniej otwartych tylko dla mężczyzn, niezależności socjalnej musi oczywiście we wzrastającej mierze towarzyszyć wyzwolenie obyczajowe. Całą Francję, zajętą dziś głównie troską ludnościową, niedawno oburzył sensacyjny atak Margueritte'a na ideał dziewictwa w powieści *La Garçonne*. W Anglji ta sensacyjna książka, przetłumaczona (ze złagodzeniami, wymaganemi przez brytyjski kodeks przyzwoitości), nie wywołała takiego wzburzenia, bo typ samodzielnej panny, prowadzącej życie kawalerskie pod względem gospodarczym i mieszkaniowym, jest w Anglji nie od wczoraj zjawiskiem zupełnie pospolitem. Istnienie tego typu „panny-kawalera" *(bachelor girl)* jako dokonany fakt społeczny przedstawił już na kilka lat przed wojną Max Pemberton w swej powieści „Dwie kobiety" *(Two Women*, 1910). Nie robił on przy tej sposobności propagandy za przebudową moralności płciowej, jak to dziś czyni Margueritte; przeciwnie, skonstruował fabułę o tendencji ostrzegająco-moralizatorskiej. Ale nie mogą Anglicy, jako naród trzeźwy, nie widzieć (choć o tem nie mówią), że ze zmieniającym się układem ekonomicznym z konieczności ulegają także pewnemu przekształceniu kanony obyczajowe. Dzieje się to dziś niewątpliwie — w Anglji tak samo, jak w innych społeczeństwach.

16.

Zaszliśmy bardzo daleko w perspektywach dokonywujących się na naszych oczach przemian społecznych i obyczajowych. Tak samo jak poprzednio wobec nie mniej daleko sięgających perspektyw przemian politycznych, zapytajmy się teraz, jakie są rękojmie, że przejście do nowych form życia obejdzie się bez gwałtownych wstrząśnień moralnych i socjalnych, że będzie przebudową, a nie ruiną gmachu społecznego.

Znowuż rękojmi takich w psychice angielskiej widzę dwie.

Przedewszystkiem żadna przemiana w tym kraju nigdy się nie dokonała i nie dokona w sposób abstrakcyjnie-logiczny, rygorowo-doktrynerski. Reformy czysto rozumowe, choćby płynące z najwznioślejszej ideologji, wchodzą w życie wśród krzywd i terroru: tego uczą dzieje Rewolucji francuskiej, pomyślanej przez filozofów, a dokonanej przez fanatyków. Nie mniej fanatyczni od nich byli już przywódcy Rewolucji angielskiej w wieku XVII — to prawda, — i pierwiastek purytańskiej surowości moralnej, odziedziczony po nich, do głębi przenika całą nowoczesną umysłowość angielską; świadectwem tego choćby taki piewca imperjalizmu, jak Rudyard Kipling, ze swą męską aż do bezwzględności stanowczością z jednej, a głębokiem poczuciem moralnej odpowiedzialności narodu przed historją, z drugiej strony.

Ale w Anglji z jej trzeźwym zmysłem dla rzeczywistości zarazem obok moralnego pierwiastku zasad zawsze gra i grać będzie swą potężną rolę we wszystkich sprawach społecznych ludzki czynnik w y r o z u m i e n i a. Ła-

godzi on konflikty idei w sferze socjalnej równie skutecznie, jak w polityce łagodzi je kompromis, ten wyrobiony przez wiekowe doświadczenie arcy-środek postępu państwowego w Anglji. Wybitnym przedstawicielem tego ludzkiego wyrozumienia — po boskiej iście mądrości Szekspira — w literaturze czasów nowszych, pośród dogmatycznej arogancji liberalnego wieku XIX, jest Dickens. Ten największy może w dziejach piśmiennictwa nowożytnego miłośnik człowieka potężną bronią śmiechu zwalcza różne potworności społeczne, do których doprowadzał manchesteryzm, gloryfikując nieskrępowaną walkę o byt w postaci „wolnej konkurencji". Twórczość Dickensa — głęboko krytyczna, a zgoła nie wywrotowa — jest jakby symbolem literackim tej wspaniałej poprawki, jaką do cynizmu i okrucieństwa dorobkiewiczostwa handlowo-przemysłowego wnosiła rozwinięta niebywale i wzorowo zorganizowana w Anglji XIX wieku filantropja. Dziś na filantropję prywatną patrzy się z góry; gardzą nią teoretycy socjalizmu, jako obłudnie łagodzącą przeciwieństwa społeczne, i zresztą niepotrzebną, bo wszystko to lepiej i gruntowniej przecież zrobi Państwo. Ale w Anglji nie brak i dziś tego elementu, który reprezentował Dickens, i który najlepiej może przepięknem słowem szekspirowskiem z *Hamleta* nazwiemy „mlekiem dobrotliwości ludzkiej" *(the milk of human kindness)*. Obrońcą filantropji stał się poniekąd ten sam Galsworthy, którego widzieliśmy zadumanego w *Forsyte Saga* nad „ginącym światem" ideałów liberalnych. W swej pięknej sztuce *Pigeon* — znanej i u nas — kreśli z uśmiechem postać filantropa starego typu, człowieka nieskończenie miękkiego serca, i dlatego wciąż wyzyskiwanego przez różnych bezdomnych nicponiów i bankrutów życiowych. Kontrastuje go z trzema doktry-

nerami socjalnymi o różnych programach, ale jednakowej apodyktyczności, — sędzią, duchownym i profesorem. I oddaje mu hołd przez usta rozrzewnionego jego dobrocią przybłędy francuskiego, jako człowiekowi, co dobrem słowem stokroć więcej moralnie zdziała, niż tamci wszystkiemi swemi teorjami. Sentymentalizm ojca w sztuce potępia córka, nawskróś nowoczesna i praktyczna panna. Nazwę sentymentalisty otrzymał od niektórych krytyków sam Galsworthy; ale w oczach jednego przynajmniej z jego najgorętszych wielbicieli — niżej podpisanego — ten sentymentalizm nie zmniejsza bynajmniej jego wielkości. [1]

Obok tego ducha ludzkiej wyrozumiałości — który oby nigdy nie wygasł w Anglji, a rozwijał się gdzieindziej! — drugą ważną gwarancję bezpieczeństwa i spokoju w ewolucji społecznej tego narodu stanowi, mojem zdaniem, jego wielki zmysł dla przyrody. Naród potężnie uprzemysłowiony, zebrany we większej swej części po olbrzymich miastach fabrycznych, żywiołowo kocha dziką naturę. Najpopularniejszym od wieku pośród wielkich, romantycznych poetów Anglji u własnych ziomków nie jest ani rewolucjoner Byron, ani idealista Shelley, ani metafizyczny Coleridge, ani zmysłowo-piękny Keats, lecz jest nim Wordsworth, prosty do prozaiczności piewca najpospolitszych, niepokaźnych krajobrazów angielskich, — tak przedziwnie zżyty z pulsem otaczającej go natury, że tego stopnia utożsamienia z duszą świata

[1] Inaczej i bardziej krytycznie zdaje się patrzeć na ten swój „sentymentalizm“ sam autor, gdy w sztuce „Okna“ *(Windows)* — wystawionej i u nas, w Krakowie — ponownie samego siebie drwiąco portretuje w postaci pana domu, literata i czułostkowego filantropa, — który tym razem już z zupełnie beznadziejną donkiszoterją walczy z żoną o utrzymanie dzieciobójczyni jako służącej w swym domu.

nie dostąpił żaden panteista w swej filozofji. Ale nie trzeba sięgać do literatury, której tak wielu, wielu obywateli angielskich nie zna, nie lubi, nie ceni. Wystarczy spojrzeć na te tłumy mieszkańców Londynu, które w każdą niedzielę wylegają do tych uroczych miejscowości, co jakby jednym wieńcem ogrodów otaczają ogromne miasto. Kto widział Anglików tam, na łące, w lesie lub na rzece, albo choćby w dzień powszedni w rozległych parkach w środku Londynu, nie może wątpić, że naród, co tak głęboko i stale oddycha świeżem powietrzem, czerpie z tego obcowania z naturą nietylko zdrowie cielesne, ale i wartości duchowe. Wszakże natura najlepiej uczy człowieka, jak żyć należy. Wiedzieli to ci myśliciele greccy, co wyznawali jako swój ideał: „żyć według przyrody“. Ta maksyma helleńska najdoskonalej pono w świecie nowoczesnym urzeczywistniona jest właśnie wśród społeczeństwa angielskiego z jego równomierną dbałością o rozwój ciała i duszy, z jego zdrowym zmysłem dla prawdy życiowej i dla praw życia, z któremi uzgodnić nasze ideowe dążenia jest najwyższą mądrością.

17.

Zastanawiając się nad stosunkami angielskiemi, Polak nie może nie rzucić okiem w stronę własnego kraju. Nasuwa się nadewszystko pytanie: czy istnieją i w naszym ustroju społecznym i psychicznym podobne rękojmie, jak w angielskim, że te nieuniknione i głębokie przemiany, które się w całym świecie rozpoczęły, dokonają się i u nas względnie spokojnie, bezboleśnie i nieszkodliwie?

Ogół naszej przygnębionej inteligencji odpowiedziałby

dziś prawdopodobnie smutnym chórem: Nie! takich gwarancyj u nas niema! — Ja zaś śmiem twierdzić, że są, i to analogiczne do tych, które widzę w Anglji.

Przedstawiając przeobrażenia społeczne i moralne, upatrywałem pewność ich spokojnego przebiegu w Anglji w niegasnącym duchu ludzkiego wyrozumienia, łagodzącym socjalne doktrynerstwo, i w filantropji, łagodzącej socjalne krzywdy i starcia. Otóż jakiekolwiek wady mogą wytknąć naszemu charakterowi narodowemu obcy, do jakichkolwiek sami przed sobą boleśnie się poczuwamy, zimny logiczny rygoryzm do nich nie należy. Zawsze biło w nas gorące i popędliwe serce, gotowe do ofiar i poświęceń dla drugich: od Sobieskiego do rewolucyj europejskich XIX wieku nadstawialiśmy karku za wolność innych narodów, często nam nieżyczliwych, a że w stosunkach naszych między sobą bratnia krew gra głośniej od wszelkich dogmatów i rozumowań, tego dowodów rozrzewniających dość dostarcza i historja nas wszystkich i osobiste doświadczenie każdego z osobna w latach wojennych i powojennych.

Ponadto zaznaczyłem, że Anglicy mają wiecznie bijące źródło mądrości życiowej i politycznej w swem umiłowaniu przyrody. Jeżeli to można powiedzieć o narodzie, który w gorączkowym rozwoju przemysłowym zatracił prawie zupełnie tę najpopularniejszą formę stałego kontaktu z naturą, jaką jest rolnictwo, to czyż nie mamy mieć zaufania w przyszłość narodu, co dotąd w przeważającej części jest rolniczy i z tak zawziętą miłością po wojennej poniewierce i ruinie ponownie w ziemię się wczepił? Mają Anglicy *common sense*, płynący z pożycia z naturą i wyrażający się w zastosowaniu do niej życia i myślenia — toż mamy i my nasz „chłopski rozum“, nie

darmo tak nazwany. Czyż nie on ratuje nas dotychczas od najgroźniejszej w świecie dzisiejszym, a najbliższej nam, zarazy — bolszewizmu? Nie jest żadną egzaltacją porównywać Polskę z Anteuszem mitologicznym. Wolno i należy wierzyć, że póki tej błogosławionej, praojcowskiej łączności z ukochaną ziemią-żywicielką nie stracimy, póty z niej w nas iść będzie siła zdrowego zrozumienia dla rzeczywistości, i będziemy rozważnie liczyć się z tem, co konieczne, a statecznie dążyć do tego, co możliwe.

Dlatego, powróciwszy ze wspaniałego, wiekowego gmachu cywilizacji angielskiej do tego jeszcze niezupełnie uporządkowanego, ale dostatniego i przestronnego domu, jakiśmy sobie odbudowali z gruzów naszej Polski, ze szczerem przeświadczeniem kończę te spostrzeżenia nad Anglją i porównania z Polską słowami: *Nil desperandum.*

III

O SZKOTACH

1.

Zaślubiny księcia York, młodszego syna króla Jerzego V, z córką lorda Strathmore, były w Anglji na wiosnę r. 1923 mimo wszystkich groźnych chmur, wiszących nad Europą, wypadkiem dnia, równie gorliwie omawianym, jak w roku 1922 — zaślubiny królewny Marji z hrabią Lascelles.

Szczególną satysfakcję nowe zaręczyny sprawiały Szkotom, ziomkom narzeczonej. Lord Strathmore wśród innych swych rezydencyj posiada także potężny i ponury stary zamek Glamis, a wiemy wszyscy z *Makbeta*, co w dawnej Szkocji znaczyła godność *thane of Glamis* — gospodarza na tym zamku.

Posypały się więc, jak już nieraz przy takich sposobnościach w ciągu stuleci jeszcze przed Unją szkocko-angielską, panegiryki na temat skojarzenia „ostu z różą“ — emblematów obu krajów. Śpiewał o nich już wielki szkocki poeta William Dunbar w XV wieku, gdy król Jakób IV Stuart (co później poległ w walce z Anglikami) poślubiał Małgorzatę z Tudorów. I drugi wielki poeta szkocki —

Robert Burns — musiał użyczyć płaszcza swej powagi okolicznościowemu rymotwórcy, co na szpaltach gazety wieczornej *Evening Standard* trawestował (również dialektem szkockim) jego sławną piosenkę demokratyczną o równości wszystkich stanów — *For a' that and for a' that* — i z dumą narodową uwydatniał szczegół (podobno zresztą nieautentyczny), że królewicz angielski aż trzy razy musiał prosić o rękę szkockiej szlachcianki.

Zaś obserwatorowi cudzoziemskiemu mimowoli nasuwały się pewne refleksje na temat wzajemnego stosunku obu narodów, niegdyś nie mniej sobie wrogich i nie mniej między sobą różnych, jak Norwegowie i Szwedzi, lub Serbowie i Chorwaci.

Dziś separatyzm szkocki odzywa się zaledwie czasem, zwykle nawpół żartobliwie, w różnych momentach uroczystych.

Zagranicą różnica między Anglikami a Szkotami prawie jest nieznana. Wyobrażamy sobie zazwyczaj Szkotów jako takich samych Anglików, tylko — nie chcę cytować z *Bartka Zwycięzcy*! — tylko jeszcze bardziej angielskich w różnych swoich cechach charakterystycznych: bardziej purytańskich w poglądach moralnych, bardziej chłodnych, sztywnych i poważnych nazewnątrz, bardziej imponujących wydatnością i praktycznością swej pracy. Jest w tem coś prawdy, ale nie cała prawda.

Nie znając jeszcze głębszych różnic, pomnę jak zdumiony byłem przed laty, gdy usłyszałem, jak slawista oxfordzki Nevill Forbes (sam Szkot) w odczycie o Polsce, chcąc uprzystępnić swemu audytorjum te specyficzne wartości, jakie Polacy z Litwy, od Kościuszki i Mickiewicza do Moniuszki i Siemiradzkiego, wnieśli do kultury polskiej, porównał Polaków z Anglikami, a Litwinów ze

Szkotami. Rzuciło to dla mnie snop światła na zagadnienie. Ale mało tego światła zazwyczaj otrzymuje cudzoziemiec od Anglików: dla nich różnica między nimi samymi a Szkotami jest sprawą zbyt powszednią i instynktownie odczuwaną, by wymagać teoretycznych definicyj (których wogóle nie lubią), tem bardziej, że chodzi przecież o sprawę wobec zmieszania i współżycia obu plemion zgoła nieaktualną. O właściwościach narodu szkockiego można się dziś w Anglji dowiedzieć głównie z niezliczonych dowcipów w pismach humorystycznych i tradycji ustnej, w których Szkot stale figuruje z dwiema zasadniczemi cechami: po pierwsze jako kutwa i dusigrosz, powtóre jako człowiek pozbawiony zmysłu dla humoru i niemogący pojąć żadnego żartu.

2.

Prawdą jest, że Szkoci okazali się bardziej zapobiegliwymi i skrzętnymi w swej historji gospodarczej — są tego dziś pokaźne owoce! — i prawdą jest, że Szkoci się tak dobrodusznie i łatwo nie śmieją, jak Anglicy: ich ironja w dowcipach jest zazwyczaj bardziej oschła i subtelniejsza; mniej mają żywiołowej potrzeby tej ulgi w postaci humoru, którą Anglik lubi sobie okraszać każdą ciężką pracę mózgową lub poważną sprawę.

To nas już zbliżyło do istotnej treści tych różnic plemiennych. Ale zanim je bliżej określimy, warto sobie przypomnieć, jakie one mają naprawdę znaczenie dla psychologji społecznej dzisiejszej Wielkiej Brytanji.

Gdy przed wojną Lloyd George zaczął oszołamiać Anglję swem przewrotowem ustawodawstwem socjalnem,

wśród protestów odezwały się także głosy, że nie można przecież pozwolić, by „kresy celtyckie“ — *the Celtic fringe* — decydowały o losach Anglosasów.

Ale dziś, gdy „czarodziej walijski“ po większych jeszcze czynach ustąpił z widowni, nie znika z niej element „kresowców“, sąsiadujących i zmieszanych z rasą celtycką. Premjerem po nim został szkocki *business man* z Glasgowa, p. Bonar Law, a drugą z rzędu figurą w systemie politycznym brytyjskim — przywódcą „Opozycji Jego Królewskiej Mości“ — socjalista James Ramsay Mac Donald, samem już nazwiskiem zdradzający pochodzenie „z północnej strony rzeki Tweed“ (która jest historyczną granicą między Szkocją a Anglją): istotnie urodził się tam, w ubogiej wiosce rybackiej Lossiemouth. Dziś pierwszy z tych dwóch Szkotów spoczął w grobach zasłużonych mężów Anglji w opactwie westminsterskiem, a drugi z kolei objął ster państwa wielkobrytyjskiego jako pierwszy w jego dziejach premjer z łona partji robotniczej.

Drogę do władzy utorowała mu jeszcze w r. 1922 ta sensacja polityczna, którą nazwano *the landslide on the Clyde* — katastrofa wyborcza konserwatystów w tem samem centrum przemysłowem, z którego wyszedł Bonar Law. Nigdzie mackensenowska falanga partji robotniczej tak potężnie nie przełamała szyków stronnictwa panującego, jak właśnie w Glasgowie, i nigdzie nie jest tak wyraźne, jak tam, że przyszłość parlamentarna należy *aux gros bataillons* wyborców-robotników. A Glasgow jest środowiskiem najważniejszego z przemysłów brytyjskich — budowy okrętów.

Dość więc i dziś dowodów na to, że decydujące o losach tej wyspy siły, i osobiste i społeczne, często wkraczają na widownię z poza Rubikonu północnego.

Jakiemiż właściwościami objaśnić tę odrębną i wybitną doniosłość żywiołu szkockiego?

3.

Wielcy ludzie Szkocji rodzą się na Podhalu szkockiem *(Scottish Lowlands)* i są potomkami kolonistów północno-angielskich, co sobie tam wywalczyli siedziby przeciwko góralom celtyckim. Można więc typowych Szkotów traktować jako straż przednią elementu anglo-saskiego. Ale długa styczność z rasą celtycką, i z tą osobliwą — jednakową podobno wszędzie na świecie — psychiką góralską, wycisnęła na charakterze szkockim swoje piętno.

Przedewszystkiem hardość góralska dała podstawę specyficznemu demokratyzmowi Szkotów. Jak nam to doskonale ilustruje traktowanie różnych klas społecznych w powieściach Waltera Scotta, Szkocja, kraj klanów i innych przeżytków feudalizmu, kraj rycerskiej wierności dla autokratycznej dynastji Stuartów, zarazem zawsze była krajem swobodnego, braterskiego pożycia między ludźmi wyższego i niższego stanu:[1] wspólność

[1] Jak się ta tradycja wyraża nawet w codziennych obyczajach szkockich, to niedawno w czasopiśmie *The Nineteenth Century and After* (za luty 1923) przypomniał stary lord Aberdeen w swej pogawędce o szkockiem narzeczu ludowem *(The Scottish Vernacular)*, obficie przeplatanej anegdotami z życia szkockiego. Podniósł tam mianowicie, że zwyczaj wzajemnego podawania sobie ręki między ludźmi różnego stanu — nawet między panem a sługą — zdawna jest zakorzeniony w Szkocji. Anglja, ściśle kastowa w swej etykiecie, nie zna go zupełnie; pewien wyłom uczyniła tu dopiero wojna, trzymając ludzi różnej kondycji w jednych okopach i ucząc ich bratać się w obliczu jednakowej śmierci.

przywiązania do wspólnych tradycyj wytwarzała jednakowe podłoże duchowe, które zrodziło bujny kwiat starej poezji popularnej — przepiękne dawne ballady ludowe szkockie. Podobne ma obok Szkocji tylko Danja, podobnie dawno zdemokratyzowana duchowo. Stąd i fakt, że w tym samym okresie, w którym typowo szlachecki duch Scotta wskrzesił wszystkie splendory feudalnego świata w pieśni, Szkocja zarazem wydała pierwszego wieszcza nowoczesnej demokracji, największego w świecie chłopa-poetę Roberta Burnsa, który i w salonach edynburskich umiał zachować prostą godność rolnika, z zapałem śpiewał równość ludzi i zapalczywie głosił w swych śpiewach nowe hasła rewolucji francuskiej. O ile bardziej żywiołowem przeświadczeniem tętnią jego gwarowe rytmy, niż nadziemskie, lodowato-idealne entuzjazmy platonika-rewolucjonisty Shelleya! Szkoci na całym świecie, gdziekolwiek się ich zbierze gromadka, obchodzą uroczyście na 25 stycznia rocznicę urodzin swego pieśniarza, i popularność jego u wszystkich warstw społeczeństwa szkockiego, zawsze żywa, świadczy nietylko o sile zmysłu narodowo-plemiennego, ale także o tem, że umiał uderzyć w tony zawsze żywotne, i w żywotny sposób.

Piękne świadectwo tej żywotności demokratycznych tradycyj szkockich wydał głośny w całym świecie powieściopisarz i dramaturg sir James Barrie, gdy go szkoccy rodacy uczcili wyborem na honorowego rektora starego uniwersytetu w St. Andrews (który w r. 1912 obchodził swe pięćsetlecie). Wygłaszając mowę inauguracyjną, Barrie przypomniał sobie, że szkockie uniwersytety zawsze były zaludnione młodzieżą ubogą, w przeciwieństwie do starych angielskich w Oxfordzie i Cambridge, które do niedawna zapełniali prawie wyłącznie synowie

bogatego ziemiaństwa lub kupiectwa. Przypomniał sobie także własne młode lata w biednym domu rodzicielskim w małej mieścinie szkockiej — serdecznie wspominanej w jego powieściach pod nazwą *Thrums*. I oto z ust rektora popłynęły słowa głęboko wzruszającego hołdu dla macierzy całej szkockiej kultury akademickiej:

„Potężne są uniwersytety Szkocji, i będzie trwałą ich moc. Ale nawet w najwyższym nad niemi zachwycie nie zapominajcie nigdy, że jest ich nie cztery, lecz pięć. Największy z nich, to te biedne a dumne domki, z których pochodzicie, a które powiedziały sobie kiedyś, dawno temu: „Będzie nauka w tym kraju!“ Ten uniwersytet, a nie St. Andrews, jest najstarszy w Szkocji, i wszystkie inne — to jego szczenięta“. [1]

4.

Czyto głosząc idee demokratyczne wielkiej Rewolucji — z zastrzeżeniem, że „nie potrzebuje nas ich uczyć Francuz“, — czy też walcząc o wolność sumienia z obskurantyzmem ortodoksji zaściankowej, wielki chłop-poeta Burns zawsze wypowiada swe zasady, nawet najogólniejsze, nietylko z jakąś instynktowną siłą przekonania więcej niż rozumowego, bo odczutego, ale nawet z iście góralską, wyzywającą zapalczywością.

I to ilustruje drugą, obok głębokiego demokratyzmu, charakterystyczną cechę umysłowości szkockiej.

---

[1] *Courage*. By J. M. Barrie. *(The Rectorial Address delivered at St. Andrews University,* May 3, 1922). Londyn, Hodder & Stoughton, 1922 (str. 30).

Perfervidum ingenium Scotorum — nazwał ją jeden dawny pisarz. Naród ten posiada większą, niż jego południowy sąsiad, zdolność do przejmowania się ideami oderwanemi, umie się zapalać do przedmiotów czysto intelektualnych.

Nie wiem, czy wolno i tę skłonność do uogólnień objaśniać geograficznie i przypisywać ją przyzwyczajeniu do nagich wyżyn górskich i rozległych krajobrazów. Ale nie wątpię, że namiętna i popędliwa natura góralska rozpala ukochane przez Szkotów syntezy ogniem ducha wojującego.

W dziejach twórczej myśli anglosaskiej Szkoci grają rolę wybitną. Duch Anglika sili się głównie na stworzenie jak najdoskonalszego pożycia z rzeczywistością, mniej na wznoszenie nad nią konstrukcyj rozumowych. *Hic et nunc* — „tutaj i teraz“ — to nieodłączne *motto* jego rozumowań. Rzecby można, że kategorje czasu i przestrzeni bardziej tyranicznie panują nad jego myśleniem, niż nad myśleniem ludzkiem wogóle. Świadomie niedokładne, ale w praktyce przydatne przybliżenia i kompromisy, tworzenie norm z samego tego nielogicznego materjału, który daje życie i bezpośrednie doświadczenie: to atmosfera duchowa Anglika, czy w polityce i gospodarstwie społecznem, czy w filozofji lub moralności, — od operującej prawdopodobieństwami metody indukcyjnej Bacona i wiążącej cnotę ze szczęściem w tem życiu etyki hrabiego Shaftesbury, do antyrewolucyjnej teorji konserwatyzmu zangliczałego Irlandczyka Edmunda Burke i pragmatycznej metafizyki typowo anglosaskiego Amerykanina, Williama Jamesa; a na przestrzeniach samego XIX-go wieku od uczuciowej krytyki manchesterskich dogmatów liberalizmu w powieściach Dickensa do szlachetnych dy-

letantyzmów ekonomicznych Ruskina, i dalej do dzisiejszych bojów literackich Chestertona, tego Don Kiszota zdrowego rozumu, o ideały nie skrystalizowane logicznie, ale pod zamąconą powierzchnią ukrywające nieskruszony *common sense*. Nie anatomiczne preparaty wyodrębnionych faktów lub pięknie zaokrąglone formuły określeń czy rozwiązań znajdujemy w największych dziełach genjuszu angielskiego: wre w nich zato cała nieujęta i niepojęta rozmaitość życia, wśród której Anglik działa doraźnie i celowo, choć nie ściśle i nie na daleką metę. By sięgnąć po jeden jeszcze przykład do rzeczy najwyższych: jedną z tajemnic potężnej władzy *Hamleta* nad wszystkiemi duszami ludzkiemi jest ta *vital obscurity* jego wielkiej poezji, jak ją nazwał znakomity krytyk Dowden: żywotna niejasność najdoskonalszego poetyckiego realizmu.

Nawet sam język wielkiej literatury angielskiej więcej ma w sobie cech życia, niż myśli. W słownictwie, w gramatyce, w składni pełny jest nieścisłych uproszczeń, niedokładnych analogij, nielogicznych kombinacyj, dorywczych przybliżeń, ryczałtowych skróceń, nawet niedorzecznych mezaljansów. Otoczony w każdym swym wyrazie mgławicą wieloznaczności, mrowiskiem zmian historycznych, rojem ruchliwych wyobrażeń, — przez samo to swoje bogactwo „żywego życia, prawdziwej prawdy“ jest równie doskonałem narzędziem potężnej i głębokiej poezji, jak francuski przez rzymską swą spójność, kryształową przejrzystość, architektoniczną planowość wytwarza klasyczną prozę.

Dziedzictwo duchowe realizmu angielskiego jest dziedzictwem nowoczesnych Szkotów: i dla nich także rze-

czywistość życia jest matką-żywicielką ducha, jej wymagania dyktują program jego prawodawstwa.

Ale by ocenić różnicę, jaka cechuje wkład szkocki w tę twórczość prawodawczą, wystarczy przeciwstawić klasycznemu empirycyzmowi Locke'a subtelny sceptycyzm Hume'a (syna Edynburga); wystarczy spojrzeć na świetny szereg logików i metafizyków szkockich od XVIII do XX wieku — Tomasz Reid, Adam Ferguson, Dugald Stewart, Sir James Mackintosh, Sir William Hamilton, Edward Caird, by wymienić tylko kilku, — gdy w Anglji wielkie dzieła idealizmu niemieckiego od Kanta do Hegla znajdują tylko odosobnionych zwolenników i naśladowców. Za wszystkich wymienionych myślicieli szkockich zresztą starczy jeden, który i Anglików porwał: Tomasz Carlyle, syn murarza z wioski szkockiej, co odkrywa wielkość i filozofji niemieckiej i rewolucji francuskiej dla literatury angielskiej, prawiąc o nich w genjalnych dziełach. A nawet w przedmiocie tak typowo angielskim, jak nauka o gospodarstwie społecznem, pierwszym twórcą wielkich uogólnień rozumowych jest Szkot — Adam Smith. Wreszcie w dziedzinie nauki, która jest główną sławą wieku XIX-go — w wiedzy przyrodniczej, — wśród fizyków, tych prawodawców świata materjalnego, epokowem zjawiskiem jest Szkot, J. C. Maxwell; a drugi niemniej znakomity fizyk, W. Thomson, choć nie urodzony w Szkocji, ale w Glasgowie wychowany, tam przez kilkadziesiąt lat roztaczał swą pamiętną działalność, otoczony uczniami z różnych krajów, i podniesiony do godności lorda, przyjął nazwisko Kelvin — znane dziś całemu światu — według rzeczki, płynącej przez Glasgow.

5.

Potrąciłem o różnicę między duchem angielskim a francuskim. Do Francuzów istotnie Szkoci są zbliżeni swą skłonnością do abstrakcyjnego myślenia i, jak oni, nie wolni w tem upodobaniu czasami od przesady. Dziś na wyspach brytyjskich doktrynerstwo socjalistyczne w skrajnych formach najwięcej ma wyznawców pośród mas robotniczych Szkocji.

Warto też przypomnieć i ten dawniejszy przykład, że jednym z najbardziej entuzjastycznych marzycieli o powszechnem rozbrojeniu i fundatorem bogatego Instytutu dla propagandy pokoju międzynarodowego był amerykański miljoner rodem ze wsi szkockiej — Andrew Carnegie.

I jednego jeszcze wybitnego nowszego przykładu pominąć nie można: raz jeszcze trzeba przytoczyć tę arcyoryginalną mowę rektorską, którą w St. Andrews wygłosił wielki humorysta sir James Barrie. Przedmiotem jej była odwaga, i wspaniałą zaiste ilustracją odczytany z oryginału list kapitana Scotta, znaleziony w tym namiocie wśród śniegów podbiegunowych Antarktyku, gdzie ten bohater zginął od mrozu i głodu, mężny i pogodny do ostatka, odrzuciwszy nawet myśl o samobójstwie. Otóż zdumienie, a może i przerażenie, ogarnęło zapewne starych profesorów w St. Andrews, gdy sir James bez wahania zwrócił ostrze swego tematu przeciwko temu starszemu pokoleniu, do którego sam należy, i w pięknych akcentach jął wzywać młodzież do śmiałej walki z tą generacją o udział w rozstrzyganiu ważnych spraw narodowych i społecznych. Powoływał się na poległych

na wojnie młodzieńców, których starsze pokolenie przez politykę swą wysłało na śmierć; wskazywał palcem na niebezpieczeństwo, że starzy ugrzęzną w dogodnej rutynie i zaniedbają budowę tej lepszej przyszłości świata, w imię której wojna była toczona.

Zaiste taka sankcja odwiecznej i nieuniknionej walki młodych przeciwko starym, ze strony rektora, stróża autorytetu i tradycji, to chyba szczytny wykwit *perfervidi ingenii Scotorum*. U nas równałoby się to zgubnej propagandzie „pajdokracji", — na tej czarownej wyspie zostało przyjęte jako nawpół-żartobliwy gest szacunku dla tych, do których należy przyszłość, i z pewnością miało tylko ten zbawienny skutek, że spotęgowało w młodych słuchaczach poczucie odpowiedzialności społecznej.[1]

Ale patrząc na te szkockie zapędy do logicznych ostateczności jako na zjawiska psychologji rasowej, niezależne od otaczającego je systemu równowagi moralnej i socjalnej, dostrzegamy ich jednakową podstawę: ten sam charakter narodowy, który niegdyś sprawił, że kościołem państwowym w Szkocji stał się ustrój prezbiterjański,

---

[1] Z lokalną dumą krakowską muszę jednak przypomnieć, że znalazł się w Europie drugi rektor, co z podobnie odważnym apelem do studentów się odezwał. Na inauguracji roku szkolnego 1922—3 w naszej *Alma Mater Jagellonica* jej rektor, profesor Władysław Natanson, w końcowym ustępie przepięknej, polotnej swej mowy gorąco zachęcał młodzież, by występowała z własną myślą i własnem zdaniem w swych pracach uniwersyteckich, nawet przeciwko autorytetowi swych nauczycieli, by się nie dawała przez nich wodzić na pasku i karmić gotową strawą, lecz gorliwie kształciła się sama, bo najważniejszych rzeczy w życiu człowiek uczy się sam. (W. Natanson: *Oblicze natury*. Odczyty, przemówienia i szkice. Kraków 1924, Krakowska Spółka Wydawnicza. Rozdz. I. „Nauka wobec świata", str. 13—14).

czyli republikańsko-kalwiński, a nie ten kompromisowy, hierarchiczny „katolicyzm bez papieża“, który wziął górę w Anglji.

6.

Pokrewieństwo duchowe między Szkotem a Francuzem ma swoje historyczno-polityczne podstawy: w długowiekowej walce z Anglją Francja była naturalnym sprzymierzeńcem Szkocji; wcześnie zadzierzgnęły się węzły także w literaturze i w sposobach myślenia. Język francuski zawsze był więcej znany w Szkocji, niż w Anglji; „wyzłacana“ *(aureate)* łacińskiemi wyrazami dykcja poetów szkockich wieku złotego jest pod wpływem wczesnych klasycystów francuskich. Francuska kultura dworu Marji Stuart, choć zwalczana namiętnie przez Jana Knoxa, pozostawiła w Szkocji nie mniej głęboki ślad, niż u nas włoszczyzna z czasów Bony. [1]

Ale z tej strony otwierają się jeszcze szersze horyzonty. Szkoci zawsze nie mniej — raczej więcej — lubili wędrować po świecie, niż Anglicy, a tem się od nich różnią, że w krąg swych wędrówek wciągają nietylko cztery poza-europejskie kontynenty, ale i samą Europę, tak mało Anglikom znaną. [2] Jeszcze za czasów Odrodze-

---

[1] Najciekawszym może pomnikiem tych starych sympatyj w naszych czasach była pełna szlachetnego zapału książka *Dziewica Francji (The Maid of France,* 1908), w której najświetniejszy może „polihistor“ naszych dni, Szkot Andrew Lang, bronił Joanny d'Arc po rycersku przeciwko — Francuzowi, Anatolowi France, co w swem sensacyjnem dwutomowem dziele chciał z niej zrobić tylko okaz patologiczny.

[2] Ciekawy temat wędrówek Szkotów po świecie dawno już

nia Szkot Jerzy Buchanan pomagał Portugalczykom zakładać uniwersytet w Coimbra, a potem we Francji był nauczycielem Montaigne'a. I w naszej Polsce Szkoci dobrze dali się poznać; postać Ketlinga w *Panu Wołodyjowskim* jest trafnie wybranym symbolem rozległego kompleksu zjawisk; o Szkotach w Polsce uczoną rozprawę napisała amerykańska dziennikarka szkockiego pochodzenia, panna Baskerville.[1] Dla Szkotów, snujących się po całym świecie, napisał niegdyś książeczkę o pięknościach starego Edynburga wielki (a tak nieznany u nas!) pisarz, R. L. Stevenson, sam tęskniąc do rodzinnej Szkocji wśród czarów przyrody podzwrotnikowej na wyspie Morza Południowego. W naszych zaś dniach, pod pseudonimem Scotus Viator o południowych Słowianach w osobnej książce, a o różnych innych kwestjach wschodnio-europejskich w czasopiśmie *The New Europe* pisał inny „wędrujący Szkot", R. W. Seton-Watson. Najlepszą książkę angielską o tym kraju tajemnic, jakim dla Anglika jest Rosja, napisał Szkot, sir Donald Mackenzie Wallace. Jeszcze w r. 1915 zastałem w Moskwie wśród najwybitniejszych członków tamtejszej kolonji angielskiej rodzinę szkocką, która mnie zdumiewała swą biegłością w języku rosyjskim. Członek tej rodziny był proboszczem miejscowego kościoła, który nazywał się oficjalnie nie

---

obszernie traktował znakomity historyk szkocki John Hill Burton w dwutomowem dziele *The Scot Abroad* (1864, nowe wydanie 1881).

[1] Praca ta wcieloną została do książki p. t.: *Papers relating to the Scots in Poland, 1576—1793,* którą już w czasie wojny (1915) wydał jako tom 59 publikacyj Szkockiego Towarzystwa Historycznego *(Scottish History Society)* p. A. Francis Steuart. Treść tego ciekawego dla nas wydawnictwa podałem w krótkości w *Przeglądzie Warszawskim* za kwiecień 1923, str. 124.

angielskim, lecz brytyjskim kościołem „pod wezwaniem św. Andrzeja“ (patrona Szkocji) i surowością dekoracyj, zarówno jak prostotą rytuału przypominał raczej prezbiterjański dom modlitwy, niż świątynię anglikańską, jaką *de facto* był. Wreszcie ostatnim ambasadorem Wielkiej Brytanji w Rosji carskiej i rewolucyjnej był Szkot, sir George Buchanan, który niedawno przypomniał się publiczności przez pamiętniki o tych czasach, — zaś jego *attaché* wojskowy o typowo szkockiem nazwisku, jenerał Knox, aż nadto dobrze utkwił w pamięci polskim legjonistom na Syberji. A o Polsce i o Polakach jedną z najlepszych i najsympatyczniejszych angielskich książek napisał w nowszych czasach Szkot — A. Bruce Boswell.

Wszystko to świadczy, że w szczególności w stosunku do spraw kontynentu europejskiego Szkot jest więcej kosmopolitą, niż Anglik, i mniej po wyspiarsku na nie patrzy.[1]

7.

Ten kosmopolityzm szkocki objawia się nawet w takiej, już przez się kosmopolitycznej dziedzinie, jak historja literatury. Katedrę literatury angielskiej w jednem z głównych kolegjów uniwersytetu londyńskiego zajmował przez szereg lat prawdziwie wykwintny w swej cierpkiej małomówności, filozoficznej ironji i szlachetnym

[1] Nie lubią też Anglicy „wszędobylstwa“ Szkotów, i duchowego i fizycznego, a w szczególności inwazji szkockiej we wszystkich dziedzinach angielskiego życia umysłowego i publicznego. Dowcipną i pełną jadu filippikę przeciwko „megalomanji“ narodowej szkockiej napisał w nowszych czasach literacki hałaburda, T. W. H. Crosland, p. t.: *The Unspeakable Scot* (1902).

zapale dla piękna przedstawiciel umysłowości szkockiej, profesor William Paton Ker: był on pierwszym w dzisiejszym świecie angielskim znawcą rzeczy tak odległych od zainteresowań literackich przeciętnego Anglika, jak rycerska epika średniowieczna, wspaniała proza staroislandzka i nie mniej wspaniała poezja starej Hiszpanji.

Skoro już mowa o stosunkach literackich szkocko-angielskich, to zabrnijmy nieco dalej w głąb historji i przypomnijmy sobie, że najbardziej typowy Anglik w literaturze XVIII wieku, krytyk-dyktator Dr Samuel Johnson, rozpoczął swą karjerę literacką pod egidą światłego szkockiego księgarza Andrzeja Millara. Sam Johnson wdzięcznie to uznał, choć wobec swojego szkockiego biografa, Boswella, który przez pół życia krok w krok za nim chodził i dowcipy jego spisywał, pozwalał sobie czasem na takie zgryźliwe aforyzmy na temat Szkotów, jak ten, że „śmierć wielkiego aktora Garricka zaćmiła wesołość narodów — poza Szkocją, bo tam nie było wesołości do zaćmienia“; albo drugi, sławniejszy, że jedyny „obiecujący widok“, jaki się może Szkotowi w życiu otworzyć, to „widok na gościniec do Londynu“. Jest, jak widzieliśmy, nieco słuszności w pierwszem powiedzeniu; jest głęboka prawda polityczna w drugiem: ale nawet ono jest samo w sobie ukłonem w stronę niektórych przynajmniej takich przybyszów z północy.

Jeszcze w epoce początków romantyzmu, gdy Londyn dawno już ogniskował w sobie życie literackie, bezapelacyjnie w ostatniej instancji o całej bieżącej produkcji pisarskiej wyrokował autorytet krytyczny *Przeglądu Edynburskiego (Edinburgh Review)*. Zbuntował się przeciwko niemu Byron w młodocianej satyrze *English Bards and Scotch Reviewers*, ale jeszcze i w jego późniejszych cza-

sach inne edynburskie pismo (również dotąd istniejące), *Blackwood's Edinburgh Magazine*, cieszyło się podobną powagą, a w *Przeglądzie Edynburskim*, już po śmierci Byrona, młody Macaulay zdobywał sobie ostrogi przez rozprawę o Miltonie.

Dodajmy jeszcze, że pomnikowy słownik języka angielskiego, wydawany od blisko 40 lat w Oxfordzie i obecnie dobiegający końca, miał za twórcę i pierwszego głównego redaktora — Szkota: sir James Murray, zmarły w czasie wojny, wsławił się był jeszcze w r. 1873 jako autor klasycznej historji narzeczy szkockich. A dziś jednym z trzech głównych redaktorów słownika jest drugi Szkot, W. A. Craigie, oddany tej robocie także już ćwierć wieku zgórą, a zarazem piastujący katedrę języka anglosaskiego w uniwersytecie oxfordzkim. [1]

Albowiem dla przeciętnego Anglika nawet badania historyczne nad własnym językiem są zbyt oddalone od spraw bieżących, by go zajmować.

8.

Nie chcę jednak wchodzić w dziedziny, zajmujące tylko specjalistów. Nie chcę też błądzić przez nadmierne

---

[1] Ten sam uczony niedawno objeżdżał świat, propagując nową metodę oznaczania wymowy angielskiej przez proste znaki ponad i popod literami, w rodzaju naszych *ą, ę, ł, ć, ś, ż, ź*. Metoda Craigiego przyjęła się już w krajach tak różnych cechami językowemi, jak Indje i Norwegja, a z krajów słowiańskich w Serbji. Wspominam o tym fakcie jako jednym więcej wybitnym przykładzie kosmopolitycznego rozmachu wszelkich poczynań umysłowych szkockich.

akcentowanie odrębności elementu szkockiego w dzisiejszym układzie stosunków.

Dziś kultura szkocka całkowicie zespolona jest z angielską.

Mógłby ktoś, naprzykład, dopatrywać się wpływu szkockich tradycyj rodzinnych we wzniosłej filozofji lorda Balfoura, która niegdyś w młodej jego głowie zakiełkowała za lat studenckich w Cambridge, jako reakcja przeciw panującemu wokoło empiryzmowi angielskiemu. Ale z pewnością, gdy niedawno znowu (w grudniu 1922 r.) sędziwy polityk-myśliciel wykładał tę filozofję z katedry imienia Gifforda w szkockim uniwersytecie, żaden ze szkockich słuchaczy nie myślał o niej jako o wykwintnym wytworze ducha szkockiego, ale jako o kwiecie starej kultury akademickiej angielskiej, lub raczej — jak i Anglicy sami wolą dziś mówić — brytyjskiej. Wszak lord Balfour jest pierwszym prezydentem założonej już w naszem stuleciu „Akademji brytyjskiej“ *(British Academy)*.

Ale właśnie w podziwie nad spoistością brytyjskiego typu kulturalnego uznać należy ogromne znaczenie składników specyficznie szkockich, które współdziałały w jego ukształtowaniu. Streszczając się, stwierdzam, że widzę te szkockie wartości w trzech pierwiastkach. Po pierwsze: szkocki zapał dla idei i rozumowania, objawiając się w życiu publicznem w postaci zasad i ideałów, jest pożytecznem uzupełnieniem równie cennego angielskiego realizmu doświadczalnego i oportunizmu taktycznego. Powtóre: głęboki instynkt demokratyczny Szkotów dobroczynnie ożywia właściwy naturze angielskiej — bezsprzecznie potrzebny i pożyteczny — konserwatyzm. Po trzecie wreszcie (co inne narody najbliżej obchodzi): szkocka kosmopolityczna szerokość widnokręgu i ludzkość sym-

patyj przyczyniła się do tego, że królestwo wyspiarskie nietylko rządzi tylu ziemiami poza Europą, ale także w sprawach naszego starego kontynentu ma dziś głos słuchany i poważany wszędzie, choć niezawsze miły jednym lub drugim.

Nie przestawajmy uwielbiać tych czynników kultury angielskiej, z których sami najwięcej nauczyć się możemy, bo ich najmniej mamy w sobie: ducha ewolucji, ducha kompromisu, ducha skupionej świadomości praktycznego celu i wytrwałej pracowitości w dążeniu doń, a przedziwnej elastyczności w stosowanych metodach.

Zarazem jednak musimy szczególnie pragnąć, by i nadal działały w tym cudownym organiźmie cywilizacyjnym siły przeciwważące jednostronność tamtych: szkocki rewolucyjny idealizm i „boski niepokój“, szkocka logika zasad, szkocki liberalizm sympatyj międzynarodowych. Z niemi dopiero kultura angielska jest nietylko wielka w sobie, ale i wielka dla innych, jako nauczycielka narodów.

Dlatego to życzenie trwałości pierwiastków szkockich w systemie kulturalnym Wielkiej Brytanji wyraźmy z należną czcią słowami tego hasła, z którem dragoni szkoccy pędzili na żelazne czworoboki gwardji napoleońskiej pod Waterloo, i które wraz z dźwiękami narodowej kobzy nieraz prowadziło do szturmu pułki górali szkockich w bitwach wojny światowej: *Scotland for ever!*

IV.

ANGLICY A MY.

„Czy naprawdę Anglicy nas tak nie lubią?“ To pytanie ze wszystkich najczęściej słyszy od rodaków dzisiaj ten, co wraca z Anglji.

„Nie można nie lubić Polaków“ — tak się niedawno wyraził znany z kolumn nieprzyjaznej nam gazety *Manchester Guardian* p. Robert Dell w artykule „Gdańsk i Warszawa“ w tygodniku *The New Statesman*, gdzie opisując swe wrażenia z podróży po Rzeczypospolitej, roztacza przedewszystkiem patetycznie przed opinją angielską skargi Gdańska na krzywdy ze strony Polski: „Gdańsk daje Polsce dostęp do morza, a Polska nie daje Gdańskowi dostępu do lądu!“ W dalszym ciągu zaś we wielu punktach trafnie, ale nawskróś zjadliwie przedstawia wyłącznie słabe strony naszych wewnętrznych porządków, nic nie mówiąc o postępach organizacyjnych i gospodarczych; ironicznie zaznacza, że jedyną kwitnącą instytucją w Polsce jest — armja, i powtarza słowa jakiejś „wysokiej osobistości w służbie dyplomatycznej polskiej“, że w niedalekiej przyszłości czeka nas nowy rozbiór Polski. (Ładny dyplomata, co tak mówił do cudzoziemca — *si è vero*...).

Jeżeli więc zasadniczo nas lubią, dlaczego nic w Polsce i jej postępowaniu im się nie podoba? Czy rzeczywi-

ście można mówić o jakich sympatjach angielskich dla Polski w dobie obecnej? A jeżeli ich niedostaje, co możemy zrobić, by przekonać do naszej Rzeczypospolitej i lepiej dla niej usposobić naród, który wysoko szanujemy, któremu narówni z całą pozostałą Europą tyle kulturalnie zawdzięczamy, na którego zaufaniu i przyjaźni wreszcie przy jego międzynarodowej potędze koniecznie zależeć nam musi?

Spędziwszy rok w Anglji na pracy nad tem właśnie zadaniem, na apelach *a Britannia male informata ad Britanniam melius informandam,* poczuwam się do obowiązku przedstawienia publiczności polskiej takich odpowiedzi na powyższe pytania, jakie to moje doświadczenie dyktuje.

1.

Zacznijmy od stwierdzenia, że po wiekowej i zupełnie naturalnej obojętności Anglji wobec Rzeczypospolitej, jako leżącej poza sferą jej międzynarodowych interesów — po nie mniej obojętnem zachowaniu się wobec tragedji rozbiorów — jednak przebudziły się i istniały rzeczywiście sympatje angielskie dla Polski, gdy Polska sama już nie istniała na karcie Europy.

Już wtedy, gdyśmy szli za orłami największego wroga Anglji, Napoleona, piewcy poczynającego się ruchu romantycznego odzywali się ze czcią o bohaterach walki o niepodległość i ze współczuciem o niewoli kraju. Tomasz Campbell (Szkot rodem) w swym staroświeckim poemacie dydaktycznym „Rozkosze Nadziei“ *(The Pleasures of Hope)* użył słów najczęściej powtarzanych ze wszystkich:

And Freedom shriek'd when Kościuszko fell — („A wolność jęk wydała, gdy upadł Kościuszko") — i później jeszcze niejednokrotnie hołdował bohaterstwu polskiemu, szczególnie w r. 1831, we wierszu *The Fallen Eagle* („Upadły Orzeł") i innych. Lord Byron, choć życie oddał za Grecję, i o Polsce w pieśniach swych wspomina, w *Don Juanie*, w satyrze *Wiek bronzowy* i gdzieindziej, niemniej inni wielcy pisarze okresu romantycznego, jak poeta Keats, essayista Landor i jeszcze główny wieszcz pokolenia następnego, Tennyson, w początkach swej twórczości. Kościuszko w drodze z niewoli rosyjskiej do Ameryki, w przejeździe przez Londyn był przedmiotem wielkich owacyj: kilku malarzy malowało jego portrety, a powstanie, które prowadził, stało się tematem popularnej powieści przez pannę Jane Porter.

Nowy impuls tym sympatjom dała katastrofa powstania listopadowego. Gdy we Francji najwięksi pisarze i myśliciele epoki wchodzili w żywy kontakt z naszymi wieszczami na emigracji, gdy w Niemczech rozbrzmiewała na wszystkie tony *Polenlyrik*, a we Włoszech przywódcy ruchu wyzwoleńczego najserdeczniej się bratali z wygnańcami polskimi,[1] w Anglji zawiązało się „Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski" *(Literary Society of the Friends of Poland)*, którego duszą obok wspomnianego poety szkockiego byli dwaj inni Szkoci — Dawid Urquhart i lord Dudley Stuart. Obok nawiązywania kontaktu duchowego z Polską, który zainicjował jeszcze w roku 1816 sir John Bowring przez zbiorek tłumaczeń

[1] Właśnie w ostatnich czasach p. E. Gardner, profesor literatury włoskiej w *University College* w Londynie i brat znanej autorki książek o poetach polskich, panny Moniki Gardner, wygłosił odczyt „Mazzini a sprawa polska".

z poezji polskiej i innych sąsiednich narodów, — Towarzystwo zajęło się praktycznym celem niesienia pomocy rozbitkom z rewolucji polskiej, i rozwinęło w tym kierunku żywą i rozległą działalność po całych wyspach brytyjskich. Towarzystwo istniało na papierze aż do ostatnich czasów: obecnie cenny jego księgozbiór, znajdujący się w posiadaniu niejakiej pani Pace, ma przejść na własność jednej z placówek polskich w Londynie, i byłoby wielce do życzenia, by wokoło tego materjalnego ośrodka zgrupowało się wskrzeszone i w obecnych warunkach naprawdę już czysto „literackie“ Towarzystwo Przyjaciół Polski. Filantropji angielskiej, chwała Bogu, dziś nie potrzebujemy, a przyjaciół „literackich“ właśnie mamy wśród najwybitniejszych pisarzy angielskich więcej, niż w innych sferach społeczeństwa; wystarczy wspomnieć G. K. Chestertona, który i wierszem i prozą już niejednokrotnie wypowiadał szczerą przyjaźń dla naszej sprawy. W najnowszym tomiku jego poezyj *The Ballad of St. Barbara and Other Verses* jest wiersz p. t.: „Polska“.

Z wyjątkiem takich odosobnionych zjawisk, jak Chesterton, jednak stara tradycja polonofilizmu literackiego w Anglji wygasła dziś niemal zupełnie, i było jakby melancholijnem jej echem, gdy wiosną r. 1923, na bankiecie wydanym na cześć posła polskiego w Londynie przez *Lyceum Club* (klub — notabene — kobiecy!) przemawiał staruszek gaduła z parlamentu, Irlandczyk, poseł T. P. O'Connor, i wspominał te czasy, gdy za jego młodych lat nazywano Polskę „Irlandją Wschodu“, a Irlandję „Polską Zachodu“.[1]

---

[1] O wcześniejszych stadjach polonofilizmu angielskiego pisałem w broszurze *Powstanie Kościuszki w powieści angielskiej r. 1803*

2.

Sympatje literackie i filantropijne dla Polski wśród społeczeństwa angielskiego nigdy nie znalazły wyrazu w polityce czynnej. Po nieudałej akcji na korzyść Polski na kongresie wiedeńskim, późniejsze rządy angielskie, mimo interpelacyj parlamentarnych różnych polonofilów, ograniczały się do platonicznych deklaracyj protestu wobec krzywd Polski w XIX wieku. „Nie możemy posłać floty do Warszawy“ — to powiedzenie Palmerstona ujmuje *in nuce* samą istotę angielskiego *desintéressement* w sprawach polskich. Historja stanowiska Anglji oficjalnej w najkrytyczniejszych latach, między powstaniem listopadowem a styczniowem, dziś jest wyświetlona przez zbiór poufnych dokumentów dyplomatycznych angielskich z tej epoki, które przy pomocy Akademji Umiejętności ogłosił drukiem jeszcze przed wojną p. Tytus Filipowicz (Paryż, 1914).

Ponieważ literatura w Anglji nigdy nie grała tej roli kierującej w życiu narodu, co u nas za czasów emigracyjnych, gdyśmy politycznego kierownictwa nie mieli, więc nic dziwnego, że w ślad za obojętnością rządu rozwinęła się stopniowo i obojętność w literaturze, a pogłębiła się wyspiarska ignorancja spraw polskich w świadomości ogółu angielskiego. Na palcach można policzyć tłumaczenia dzieł naszej literatury na język angielski w XIX w. Tłumaczenie a raczej przeróbka *Nieboskiej Komedji* Krasińskiego przez lorda Edwarda Bulwer-Lyttona młodszego

---

(Kraków, 1907, odbitka z *Przeglądu Polskiego*) i w artykule „Z życia i z działalności angielskiego przyjaciela Polski“ (w książce zbiorowej *Odgłosy*, Moskwa, 1916). Por. także: Henryk Tyszka, *Anglja a Polska* (Warszawa 1922, nakładem „Kroniki Rodzinnej“, Nr. VI w serji „Studja na dobie“).

p. t.: *Orval, or the Fool of Time* (1869) dawno zginęło w zapomnienia fali. Henry Reeve znany jest w dziejach publicystyki angielskiej jako długoletni redaktor *Edinburgh Review,* ale nikt w Anglji nie zna jego młodocianej korespondencji z Krasińskim, wydanej drukiem za naszych czasów. Nasza własna Wielka Emigracja pod względem pośrednictwa literackiego między Anglją a Polską daleko była czynniejsza na gruncie francuskim, niż angielskim. Tłumaczenie angielskie *Ksiąg Pielgrzymstwa* Mickiewicza przez Lacha-Szyrmę tak dalece poszło w niepamięć, że gdy w roku 1923 pisarz irlandzki Liam o'Reinn wydał przekład tego utworu na język irlandzki, recenzent w dodatku literackim do *Times* mógł twierdzić, że tłumaczenia na język angielski dotychczas niema. Jakość tłumaczeń, niestety, przeważnie jeszcze mniej korzystnie się przedstawia, niż ilość. Dzisiaj posiadamy w p. F. H. Fortey'u niewątpliwie natchnionego tłumacza naszych poetów, ale i jego przekłady z Mickiewicza, wydane niedawno pod tytułem *Gems of Polish Poetry* nakładem naszego ministerstwa spraw zagranicznych, nie są wolne od zarzutu z punktu widzenia stylu poetyckiego angielskiego. Jedyne tłumaczenia angielskie z naszej poezji, które mi się wydają zadowalniającemi z punktu widzenia literacko-estetycznego, nieznane są na rynku angielskim, bo wyszły na dalekim Zachodzie Ameryki, w publikacjach kalifornijskiego uniwersytetu *Berkeley College:* inicjatorem tych doskonałych rymowanych przekładów jest zasłużony tamtejszy profesor języków słowiańskich, George Rapall Noyes, wykonawcami dwie jego uczenice, a dzieła przełożone, to *Odprawa posłów greckich* Kochanowskiego i jego *Treny.* Sam profesor Noyes przełożył *Pana Tadeusza* (prozą); a wybór jego pomniejszych tłumaczeń z *Dziadów* i *Ballad i Romanc*

ma się niebawem ukazać w oxfordzkiej serji *The World's Classics*.

Do tych nielicznych dobrych przekładów przybyło świeżo znakomite tłumaczenie *Nieboskiej Komedji* Krasińskiego przez panie H. E. Kennedy i Zofję Umińską, wydane z przedmowami G. K. Chestertona i Artura Górskiego (Londyn, G. Harrap; Warszawa, „Książnica Polska", 1923).

Z klasykami naszej prozy jeszcze nierównie gorzej, niż z poetami. Jedynym polskim autorem, znanym wykształconemu Anglikowi z nazwiska, jest Sienkiewicz; i dziwić się zaiste trzeba, że przekłady, naogół liche, nawet gdy chodzi o dzieło o charakterze tak międzynarodowym, jak *Quo Vadis*, — nie zaszkodziły raczej jego sławie, zamiast jej pomóc. Przemawiając o „zagadnieniach społecznych i nowszej literaturze polskiej" przed gronem literatów angielskich w londyńskim *To-Morrow Club*, nie mogłem zainteresowanym słuchaczom wskazać żadnego angielskiego przekładu z Prusa albo Reymonta, [1] z Konopnickiej, ani z Żeromskiego. Wyszedł tylko w serji *The World's Classics* niewielki zbiorek nowel polskich różnych autorów w przekładach pań E. C. M. Benecke i M. Busch.

Nie więcej szczęścia, niż z przekładami arcydzieł naszej literatury, mamy z oryginalnemi pracami o Polsce w języku angielskim. Oczywiście stawały się od czasu do czasu poszczególne wypadki lub okresy z dziejów Polski i jej kultury przedmiotem opracowań naukowych angielskich; ale prace tego rodzaju, jak uczona rozprawa amerykańskiego profesora R. H. Lord'a o drugim rozbiorze

[1] Przekład *Chłopów*, dokonany przez p. M. H. Dziewickiego dla amerykańskiej firmy Putnam & Sons, z niewiadomych samemu tłumaczowi przyczyn dotychczas nie wyszedł.

Polski, czy też popularniejsza lorda Eversley'a o wszystkich trzech rozbiorach, lub dość powabnie napisana książka zmarłego urzędnika bibljoteki *British Museum* w Londynie, R. Nisbet Bain'a o Stanisławie Auguście, albo wreszcie świeże studjum pani J. Nicoll o Szekspirze w Polsce, z natury rzeczy w ręce szerszej publiczności nie trafiają. Tak samo właściwie do wykształceńszych tylko przemawia dwunastotomowa, zbiorowa *Cambridge Modern History,* w której szczególnie porozbiorowe dzieje Polski — dzięki profesorowi Askenazemu — godnie są reprezentowane. Do ogółu czytającego zwracają się wydawnictwa mniejszej objętości i popularniejsze w stylu. Do takich należała serja monografij historycznych o poszczególnych narodach, wydawana przez firmę Fisher Unwin pod tytułem *Stories of the Nations.* Miała ona przeciwdziałać bezdennej nieznajomości historji wogóle, jaka cechuje bodaj wszystkie nowoczesne demokracje, a głębokiej niewiedzy o narodach kontynentu europejskiego i niechęci i obojętności wobec nich, które cechują szeroki ogół angielski w szczególności. W istocie serja miała pewne powodzenie, i dość szeroko była rozpowszechniona. Niestety, redagowana była bardzo nierównomiernie, i niektóre jej tomy są wprost skandaliczne. Do najbardziej nieudałych należała historja Polski. Napisał ją pierwszy profesor języków słowiańskich w Uniwersytecie oxfordzkim, zmarły W. R. Morfill. Nie historyk z powołania, lecz specjalista od języków i literatur, bliższe miał stosunki z kulturą rosyjską niż polską, i pisząc o dziejach Polski, polegał głównie na dziełach rosyjskich i niemieckich. Przytem okazał w traktowaniu przedmiotu starcze i niemal dziecinne upodobanie do szczegółów anegdotycznych. Ale co najgorsze, to, że jak sam wyraźnie we wstę-

pie zapowiada, patrzył na historję Polski jako na ciekawy, ale bezpowrotnie zamknięty rozdział dziejów powszechnych. Była więc ta książka w swym efekcie jednym więcej ćwiekiem, wbitym do trumny Polski. Tem bardziej też ubolewać nad tem należy, że książka, tak zupełnie przestarzała i nieudolna, wychodzi obecnie w niezmienionym przedruku, i, co gorsza, rozdział uzupełniający o wypadkach ostatnich sześćdziesięciu lat napisał do niej autor jeszcze mniej kompetentny i mniej życzliwy Polsce, niż pierwotny — mianowicie dziennikarz irlandzki J. V. O'Hara, który do niedawna jako najmita literacki był na usługach anty-polskiej propagandy Ukraińców na gruncie angielskim. Przypomina się zwrot niemiecki: *den Bock zum Gärtner machen.* Usilne ustne przedstawienia niżej podpisanego, i nawet oferta bezpłatnego dostarczania całego tekstu nowej książki na miejsce morfillowskiej, wraz z illustracjami, których podejmowało się dostarczyć Poselstwo polskie w Londynie, wszystko to odbiło się, jak o głaz, o kamienną obojętność sędziwego szefa firmy p. T. Fisher Unwin'a.

Z tą samą obojętnością i wydawców i czytelników boryka się od lat autorka naukowych monografij o poetach i bohaterach naszych, panna Monika M. Gardner. Jej obszerne prace o Mickiewiczu i o Krasińskim, oraz mniejsza książka o Kościuszce, tak samo jak i wydana przed wojną jeszcze „Historja Polski dla dzieci angielskich", wszystko to są rzeczy oparte na znajomości naszego języka i naszych tradycyj, a także i na sumiennej lekturze ważniejszych dzieł z naszej literatury fachowej, ale nacechowane w oczach Anglika wadą, która szkodzi im fatalnie, choć dla nas jest sympatyczną: są mianowicie podyktowane gorącym entuzjazmem dla naszego na-

rodu, jego czynów dziejowych i jego genjuszów. Rycerski charakter naszego narodu, przedstawiony w książce panny Gardner: *Poland — A Study in National Idealism* (1916) w zwierciedle naszej wielkiej poezji emigracyjnej, musi się w tem przedstawieniu wydać przeciętnemu, trzeźwemu Anglikowi chorobliwą egzaltacją, sentymentalnem marzycielstwem, deklamatorską megalomanją, i poprostu go tylko drażni, zamiast go pociągać urokiem piękna moralnego. Zacnej autorce życzyć należy z całego serca, by jej ukończona obecnie książka o Sienkiewiczu i jej przekład *Pożogi* pani Szczuckiej nie wpadły w tę samą „milczącą otchłań“ (jak mówił Słowacki), co pochłonęła jej dotychczasowe tomy; ale spodziewać się innego rezultatu, niestety, trudno, szczególnie w chwili obecnej.

3.

Niekorzystna dla nas konjunktura obecna w Anglji jest wynikiem rozwoju wypadków po wojnie światowej.

Sama wojna, wciągnąwszy Anglję w konflikt europejski, z konieczności wywołała wzmożone zainteresowanie się ogółu angielskiego wielu obcemi mu z gruntu krajami i narodami na lądzie Europy, których interesy w tej walce w grę wchodziły.

W stosunku do Polski to zainteresowanie objawiło się przedewszystkiem przez czynny udział wpływowych osobistości i szerokich kół narodu w organizacji jałmużnictwa dla polskich ofiar wojny. Na tem polu, jak zresztą i w dziedzinie wszelakiej agitacji za Polską w Anglji, wielkie położyła zasługi dawna, entuzjastyczna i wierna nasza przyjaciółka, panna A l m a T a d e m a, córka znakomitego malarza.

Poza doraźną pomocą jednak silnie także się zaznaczyła w czasie wojny u ogółu angielskiego niezwykła, jak na ten wyspiarski naród, ciekawość co do tych narodów, które wojna w horyzont Anglika wprowadziła. Zaspokojeniu tego pragnienia wiedzy służyła cała nowa literatura informacyjna, produkowana zrazu przez samych Anglików. Takie „książki wojenne“ *(war books)* o Polsce, przeważnie efemerycznej natury, w większej swej części są dziś słusznie zapomniane.[1]

Wynurza się z fali czasu zaledwie jeszcze kilka takich książek, po części już po wojnie wydanych. Praca profesora uniwersytetu dublińskiego, Waltera Alisona Phillips'a *Poland*, wydana w serji *Home University Library* (1915), jest dziełem uczonego historyka, znającego nasz język i prace dziejopisarzy polskich, ale traktuje przeważnie o prądach politycznych, nurtujących nasze społeczeństwo porozbiorowe w ostatnich dziesięcioleciach. Spokojna i bezstronna w tonie, ma jednak poważne luki: pomija n. p. zupełnie potężne znaczenie poezji emigracyjnej dla życia politycznego narodu, a to dlatego, ponieważ autor, jak sam się wyraził w liście do mnie, „nie może znosić tego podporządkowania rozumu — uczuciu“. Roi się też oczywiście w książce od błędów faktycznych (Kościuszko wzięty do niewoli w bitwie „pod Pragą“, car Aleksander II koronowany królem polskim w Warszawie w roku 1856!), choć nie można może zarzucać profesorowi Phillipsowi w tym stopniu tendencyjnego przekręcania faktów pod wpływem niemieckich dzieł Cleinowa i innych, jak to w swoim czasie czyniło w gwałtownem sprostowaniu (nie

[1] Recenzowałem cały szereg takich książek w tygodniku moskiewskim *Echo Polskie* (1916) i w miesięczniku petrogradzkim *Myśl Narodowa* (1916—17), artykuł *Anglicy o Polsce* i in.

wydrukowanem zresztą przez *Times*) Polskie Biuro Prasowe w Londynie.

O ile co do stanowiska prof. Phillipsa wobec nas mogły istnieć poważne wątpliwości, to już całkiem niewątpliwie najszczerszą dla nas życzliwością podyktowane, a przytem nawskróś poważne dzieło angielskie o Polsce i Polakach wydał, już po wojnie, p. A. Bruce Boswell, obecnie profesor języków słowiańskich w uniwersytecie liverpoolskim. Jego książka *Poland and the Poles* (1919) polega na przedwojennych jeszcze wrażeniach z kilkuletniego pobytu w Polsce w charakterze praktykanta w bibljotece Zamoyskich w Warszawie. Okoliczność ta, w naszych oczach wysoce sympatyczna, pozbawia jednak książkę aktualności i zmniejsza jej wartość dla Anglika, jako źródła informacyj o nowem państwie polskiem.

Inna znowu właściwość szkodzi rozpowszechnieniu książki, polegającej na bezpośredniej obserwacji Polski powojennej. Chodzi o „Listy o sprawach polskich", których autorem jest profesor Charles Sarolea, a które świeżo wyszły w przekładzie polskim Jadwigi Sienkiewiczównej. I w tym wypadku o szczerości sympatyj pisarza dla nas wątpić nie można, tem bardziej, że objawiał on je już przed wojną na łamach tygodnika literackiego, który wtedy wydawał. O gruntowności jego studjów nad rzeczami polskiemi miałem miłą sposobność przekonać się w Edynburgu, będąc jego gościem i podziwiając jego olbrzymią, z jakich 300.000 tomów złożoną bibljotekę prywatną, a w niej — spory dział polski, zawierający nawet takie rzeczy, jak dwa wielotomowe egzemplarze monumentalnego wydania Długosza. Niestety, przy tej sposobności także przekonałem się, co książce tego autora o Polsce zgóry odbiera skuteczność w Anglji. Prof. Sarolea w samym Edynburgu,

gdzie od trzydziestu lat wykłada literaturę francuską w uniwersytecie, osobiście nie jest popularnym. Snadź nawet tak długi pobyt Belgijczyka na ziemi brytyjskiej jeszcze nie wystarcza dla przezwyciężenia wyspiarskiego przesądu przeciw obcokrajowcom.

Dla zupełności wspomnę tylko o jednej jeszcze książce powojennej, która, niestety, natrafia u czytelnika angielskiego na ten sam przesąd, tylko w silniejszym jeszcze stopniu, bo chodzi w tym wypadku o głęboką niechęć Anglika do wszystkiego, co amerykańskie. Major amerykańskiego Czerwonego Krzyża, p. C. Phillips, był świadkiem i po części uczestnikiem wszystkich wielkich rzeczy, które się u nas działy od r. 1918, i z entuzjazmem opowiada o obronie Lwowa, o zwycięstwie nad bolszewikami i o naszych wodzach i mężach stanu w swej książce *The New Poland*, wydanej przez londyńską firmę Allen & Unwin przy pomocy naszego Rządu w r. 1922. Entuzjazm wykształconego Amerykanina dla Polski prawie we wszystkich znanych mi wypadkach daje się sprowadzić bezpośrednio lub pośrednio do wpływu Heleny Modrzejewskiej. Nie zapomnieli może jeszcze wszyscy Krakowianie osobliwego gościa, jaki nawiedził nasz gród niedługo przed wojną, w postaci plantatora z wysp hawajskich, pana Browna, który w młodości był aktorem, a rozstając się z karjerą artystyczną, przy pożegnaniu z Modrzejewską musiał jej obiecać, że gdy się wzbogaci, zwiedzi całą Polskę, — i przyrzeczenie to po śmierci naszej artystki rzetelnie spełniał. Otóż tak samo i major Phillips pierwotnie zainteresował się Polską pod wpływem Modrzejewskiej, jak to stwierdza w pełnej czci dedykacji swej książki. Fakt ten zbliża jego książkę do podobnie entuzjastycznej przedwojennej: *Poland, the Knight*

among Nations, której autorem był Lewis van Norman. Niestety, łączy te obie książki także jedna wspólna cecha stylistyczna, mianowicie demonstracyjna aż do ckliwości uczuciowość ich zachwytów. Amerykanin, gdy popada w sentyment, nie szczędzi tej przesady, która jest ogólną cechą wszystkiego, co amerykańskie. W książce p. Phillipsa rażą te nadmierne wylewy czułości już Polaka — jakież dopiero muszą robić wrażenie na Angliku!

Z tych więc czy owych powodów, książki pisane o Polsce po angielsku przez ludzi, których czytelnik angielski o stronniczość podejrzewać nie może, warunków powodzenia na rynku angielskim nie miały. To też z tych i inszych jeszcze, bardziej efemerycznych książek o sprawach polskich, mało więcej wiadomości przesiąkło do świadomości ogółu angielskiego, niż tam tkwiło przed wojną, i dziwić się nie można, jeżeli genjalny samouk Wells w swem ogromnem, popularnem tomisku: „Zarys historji powszechnej", w rozdziałach, traktujących o Polsce, popełnia takie błędy, jak n. p. twierdzenie, że Sobieski niedługo przed swym wyborem na króla walczył przeciwko Polsce po stronie Szwedów!

Pośród Anglików, co pisali dla swych ziomków o Polsce, widnieje także nazwisko tego Polaka, który dziś bez zastrzeżeń uznany jest za najpierwszego mistrza pióra w Anglji, Józefa Conrada (Korzeniowskiego).

Conrad w czasie wojny kilkakrotnie podnosił swój głos, którego cała czytająca Anglja ze czcią słucha, jako rzecznik sprawy naszej w opinji angielskiej. W rozprawce „Zbrodnia rozbiorów" odważnie napiętnował nieszczerość manifestu Wielkiego Księcia do Polaków w czasie, gdy cała Anglja (tak samo, jak i Francja) była prze-

świadczona, że sprawę lepszej przyszłości Polski można z całem zaufaniem oddać w ręce carskiej Rosji. W innych szkicach Conrad upamiętnił w malowniczych słowach wycieczkę z synami do Krakowa i Zakopanego w przeddzień wojny, oraz dawniejszą wycieczkę w dzieciństwie, z matką, do zesłanego ojca, na daleką północ Rosji.

Jeżeli wielki pisarz w obecnych czasach wobec licznych napaści na Polskę w prasie angielskiej milczy, trzeba to położyć na karb częścią jego pełnego rezerwy i prawie odludnego usposobienia, nie skłonnego do żadnych publicznych wystąpień, a częścią — jego zadumania nad zagadnieniami własnej sztuki i ogólno-ludzkiej psychiki. Wyżyna, na której w twórczości swej stoi Conrad, to strefa już nad-narodowa, podobnie, jak sfera mądrości Goethego. Nie można wymagać, by z niej zstępował w pył i zgiełk areny propagandystycznej.

4.

Propaganda — to słowo dziś sponiewierane i prawie tak spodlałe, jak „reklama“. A jednak w pierwszych latach wojny ci działacze polityczni z pośród niewyzwolonych narodów środkowo- i wschodnio-europejskich, którzy ziszczenie swych nadziei patrjotycznych łączyli ze zwycięstwem koalicji nad Niemcem, prowadzili propagandę na Zachodzie w interesie swych krajów z gorliwością i zapałem misjonarzy religijnych. Nie wzgardził pracą propagandystyczną w Anglji i Ameryce największy mąż dzisiejszych Czech — prezydent Masaryk; poświęcał się jej z bezgranicznym entuzjazmem i fenome-

nalną energją w Stanach Zjednoczonych nasz Paderewski, zanim dalszy rozwój wypadków do jeszcze wyższych powołał go zadań. Wspomniany już gaduła kronikarski, poseł T. P. O'Connor, jeszcze w roku 1923, gdy gazety zapowiadały, że „jedyny Paderewski" — *the one and only Paderewski* — przyjeżdża do Londynu z koncertami, ze szczerym podziwem opowiadał na łamach *Sunday Times*, jak raz w ciągu wojny Paderewski w Chicago po godzinnym, pełnym zapału wykładzie o Polsce do kilkunastotysięcznego audytorjum jeszcze przez trzy godziny, do północy, prowadził z nim, O'Connorem, nader miłą pogawędkę o sztuce i innych rzeczach, zdumiewając nawet tego mownego Irlandczyka wymową, werwą i dowcipem.

Propaganda polska w Anglji rozwinęła się silnie, szczególnie w tym późniejszym okresie wojny, gdy kwestja polska już nieodwołalnie stanęła w płaszczyźnie niepodległości. Wychodził w r. 1917 i następnych „Przegląd Polski" *(The Polish Review)*, wydawany po angielsku w Londynie; wyszła też zbiorowa książka *Poland's Case for Indepedence*, złożona z monografij autorów polskich o różnych stronach sprawy polskiej, z przedmowami znakomitości angielskich, jak lord Bryce i mr. Asquith.

Nie może tu być mojem zadaniem przedstawić całokształt propagandy prasowej, prowadzonej przez różnych działaczy polskich na gruncie angielskim. Nie mogę tego uczynić nietylko dlatego, że cała ta działalność dotychczas jest przedmiotem namiętnych sporów partyjnych, ale przedewszystkiem dlatego, że będąc wtedy w głębi Rosji, miałem o niej tylko bardzo urywkowe i niedokładne wiadomości. Muszę jednak stwierdzić, że wszędzie, gdzie szedłem po Anglji i Szkocji ze słowem o Polsce w ciągu ubiegłego roku, od Londynu do Edynburga, natrafiałem

na ślady kampanji odczytowej p. Romana Dmowskiego, którego osobistość i żywe słowo wywarły wrażenie tam, gdzie różne drukowane apele żadnego echa nie wywołały. Przy pracy zaś pisarskiej nad popularyzacją spraw polskich w Anglji sam z wdzięcznością korzystałem z cyklu odczytów p. Stanisława Kozickiego *The Social Evolution of Poland in the Nineteenth Century* (Londyn, Hodder & Stoughton, 1918). Wreszcie sam uczestniczyłem w zebraniu, na którem p. August Zaleski, jako pierwszy prelegent o rzeczach polskich w uniwersytecie londyńskim, został zamianowany członkiem honorowym Instytutu słowiańskiego w tym uniwersytecie.

Gdy propaganda z ideowej pracy patrjotycznych jednostek i towarzystw stała się zorganizowaną częścią aparatu politycznego różnych „nowych państw“ europejskich i ich przedstawicielstw, a zarazem narzędziem walki o rozmaite sporne terytorja i prawa, doszło z czasem do tego, że popadła w dyskredyt zupełny, przestano jej wierzyć i ufać; opinja publiczna drwi z jej płodów lub je ignoruje. Ministerstwo spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji wyraźnie zakazało je importować i rozpowszechniać. Dotyczy to bibuły propagandystycznej wszystkich narodów, nietylko naszego. Ale nie da się zaprzeczyć, że organizacja naszej propagandy państwowej w Anglji okazała się dotąd szczególnie mało skuteczną w porównaniu n. p. z czeską, która umiała wyrobić dla Czech stanowisko poważane we wszystkich dziedzinach życia umysłowego w Anglji. Z pełnemi szacunku wzmiankami o postępach organizacyjnych Czechów można się spotkać nawet w tak niespodzianych miejscach, jak powieść Wellsa *The Secret Places of the Heart,* w której opisany jest zlot Sokolstwa czeskiego w Pradze.

Nasza propaganda wytęża swe siły głównie w tym kierunku, w którym rzeczywiście ze względu na „kramarską“ psychikę Anglików trzeba głównie oddziaływać na opinję publiczną w Anglji — w kierunku informacji ekonomicznej. Ale wydawane niemałym kosztem czasopismo *The Polish Economic Bulletin* nie zwracało na siebie uwagi kół finansowych londyńskich i nie przeciwstawiało się skutecznie temu brakowi zaufania do całego naszego gospodarstwa narodowego, który wciąż jeszcze jest nastrojem panującym kapitału angielskiego w stosunku do Polski. Nie rozwiewają zresztą tej nieufności nawet korzystne dla nas informacje o stanie gospodarczym Polski z samych angielskich źródeł urzędowych: „Wydział handlu zamorskiego“ *(Department of Overseas Trade)* w brytyjskiem ministerstwie handlu posiada i oficjalnie publikuje jak najpomyślniej świadczące wiadomości cyfrowe o bogactwach naturalnych naszego kraju i postępach naszej produkcji rolnej i przemysłowej.

Mimo to — zaufania ekonomicznego do Polski niema. Jak to tłumaczyć? Nasuwa się przypuszczenie, że winę tak niezadawalniających wyników propagandy ekonomicznej ponoszą nietyle pewne niezaprzeczalne niedostatki całej naszej roboty propagandystycznej (o których się tu rozpisywać nie chcę), ile jakieś niezależne od naszych wysiłków czynniki polityczne, siły społeczne i motywy gospodarcze wewnątrz samego organizmu narodowego Wielkiej Brytanji. To przypuszczenie potwierdzają także moje własne doświadczenia podczas całego roku pracy w służbie propagandy polskiej w Anglji.

5.

Propagandystyczny raczej niż ściśle naukowy charakter cechował, i w znacznej mierze dotąd cechuje, tę instytucję w łonie uniwersytetu londyńskiego, której przez rok jako prelegent o rzeczach polskich służyłem: „Szkołę nauk słowiańskich“ *(The School of Slavonic Studies)*. Gdyby nie obecność w niej od niejakiego czasu znakomicie wyszkolonego docenta gramatyki porównawczej języków słowiańskich, p. N. B. Jopsona (doskonale znającego także nasz język), nie możnaby tej instytucji zgoła porównać ze zwykłem „seminarjum filologji słowiańskiej“ w którymkolwiek z naszych uniwersytetów. Sam uniwersytet londyński, do którego Szkoła słowiańska należy, istnieje dopiero od stu lat i w porównaniu ze staremi uniwersytetami angielskiemi w Oxfordzie i Cambridge ma charakter znacznie mniej akademicki, a więcej praktyczny. Ten charakter wzmocnił się jeszcze po wojnie, gdy mnóstwo młodzieży, która wskutek wojny przerwała regularne wykształcenie, szuka w uniwersytecie londyńskim doraźnego uzupełnienia swych nauk dla jak najrychlejszego uzyskania kawałka chleba, przeważnie w handlu lub przemyśle. Koniecznościom wojennym także zawdzięcza swoje istnienie i swój kierunek Szkoła słowiańska. Utworzono ją, by na gwałt zaradzić na rażącą nieznajomość Anglików ze sprawami środkowej i wschodniej Europy. Ignorancja ta jaskrawie wystąpiła na jaw od początku wojny europejskiej, a przedstawiała poważne niebezpieczeństwo ze względu na perspektywy powojennej konkurencji między Anglją a innemi potęgami handlowo-przemysłowemi na rynkach nowych państw wschodnio-europejskich, oraz

przyszłej, po-bolszewickiej Rosji. Wobec takich problemów nic dziwnego, że Szkoła słowiańska, utrzymywana, jak cały uniwersytet londyński, częściowo tylko z subwencyj rządowych, jest finansowo w znacznej mierze zależna od magnatów kupieckich śródmieścia londyńskiego *(City)*, i że podlega kontroli „komitetu doradczego", z tych dobroczyńców złożonego. Zaś ten komitet doradczy na swych posiedzeniach zgoła nie po naukowemu zastanawia się nad tem, na który naród słowiański bardziej, a na który mniej warto „stawiać" (jak na konia wyścigowego) ze względu na perspektywy ekonomiczne. Z przyjemnością mogę zaznaczyć, że w r. 1923 na wiosennem posiedzeniu najpoważniejsze głowy uznały Polskę za kraj, na który stawiać warto.

Obok tak daleko idącego wpływu motywów ekonomicznych charakter naukowy szkoły także znacznie jest zmodyfikowany przez silną rolę momentów politycznych. Jej kierownikiem administracyjnym jest sir Bernard Pares, stary i wypróbowany przyjaciel liberałów rosyjskich, w czasie pierwszej i drugiej Dumy korespondent dzienników angielskich w Petersburgu, później profesor historji rosyjskiej w uniwersytecie liverpoolskim, wreszcie podczas wojny *attaché* angielski przy rosyjskim Czerwonym Krzyżu na froncie wojsk rosyjskich i świadek wypadków rewolucyjnych w Rosji aż do upadku rządu Kołczaka na Syberji.

Ostatnie lata przed wojną, wypełnione usiłowaniami nad wzmocnieniem trójprzymierza, zaznaczały się w Anglji przez gorliwą propagandę rosyjską, po części finansowaną przez rządy carskie. Przy ich pomocy *Times* wydawało od czasu do czasu specjalne numery, poświęcone sprawom rosyjskim *(Russian Supplements)*; rząd rosyjski

także przyczynił się pieniężnie do szeregu świetnych tłumaczeń najznakomitszych nowszych autorów rosyjskich — głównie Dostojewskiego i Czechowa — przez panią Konstancję Garnett.

Profesor Pares w owym czasie służył gorliwie porozumieniu anglo-rosyjskiemu, wydając, jako jego organ, poważny miesięcznik *The Russian Review* w Liverpoolu. Jako człowiek wychowany w tradycjach angielskiego liberalizmu XIX wieku, zbyt jednak był rozumny, by się solidaryzować z dziką i nierozsądną polityką starej carskiej Rosji wobec Polaków. To też z okazji 50-lecia powstania styczniowego umieścił w *Russian Review* obszerny artykuł prof. Bruce Boswella o politycznej historji powstania i drugi, ś. p. B. Chlebowskiego, o jego odbiciu w literaturze. Sam zaś w artykule od siebie dał wyraz przekonaniu, że niezadowolenie Polaków z polityki carskiej jest słuszne i budzi sympatję na Zachodzie, i że sprawiedliwe załatwienie sprawy polskiej leży w interesie samej Rosji dla podniesienia jej powagi międzynarodowej i zapewnienia jej pokoju wewnętrznego. Że wtedy profesor Pares zadowolenia żądań polskich nie mógł sobie wyobrażać w innej formie, jak autonomja prowincjonalna w ramach państwa rosyjskiego, temu się ostatecznie dziwić nie można. Że zaś jeszcze w r. 1923 oświadczył w dyskusji nad moim odczytem o mniejszościach narodowych w Polsce, iż uważa za możliwe i pożądane w przyszłości jakieś „Stany Zjednoczone“ pod egidą rosyjską, obejmujące nietylko kraje rdzennie rosyjskie, ale co najmniej także nasze prowincje kresowe, — to już z naszego punktu widzenia anachronizm polityczny, tłumaczący się właśnie silnemi wrażeniami z dawnych lat petersburskich. W każdym razie z tych samych lat wyniósł profesor Pares

pełne szacunku przeświadczenie o dojrzałości politycznej naszego narodu, i jeszcze w r. 1923 dał mu wyraz, pisząc „O drugiej Dumie“ w Nrze 4 *Slavonic Review* i wspominając tam z uznaniem o zdolnościach p. Dmowskiego i o dyscyplinie partyjnej Koła Polskiego w Dumie.

Byłbym zresztą wysoce niewdzięczny, gdybym w tem miejscu z całym naciskiem nie zaznaczył, że profesor Pares nietylko pojął konieczność należytej reprezentacji Polski w Szkole Nauk Słowiańskich, ale że zaprosiwszy mnie do pracy w niej, przez cały rok mojej działalności na gruncie londyńskim udzielał mi jak najgorliwszego poparcia w mojej kampanji odczytowej. Jego pośrednictwu zawdzięczam możność wygłoszenia wielu z moich odczytów poza uniwersytetem, w różnych stowarzyszeniach, instytucjach oświatowych i zakładach naukowych. Nie mogę też pominąć milczeniem tego pięknego przykładu zastosowania starej angielskiej zasady *fair play*, jaki dał profesor Pares, ustępując mi dwie godziny wykładów ze swego kursu historji Rosji dla grupy oficerów z Akademji sztabu jeneralnego, i dając mi w ten sposób możność przedstawienia dziejowego rozwoju stosunków terytorjalnych i politycznych między Polską a Rosją z punktu widzenia polskiego.

Nie mniej ściśle niż prof. Pares skojarzony jest z Rosją przez swoją karjerę drugi członek dyrekcji Szkoły słowiańskiej, Dr Harold Williams, również niegdyś długoletni korespondent dzienników angielskich w Petersburgu, autor jednej z najbardziej cenionych książek angielskich o Rosji, a obecnie redaktor działu zagranicznego w dzienniku *Times*. Choć obecnie zajęty na tak ważnem stanowisku dziennikarskiem, i w kierownictwie Szkoły słowiańskiej właściwie tylko nominalnie biorący udział, Dr

Williams z powołania i przygotowania właściwie jest więcej uczonym, niż jego koledzy. Niegdyś uczeń Aleksandra Brücknera i doktor filozofji uniwersytetu berlińskiego, błyszczy wprost fenomenalnemi i rzadkiemi, szczególnie u Anglików, zdolnościami językowemi. Z językiem polskim i wielkiemi dziełami naszych poetów znajomy jest nie od wczoraj. W parze z rozległą wiedzą idzie zgoła niepospolita szlachetność serca i rycerskość charakteru. Jako przykład tych zalet przytoczę z dziedziny nas zajmującej znamienny fakt, że z okazji odwiedzin angielskiego szefa sztabu, lorda Cavan, w Warszawie, Dr Williams we wstępnym artykule *Times* z dnia 17 maja 1923 p. t. *Polish Commemorations* uczcił w pięknych słowach rocznicę naszej Konstytucji Trzeciego Maja i postać księcia Józefa, przyczem nietylko skorzystał całkowicie z materjałów historycznych przezemnie dostarczonych, ale zarazem okazał godne męża nauki i prawdziwego gentlemana zrozumienie dla naszej wielkiej tradycji politycznej i odczucie zalet i cnót największych naszych ludzi.

Należy więc uznać bezwarunkowo, że obaj przedstawiciele przedwojennych sympatyj angielsko-rosyjskich w kierownictwie Szkoły słowiańskiej w ciągu stosunków ze mną, jako przedstawicielem Polski, okazali lojalność wobec moich usiłowań i szacunek dla naszego narodu i państwa. Jednakowoż przewagę Rosji nad wszelkiemi innemi sferami interesów w ich umysłach i sercach zastałem przed sobą, jako fakt kardynalny, z którym należało się liczyć.

Nieco odmienne, niż prof. Paresa i Dra Williamsa, były koneksje polityczne trzeciego członka tej trójcy, która rządzi londyńską Szkołą Nauk Słowiańskich. Prof. R. W. Seton-Watson już przed wojną, pod pseudo-

nimem *Scotus Viator*, znany był jako gorący rzecznik sprawy narodowej serbskiej, i po wojnie jej wierny pozostał, zbliżając się ponadto bardzo do Czechów. W czasie wojny, jako wydawca czasopisma *The New Europe*, zdobył sobie reputację „akuszerki uciśnionych narodów“ (jak go żartobliwie zwano). W tym charakterze także otacza życzliwością różne mniejszości narodowościowe w Polsce (głównie Ukraińców) przeciwko państwu polskiemu. Stosunek prof. Setona-Watsona do Polski zresztą naogół pozostaje dość odległym, a w ostatnich czasach pod wpływem samych wypadków politycznych uległ pewnemu znamiennemu złagodzeniu. Jest wielce charakterystyczne, że ten Szkot — twardy, zawzięty i uparty, jak wszyscy jego ziomkowie — zdobył się w jednej z ostatnich ze mną rozmów na lakoniczne, wpół żartobliwe przyznanie, iż stosunki między narodem angielskim a polskim w ostatnich czasach nieco się poprawiają, bo jest więcej „zdrowego rozumu po obu stronach“.

6.

Takie trójgwieździe świeciło nad kolebką Szkoły Nauk Słowiańskich w uniwersytecie londyńskim. Przy takiej konstelacji dziwić się nie można, że rozbudowa szkoły poszła po linji innych narodów słowiańskich, zanim wreszcie pomyślano o Polsce. Przybywając do Londynu w jesieni roku 1922 na zaproszenie prof. Paresa, zastałem dobrze już zagospodarowanych w szkole docentów wszystkich innych głównych przedmiotów słowiańskich.

O gorliwości, z jaką szczególnie rząd czeski wyzyskał na swoje cele tę placówkę akademicką, świadczy wymownie fakt w dziejach uniwersyteckich całkiem nie-

zwykły. Korzystając mianowicie z drakońskiej gospodarki oszczędnościowej, która obecnie w Anglji na wszystkich polach panuje, rząd czeski podjął się, prócz docenta Czecha, jeszcze całkowicie opłacać profesora „historji Europy środkowej“ w Szkole Nauk Słowiańskich. Katedrę zajął prof. Seton-Watson. Gdy za temat swego wykładu inauguracyjnego obrał „rolę historyków w życiu politycznem narodów środkowo-europejskich“, dostarczyłem mu zawczasu materjałów o znaczeniu politycznem naszych historyków, od Lelewela i kursów paryskich Mickiewicza do szkoły krakowskiej i Askenazego. Na to wszystko się w wykładzie miejsca nie znalazło, prócz wzmianki, że „wykłady paryskie Mickiewicza, to poezja, nie historja“ i że Polska właściwie do przedmiotów naukowych tej katedry nie należy. Było natomiast wiele mowy o prezydencie Masaryku, którego zresztą czczę jako wielkiego człowieka, nie mniej, niż sam prelegent.—Przytoczyłem ten szczegół anegdotyczny, jako przykład tej nieuniknionej, cichej walki, którą od początku toczyć wypadło o należytą reprezentację Polski w działalności szkoły na zewnątrz.

Terenem takich tarć stał się przedewszystkiem wydawany, jako organ Szkoły, kwartalnik *Przegląd Słowiański (The Slavonic Review)*, wspomniany przygodnie już powyżej. Przystępując w r. 1922 do jego wydawania, prof. Pares, dawny wydawca *Przeglądu Rosyjskiego*, liczył się z faktem zdecydowanej niepopularności wszystkiego, co rosyjskie, u przeciętnej dzisiejszej publiczności angielskiej. O ile bowiem wśród inteligentów angielskich mimo licznych rozczarowań manja kokietowania z bolszewizmem jeszcze bynajmniej nie wygasła, o tyle w szerokich masach mieszczaństwa wszystko, co rosyjskie, budzi dziś niechęć i nieufność, właśnie wskutek zdegustowania

bolszewizmem i jego sprawami. „Publiczności przejadła się Rosja“, powiedział mi bez ogródek szef firmy Allen i Unwin, gdym z nim traktował o wydanie angielskie mojej książki: *Siedem lat w Rosji i na Syberji.* Chcąc więc dziś znaleźć w Anglji czytelników dla artykułów o tematach rosyjskich, wskazane było, choćby ze względów taktycznych, zaprezentować czytelnikowi w czasopiśmie cały świat słowiański. Faktycznie w *Przeglądzie Słowiańskim* artykuły o rzeczach rosyjskich przez Rosjan i Anglików zajmują stale tak wiele miejsca, że rozmieszczenie materjału z innych dziedzin Słowiańszczyzny ze względu na ograniczone środki i rozmiary pisma stale natrafia na trudności. Że zaś inne narody słowiańskie już miały w szkole swoich rzeczników, gdy o Polskę jeszcze nie miał się kto upomnieć, więc w pierwszym numerze *Przeglądu Słowiańskiego* o Polsce wogóle nie było mowy. Zato drugi rozpoczynał się od artykułu wstępnego o Polsce pióra p. posła Skirmunta i zawierał ponadto obszerny i gruntownie informujący artykuł prof. Kutrzeby o postępach państwa polskiego na polu organizacji politycznej i rozwoju ekonomicznego za pierwsze cztery lata jego nowego istnienia. Między trzeci a czwarty numer rozdzielonym został świetny artykuł naszego znakomitego filologa klasycznego, profesora Tadeusza Zielińskiego, o „chłopie polskim w literaturze“. Artykuł ten, ilustrowany moim przekładem dwóch rozdziałów z *Chłopów* Reymonta, zawiera niezmiernie ciekawe porównania między traktowaniem tematów wiejskich w literaturach starożytnych a nowoczesnych, oraz między stosunkiem do chłopa pisarzy rosyjskich a polskich, — i jest ze wszech miar godnym uwagi czytelników polskich. Uzupełnieniem artykułu profesora Zielińskiego od strony społeczno-historycznej był

drukowany w Nrze 4 mój własny: *O nowoczesnym chłopie polskim*. Pozatem na dział polski *Przeglądu Słowiańskiego* w tych numerach składały się przekłady z poezji polskiej (pióra pp. F. H. Fortey'a i M. H. Dziewickiego), moje recenzje o nowszych książkach profesorów K. Morawskiego, J. Ptaśnika i M. Zdziechowskiego, sprawozdania p. Jopsona o pracach językowych profesorów Baudouina de Courtenay i J. Łosia, entuzjastyczny artykulik panny Gardner o *Koniu na wzgórzu* Małaczewskiego, kronika wypadków politycznych i nekrologja. W numerach dalszych ukazały się między innemi obszerny artykuł profesora Srebrnego o Wyspiańskim, studjum prof. Z. Jachimeckiego o Moniuszce i bibljografja nowszego dziejopisarstwa polskiego przez Dra Józefa Feldmana.

O ile drobne utarczki o „miejsce na słońcu" dla Polski zaprawiały czasem lekko goryczą przyjazne naogół stosunki osobiste docenta polskiego z angielskiem kierownictwem Szkoły, o tyle z drugiej strony z przyjemnością stwierdzić muszę, że najzupełniej niezmącone wspomnienia — wbrew własnym przewidywaniom! — wyniosłem z całorocznych stosunków koleżeńskich z moimi kolegami słowiańskimi w Londynie, zarówno z obu Rosjanami, w których poznałem jednostki niezmiernie światłe i szlachetne, jak i z Serbem i Czechem. Ze swojej strony przez kilka odczytów w różnych Towarzystwach angielskich o moich wrażeniach z Rosji, oraz przez artykuł w *Slavonic Review* o dwóch głośnych czeskich dramatach braci Čapek, które stanowiły sensację sezonu wiosennego teatrów londyńskich w roku 1923, starałem się objawić to zrozumienie i tę sympatję dla życia i kultury innych narodów słowiańskich, do jakiego nasza godność

cywilizacyjna niezależnie od względów politycznych obowiązuje.

Ale główną dziedziną pracy były oczywiście wykłady uniwersyteckie o rzeczach polskich. Dla przedstawienia wywodów ogólnych co do nastrojów angielskich wobec Polski niezbędne jest poinformować czytelnika o faktycznej stronie tej mojej działalności, przepraszam go więc zgóry za autobiograficzny z konieczności charakter także jeszcze najbliższego ustępu.

7.

Profesorowie uniwersytetu londyńskiego, walcząc o rozdział wciąż zmniejszanych dotacyj rządowych, o Szkole słowiańskiej często z przekąsem się odzywają jako o „zepsutem dziecku“, o „tworze sztucznym“, a nadewszystko o „szkole bez słuchaczy“. Ta ostatnia uwaga nie mija się z prawdą. Szkoła, jako instytucja początkująca i na dorobku, wobec dość nieokreślonych widoków w życiu, jakie otwiera swym absolwentom, nie zdobyła sobie jeszcze znacznej ilości właściwych studentów: ma ich *de facto* omal że nie mniej, niż docentów. Żyje narazie przeważnie publicznością z miasta, interesującą się rzeczami słowiańskiemi, i poza nielicznemi lekcjami z niewielu studentami-specjalistami, manifestuje swą żywotność głównie przez odczyty o charakterze publicznym.

Przystępując do wygłoszenia cyklu takich odczytów, zastałem grunt, o ile o Polskę chodzi, oczywiście w stanie zupełnie dziewiczym. Przedemną, w zastępstwie, funkcje docenta polskiego pełnił Anglik, bibljotekarz Szkoły i urzędnik bibljoteki *British Museum*, p. L. C. Wharr-

ton, dobrze mi znany od lat kilkunastu, jako szczery przyjaciel Polski, ale, niestety. nie odznaczający się darem krasomówczym. Położenie wymagało wykładów o wszech rzeczach polskich, bo program szkoły jako przedmiot jej nauki wyraźnie określa *regional studies* — studja nad krajami i narodami, a nietylko nad językami lub literaturą. Od literatury jednak rozpocząłem, traktując ją przedewszystkiem jako wyraz życia narodowego.

Wykłady o dawniejszej i nowej literaturze polskiej, w pierwszym i drugim trymestrze roku akademickiego wygłoszone, wyszły w r. 1924 drukiem w dwóch tomikach w Oxfordzie. W wykładach trzeciego trymestru, najbardziej uczęszczanych, dałem zarys historji polskiej do rozbiorów. Dzieje porozbiorowe (o których zresztą z natury rzeczy wypadło dość wiele powiedzieć w wykładach o literaturze) w ich całokształcie musiałem odłożyć *ad feliciora tempora*. Uczyniłem je przedmiotem wznowionych wykładów w letnim trymestrze r. 1924.

Wykłady w Szkole słowiańskiej stanowiły dla mnie tylko rodzaj *pied à terre* w świecie uniwersyteckim i odczytowym. Mając ten grunt pod nogami, mogłem szukać sposobności do mówienia o rzeczach polskich w różnych innych instytucjach. Znalazła się niebawem w obfitości. Przedewszystkiem w samych uniwersytetach. Stary Oxford, z którym łączyły mnie wspomnienia i znajomości jeszcze z czasów pierwszego dłuższego pobytu w Anglji w r. 1905, zaszczycił mnie zaproszeniem do wygłoszenia serji dorocznych wykładów z fundacji ilchesterskiej. Fundacja ta, przeznaczona na cykle odczytów o rzeczach słowiańskich, miała w swej kronice prelegentów tej miary, co znakomity rosyjski socjolog Maksym Kowalewskij. Mając do dyspozycji tylko cztery prelekcje, scharakteryzo-

wałem w nich renesans, oświecenie, romantyzm i pozytywizm jako główne doby dziejowe literatury polskiej. — W innych miastach uniwersyteckich (Cambridge, Liverpool, Edynburg) wygłosiłem po jednym lub dwa odczyty.

Szczególnie gościnną okazała się dla Polaka romantyczna stolica starej Szkocji, gdzie na odczycie moim w uniwersytecie było kilku z profesorów, a na osobną konferencję moją o Polsce w licznem i świetnem gronie w domu prywatnym zjawił się sam prezydent miasta *(lord Provost)*. Tamże w krótkiem przemówieniu p. Tomasz Sarjusz Bielski wskrzesił wspomnienia o Szkotach w Polsce, a w dyskusji z ust lorda Salvessena, poważnego prawnika, rozległy się słowa szczerej sympatji dla naszego narodu.

Z licznych wykładów, wygłaszanych poza murami uniwersytetów na wezwanie różnych instytucyj i stowarzyszeń, wyszczególnię tutaj jako najważniejsze tylko te trzy o ekonomicznem położeniu Polski, które wygłosiłem w Izbie handlowej londyńskiej, w Akademji handlowej kupiectwa londyńskiego i w londyńskiej Szkole nauk ekonomicznych i politycznych. Wykład w Izbie handlowej miał za praktyczny wynik stworzenie odrazu, na miejscu, sekcji dla spraw handlu z Polską; na wykład w Akademji handlowej ściągnął tłumy publiczności znakomity pisarz Chesterton, który go zagajał; wykład w Szkole nauk ekonomicznych uczcił swoją obecnością jej dyrektor, sir William Beveridge.

Korrelatem odczytów z dziedziny ekonomicznej był obszerny odczyt o położeniu politycznem Polski, który mimo osobistego wstrętu do kontrowersyj politycznych wygłosiłem na zaproszenie jednego z największych klubów politycznych londyńskich — *National Liberal Club*. Uzna-

łem za konieczne przyjąć to wezwanie z tego względu, że właśnie stronnictwo liberalne przez najpoważniejsze i najpoczytniejsze swe organy prasowe najzapalczywiej przeciwko „polskiemu imperjalizmowi“ występuje, a powtóre i z tego przygodnego powodu, że niedługo przedtem wspomniany już p. O'Hara w odczycie „O polskiej okupacji Galicji wschodniej“ w tym samym klubie wylał na głowy audytorjum cały kubeł „krywdy“ ukraińskiej.

Wreszcie muszę wspomnieć o odczycie, który dnia 15 maja 1923 r. miałem zaszczyt wygłosić przed poważniejszem niż kiedykolwiek gronem, w korporacji utworzonej w czasie wojny i dziś stanowiącej jeden z najbardziej autorytatywnych organów informacji wykształconego ogółu angielskiego o wielkich zagadnieniach świata współczesnego: w „Brytyjskim Instytucie dla spraw międzynarodowych“ *(British Institute of International Affairs)*. Wiedząc już wtedy dobrze, którą z kwestyj politycznych, związanych z Polską, opinja angielska najbardziej się przejmuje, obrałem rozmyślnie ten najdrażliwszy ze wszystkich tematów: „Polska a zagadnienie mniejszości narodowościowych“. Na sali siedziało wielu wybitnych prawników, publicystów i polityków, pośród nich niektórzy byli członkowie brytyjskiej delegacji pokojowej w Wersalu. Odczyt wywołał blisko całogodzinną, niezmiernie zajmującą dyskusję i wyszedł drukiem w publikacjach Towarzystwa.

8.

Przechodząc teraz do wrażeń, wniosków i doświadczeń, wyniesionych z tej kampanji odczytowej, nawiązuję w tym celu odrazu do ostatniego ze wspomnianych wykładów.

Więc — dyskusja jako środek, a mniejszości narodowe jako główny temat: to ogniska, około których ześrodkowują się spostrzeżenia moje nad usposobieniem ogółu angielskiego wobec spraw polskich. Dyskusja po każdem przemówieniu w Anglji, niewinnie zwana *questions*, w rzeczywistości jest krzyżowym ogniem zaczepek politycznych, a nie tylko pytań. Tematy tych zaczepek po moich odczytach były tak stereotypowe, że po niedługiej praktyce znałem je już napamięć, zanim kto ze słuchaczy usta otworzył. Tem bardziej, że były to powtórzenia tych samych anty-polskich argumentów, które mimo wszelkich sprostowań z naszej strony wciąż na nowo wytacza prasa angielska.

Przedewszystkiem więc upominano się stale o krzywdy Ukraińców w Małopolsce wschodniej. Zabawnem było, że raz po razu z pośród słuchającej mnie młodzieży akademickiej — w Liverpoolu, w Edynburgu — jako rzecznik tych krzywd występował jakiś ciemnoskóry Hindus lub Egipcjanin. Sami będąc w imperjum brytyjskiem w położeniu prawnem „mniejszości narodowych“ (choć nie liczebnie, bo narodów indyjskich jest razem około 300 miljonów), najbardziej z natury rzeczy brali sobie do serca to, co czytali po gazetach angielskich o „terorze wojskowym polskim“ w tych terytorjach.

Drugą kwestją, niechybnie podnoszoną, i to już zwykle przez samych Anglików, był agresywny stosunek Polski do biednego, małego narodu litewskiego. W Liverpoolu sprawę tę poruszył młodzieniec miejscowego pochodzenia, mówiąc w swym ferworze tak silnie gwarowym akcentem prowincjonalnym, że trudno go było zrozumieć. „Polska przez postępek Żeligowskiego już raz wyzwała Ligę Narodów; skąd można wiedzieć, że tego znowu nie

uczyni?“ Taka była typowa forma podejmowania tego zagadnienia.

Wreszcie punkt trzeci i najważniejszy: tak jak wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a wszystkie rozmowy między Polakami o przyszłości własnego narodu — do kwestji żydowskiej, tak oczywiście nieuniknionym składnikiem dyskusji nad każdym moim odczytem były żale na prześladowania żydów w Polsce. Zawsze znalazł się w audytorjum jakiś żyd, z naszych stron pochodzący, który je wytaczał. W londyńskiem *University College*, gdzie przemawiałem pod egidą Ligi Narodów, jakiś rozbitek żydowski z rewolucji 1905 r., widocznie dawno odcięty od kraju, biadał nad złą zapłatą Polski za patrjotyzm żydowskich szermierzy o jej wolność. W Liverpoolu studentka, żydówka rosyjska, zarzucała mi, że niesłusznie mówię o ciemnocie mas żydowskich w Polsce, jako przeszkodzie w rozwiązaniu kwestji żydowskiej, bo choć żydowscy proletarjusze są analfabetami w stosunku do polszczyzny, to władają przecież dobrze swym językiem (żargonem) w mowie i piśmie, i bywają nawet oczytani — w talmudzie! W uniwersytecie edynburskim z dłuższą, nader zresztą uprzejmą, mową polemiczną przeciwko mnie w sprawie żydowskiej wystąpił docent matematyki z uniwersytetu w Leeds, syjonista, p. Brodecki (rodem podobno z Białegostoku), zajęty obecnie pracą nad angielskiem wydaniem dzieła Kopernika *De revolutionibus orbium caelestium*.

Najosobliwszem tego rodzaju doświadczeniem jednak był mój własny odczyt o kwestji żydowskiej w Polsce, wygłoszony w dzielnicy żydowskiej w Londynie, Whitechapel, na zaproszenie ortodoksyjnej żydowskiej instytucji oświatowej *Beth Hamidrash*, która już cały szereg wy-

bitnych angielskich publicystów i polityków miała wśród swoich prelegentów, między innymi tak niewątpliwych antysemitów, jak Hilaire Belloc, autor głośnej książki *The Jews*. Zą radą Poselstwa, i uzbrojony przez nie w materjały, zaproszenie przyjąłem. Kierujący zebraniem rabin Feldman (rodem z Pińska) polemizował ze mną w formie łagodnej i ugrzecznionej, natomiast uprzejmą już tylko w formie, a nader gwałtowną w treści filipikę wygłosił w dyskusji przy tej okazji adwokat z Tarnopola, doradca prawny uboższego żydostwa w Londynie w jego stosunkach z konsulatem polskim. Głównemi punktami mowy była oczywiście sprawa *numerus clausus*, ilustrowana najświeższym materjałem z memorjałów naszych fakultetów uniwersyteckich, oraz „tragedja nad Zbruczem", przedstawiona z całym aparatem melodramatycznych efektów, a zato bez śladu wzmianki o prawie międzynarodowem.

Donioślejsze przez osobę mowcy i znamienniejsze treścią było przemówienie, nacechowane wyszukaną uprzejmością i niezachwianym spokojem, które wygłosił jeden z najwybitniejszych w świecie publicystów żydowskich, Leonard C. Wolf, w dyskusji nad moim odczytem o mniejszościach w „Brytyjskim Instytucie dla spraw międzynarodowych". Oświadczył on w końcu wielce kurtuazyjnej polemiki przeciwko mnie, że jednakowoż zbytnio się tą bolesną kwestją przejmować nie trzeba, bo czas zrobi swoje i *modus vivendi* między Polakami a żydami w Polsce sam się wytworzy. Wrażenie moje osobiste (może mylne) było to, że ten wybitny żyd uważa sprawę żydowską w Polsce właściwie już za załatwioną.

Ustaloną opinję angielską o traktowaniu wszelkich mniejszości narodowościowych przez Polskę najzwięźlej może i najogólniej wyraził p. G. L. Dickinson, gdy w dys-

kusji nad tym samym moim odczytem poprostu orzekł, że według jego spostrzeżeń w niedawnej podróży po Europie środkowej (jeździł wtedy głównie do Niemców w Polsce!) „mniejszości wszędzie są uciskane w nowych państwach“. Odniósł to do wszystkich mniejszości w Polsce, rozwodząc się ze współczuciem głównie nad losami Niemców; ale przynajmniej łaskawie rozszerzył swą tezę także na los mniejszości polskich w krajach ościennych i potwierdził to, co przy tej sposobności opowiedziałem o doli moich ziomków, Ślązaków cieszyńskich, pod zaborem czeskim.

Daleko mniej naogół, niż kwestyj politycznych, podnoszono w dyskusjach spraw ekonomicznych. Widać tu było na każdym kroku brak dostatecznego zainteresowania, wynikający z braku zaufania do stałości politycznej i solidności gospodarczej państwa polskiego. W Izbie handlowej londyńskiej z opozycją kilku żydów rosyjskich załatwił się w dyskusji wykwintnie i sprawnie, uzupełniając moje wywody, radca handlowy naszego poselstwa, p. Kozieł-Poklewski. W Szkole nauk ekonomicznych znalazł się zaledwie jeden Japończyk, co się zainteresował daniną z czasów ministra Michalskiego ze względu na głoszone w Anglji przez partję robotniczą hasło daniny od kapitału *(Capital Levy)*. W Akademji handlowej wreszcie, i w innych jeszcze instytucjach, zapytywano o reformę rolną, czyto w tym duchu, że jej niewykonywanie jest dowodem wstecznictwa polskiego, czy znowu w tym, że sposób jej przeprowadzenia jest eksperymentem komunistycznym.

Przytoczone przykłady treścią i tonem zapytań chyba dostatecznie usprawiedliwiają orzeczenie zacnego Chestertona, który, zagajając mój odczyt w Akademji handlowej londyńskiej, oświadczył, że co do ogółu krajów na kon-

tynencie Europy umysł angielski jest w stanie błogiej i głębokiej niewiedzy, ale co do Polski gorzej, bo jest zatruty informacjami tendencyjnemi i fałszywemi. Coprawda, nie brakło także przy każdej sposobności dowodów owej „błogiej i głębokiej niewiedzy“. Do zebranego powyżej bukieciku „zapytań“ z dyskusyj nad mojemi odczytami mogę jeszcze dodać takie kwiatki w postaci prawdziwych „zapytań“, jak zagadnienie pewnego starszego pana po jednym z moich późniejszych odczytów o historji polskiej w uniwersytecie, „czy Polacy mają swój język?“ (z dalszej rozmowy wywnioskowałem, że był przygotowany na odpowiedź, iż za język potocznego porozumiewania w Polsce służy żargon). W klubie literatów *(To-Morrow Club)* znowuż, po moim odczycie „o zagadnieniach społecznych w nowszej literaturze polskiej“ pewien młody pisarz angielski dopytywał się o stosunki wydawnicze w Polsce powojennej, z zakłopotaniem, które wyraźnie świadczyło, że przedewszystkiem nie jest pewny, czy u nas wogóle książki się drukują. Nawet w poważnem gronie *British Institute of International Affairs* p. Geoffrey Drage — autor artykułów o Polsce w *Encyclopaedia Britannica* — stawiając wniosek o wyrażenie mi uznania za mój odczyt o mniejszościach, zaznaczył, że zupełną nowością dla niego i dla innych było to, com powiedział o wiekowej polskiej pracy kulturalnej na kresach litewskich i ruskich. Pomyślałem sobie: Jeżeli tego o nas nie wie, to cóż, dla Boga, wie wogóle? — Gdy to się działo z zielonem drzewem, czegóż się można było spodziewać po suchem? To też nie zdumiała mnie już wcale ta urocza młoda mężatka, która na przyjęciu w klubie kobiecym *Lyceum* na cześć posła Skirmunta, nasłuchawszy się przez kwadrans odemnie o postępach naszego rolnictwa

i przemysłu po wojnie, obróciła na mnie swe czarujące oczy z rozbrajającem pytaniem: „A czy Polska jest krajem dla siebie?“

By wreszcie pokazać, jakiej miary uznania i powodzenia można było się dobić, napompowawszy przez godzinę do mózgów angielskich możliwie najwięcej encyklopedycznych wiadomości o Polsce i rozprawiwszy się w pojedynkę z przytaczanemi powyżej „zapytaniami“ — pozwolę sobie powtórzyć dosłownie wyrażenia, jakich użyła piękna sekretarka stowarzyszenia studenckiego, co organizowało mój odczyt w Edynburgu, gdy jej w końcu dyskusji wypadło wyrazić mi uznanie. „Nie udało się prelegentowi — mówiła ta miła młoda dama — usprawiedliwić wszystkie postępki rządu polskiego w naszych oczach; ale w każdym razie wychodzimy z tej sali przekonani, że nie jest tak, jak myśleliśmy wszyscy dotychczas, t. j., że Polska nie jest tylko sztucznem państwem, stworzonem dla dokuczania wszystkim dookoła, lecz że ma pewną rację bytu“. Wszyscy się śmiali, i ja, nie chcąc popaść w najstraszliwsze w Anglji podejrzenie „braku zmysłu dla humoru“, musiałem także połknąć tę brytyjską impertynencję ze śmiechem.

Ale na ironję istotnie po takich doświadczeniach zakrawało życzliwe zapytanie, które skierował do mnie znakomity angielski historyk G. P. Gooch, gdy nie przyszedłszy na jeden mój odczyt, spotkał mnie po nim i zagadnął: „Cóż, przyjęli Pana z sympatją? Jestem pewny, że tak!“

9.

Zebrana powyżej antologja interpelacyj, ilustrujących nastroje angielskie wobec Polski, jest tylko bardziej aneg-

dotycznym obrazem tego, co w obszernych i bardziej uporządkowanych wywodach można czytać na łamach prasy angielskiej.

Śmiało powiedzieć można, że z wielkich dzienników angielskich jeden tylko odnosi się ze stałą i szczerą sympatją do Polski, jako do państwa sprzymierzonego, i nie zmienił w tym względzie tonu od pokoju wersalskiego. Tym dziennikiem jest, niestety, *Morning Post*, gazeta ultrakonserwatywna, stanowiąca rodzaj Okopów św. Trójcy wśród prasy angielskiej, i służąca za źródło natchnień już tylko najstarszym członkom najekskluzywniejszych klubów londyńskich.

Przeciwny biegun reprezentuje gazeta liberalna *Manchester Guardian*, organ bezwzględnie najpoczytniejszy i najbardziej poważany wśród ogółu młodszej inteligencji angielskiej, a od czasów Lloyd George'a bez przerwy prawie pełen najzjadliwszych napaści na Polskę. Działa tam przedewszystkiem nieufność wielkiego kapitału angielskiego do stałości naszego państwa i pokojowych jego zamiarów; ale robiła swoje i ruchliwa propaganda ukraińska i sprawna ręka żydowska.

W pośrodku stoją takie poważne gazety londyńskie, jak: *Times* i *Daily Telegraph*. Obie w zasadzie nie są pozbawione życzliwości dla naszego państwa. *Times* przytem co do spraw zagranicznych kierowane jest obecnie, jak już widzieliśmy, przez prawdziwego gentlemana; jednak i jedna i druga gazeta objawiają tę samą czułość, co ogół opinji angielskiej, wobec spraw kresowych i mniejszościowych w Polsce. Wszak to w *Times* można było czytać ubolewania nad „pośpieszną i politycznie niemądrą“ decyzją, uznającą nasze granice wschodnie, i tam żądanie ostatecznego załatwienia sprawy wileńskiej ubrane było

w formę warunkową: „jeżeli Wilno naprawdę jest polskie (!), niechże je mają Polacy".

Wśród innych, im dalej się posuwamy na lewo, tem bardziej nieprzyjaźń dla Polski rośnie. Skrajnie liberalne tygodniki *Nation* i *New Statesman*, kokietujące z partją robotniczą i domagające się uznania sowieckiej Rosji — wszystkie trzy równie gorliwie czytane przez młodszą inteligencję, jak *Manchester Guardian* — traktują Polskę stale jako państwo niekulturalnie reakcyjne, niebezpiecznie awanturnicze, w gospodarce fantastycznie lekkomyślne, prawnego porządku jeszcze nie posiadające — wogóle pod każdym względem nieobliczalne. O organach socjalistycznych, jak bolszewizujący *Daily Herald*, niema co i mówić. W perjodyku socjalistycznej młodzieży uniwersytetu oxfordzkiego, *The New Oxford*, syn profesora Paresa w jesieni roku 1922, po powrocie z podróży po Polsce, umieścił najnienawistniejszy artykuł, jaki kiedykolwiek o nowem państwie polskiem czytałem, zaczynający się od kapitalnego zdania: „W Polsce, jak we wszystkich państwach wschodniej i środkowej Europy, uderza przedewszystkiem na każdym kroku widoczny b r a k h i s t o r j i". To pisał młodzieniec, który zwiedzał Wawel! Jego ojciec przedstawił swe wrażenia w formie bardziej umiarkowanej, ale także zgoła nieprzychylnej dla całej naszej nowej państwowości, w tygodniku *Spectator*.

Wielkie miesięczniki i kwartalniki, chluba i kwiat publicystyki angielskiej, przeważnie milczą o Polsce i sprawach polskich zupełnie. (O Czechach nie brak w nich artykułów, i to przez Anglików). Gdy zajdzie wypadek imperatywnie zwracający na siebie uwagę, jak uznanie naszych granic wschodnich, pojawi się coś takiego, jak artykuł niejakiego p. Mackray w *Fortnightly Review*, który

był stekiem wszystkich kłamstw, jakie tylko antypolska propaganda Litwinów, Ukraińców, żydów i Moskali przeciwko nam wyprodukować zdołała. Zmusił biuro prasowe naszego poselstwa do obszernej repliki pióra p. J. H. Harley'a, którą — trzeba przyznać — redakcja w całości umieściła.

Jak w cytowanych powyżej dyskusjach ustnych, tak i w prasie nie brak oczywiście dowodów grubej ignorancji spraw polskich. Tak poważny tygodnik, jak *Nation* (połączony obecnie z *Athenaeum*), nie powstydził się wydrukować bez komentarza list od jakiegoś korespondenta, który wojowniczą zachłanność Polski ilustrował tem, że zagarnęła Śląsk, „co nigdy polski nie był", Prusy Zachodnie, „skolonizowane i zmienione w kraj kulturalny przez Zakon krzyżacki", i Poznańskie, które wprawdzie należało do dawnej Polski, ale było przeważnie „dzikiem bagnem i nieuprawnem pustkowiem", zanim dostało się pod dobroczynną administrację pruską i zostało krajem cywilizowanym!

Wśród tego wszystkiego, jak *rari nantes in gurgite vasto*, pojawiają się od czasu do czasu przypomnienia o niesfałszowanej rzeczywistości w postaci korespondencyj z samej Polski przez miejscowych przedstawicieli wielkich dzienników angielskich w Warszawie. Było kilka takich artykułów warszawskiego korespondenta *Times*, które obok ostrej krytyki stosunków politycznych — n. p. słusznego kiwania głową nad histerycznym kultem pośmiertnym Eligjusza Niewiadomskiego — zawierały dane, świadczące o szybkim i pomyślnym rozwoju naszego rolnictwa i przemysłu. — Raz pojawił się także podobnej treści artykuł w gazecie niedzielnej *Sunday Times*, i odbijał dziwnie od innych, w których n. p. alarmującemi

tony wciąż zapowiadano nowy zbrojny gwałt ze strony polskiej, mianowicie zajęcie Śląska opolskiego.

Nie mniej uderzająco odbija od zwykłego tonu w sprawach polskich niedzielnej gazety *Observer* (byłego organu Lloyd George'a) artykuł, drukowany w niej dnia 16-go września 1923 r., w którym znany publicysta angielski Austin Harrison opowiada o swych wrażeniach z podróży po Polsce.[1] Słyszymy wprawdzie i tu jeszcze drwiny na temat różnic między dzielnicami — „rosyjski sposób życia w Królestwie"; spotykamy się nawet z przycinkiem, że entuzjazm Polaków dla ojczyzny jest „niemal komiczny". Ale już w traktowaniu obu głównych zagadnień mniejszościowych — żydowskiego i ruskiego — zaznacza się postęp w samodzielnej orjentacji, w porównaniu z powtarzanemi dawniej potwarzami agitacyjnemi. Czytamy więc, że zagadnienia mniejszości narodowych w Polsce nie są tak potworne, jak w Czechach, bo jest w państwie przeszło dwie trzecie Polaków; że czerń żydowska jest od wieków obojętna wobec „wszelkiej zmiany, wszelkiego postępu, wszelkiej ewolucji i wszelkiego rozumowania" i dlatego z nią tak trudno w państwie nowoczesnem; dowiadujemy się nawet, że „Ukrainę wynalazł minister austrjacki, hrabia Stadion, w r. 1848, jako środek przeciwdziałania żywiołowi polskiemu", i że kwestja litewska w Wileńszczyźnie jest „czysto akademicką". Przedewszystkiem zaś jak największy nacisk położony jest na objawy żywotności gospodarczej naszego kraju, wydatnie ilustrowane cyframi. Cyfry te samemu Anglikowi tak widać zaimponowały, że bagatelizuje wobec nich tę

[1] Ten sam opis swych wrażeń, w nieco obszerniejszej i bardziej systematycznej formie, umieścił w sierpniowym zeszycie miesięcznika *The English Review*, którego jest redaktorem.

mizerję walutową, o której my wtedy dzień i noc z troską myśleliśmy. Winna wszystkiemu — konferencja wersalska, która „zapomniała poprostu o takiej drobnostce, jak waluta, i puściła Polskę w świat zaledwie z 2 i pół miljonami złota, z krajem straszliwie zniszczonym i bez odszkodowań". Oczywiście wynikiem była Polska ze skarbem papierowym, ale jej dług państwowy wynosi „tylko 51 miljonów funtów" (angielski przeszło 7 miljardów!), a już w roku 1923 jej bilans handlowy był dodatni.

Rozlega się oczywiście wkońcu zwykła śpiewka, że Polacy powinni „zerwać z ideą napoleońskiego Księstwa Warszawskiego" — p. Poincaré powinien był się ukłonić! — ale artykuł kończy się apostrofą pod adresem polityków, że muszą się poważnie liczyć z tem nowem państwem.

Było to więc w całości zjawisko wysoce znamienne, świadczące o daleko posuniętej zmianie stanowiska wobec nas; ale też była to dopiero jedna z pierwszych jaskółek po mnóstwie objawów zgoła innych w tonie i treści.

10.

Przyglądając się zatem z perspektywy historycznej niewesołemu obrazowi większości dotychczasowych opinij prasowych angielskich o Polsce, powracamy wobec niego do zapytania, które mi tak często po powrocie z Anglji stawiano: „Czy Anglicy naprawdę nas tak nie lubią?" Czy rzeczywiście trzeźwiejsza, chłodniejsza i realnie rozumująca natura angielska czuje jakąś zasadniczą odrazę do *improductivité slave*, do naszej lekkomyślnej popędliwości, nierozważnej fantazji i uczuciowego marzycielstwa? Czy stąd płynie tyle objawów uprzedzenia i niechęci?

Z najgłębszem przeświadczeniem muszę odpowiedzieć: nie. O zasadniczej antypatji czy awersji Anglików do nas mówić nie można, przedewszystkiem dlatego, że zbyt mało na to nas znają. Niema w nich do nas niechęci większej, niż ta stała i głęboka niechęć, którą wyspiarz angielski już od wieków odgradza się od wszystkich narodów kontynentu europejskiego. U nas „cudzoziemiec“ (szczególnie z Zachodu) *a priori* w oczach wszystkich otoczony jest jakąś aureolą: w Anglji naodwrót, *foreigner* (szczególnie ze Wschodu Europy) *a priori* budzi u przeciętnego obywatela podejrzenie i nieżyczliwość. Ileż to razy odsuwali się odemnie w omnibusie lub tramwaju londyńskim pasażerowie, bom z sąsiadem rozmawiał w obcym języku! „Nie mogę nic przeciwko niemu powiedzieć, prócz tego, że ma trochę cudzoziemski wygląd“ — tak w sztuce Jana Galsworthy *Loyalties* wyraża się jako świadek przed sądem jakiś gospodarz domu o swoim gościu czy lokatorze.

Nie ma więc może Anglik w założeniu i przeciwko nam więcej, niż przeciwko wszystkim innym obcym narodom. A gdyby nawet nasz charakter narodowy wydawał mu się może bardziej egzotycznym i przez to bardziej niemiłym niż inne, to wszakże narody w swej polityce, i w publicystyce, która jest jej wyrazicielką, nie powodują się naogół sentymentami, lecz interesem.

W zakresie żywotnych interesów, zarówno politycznych, jak ekonomicznych, musimy szukać istotnych powodów, dlaczego po sympatjach dla naszych aspiracyj wolnościowych nastąpiła w Anglji antypatja do dążności mocarstwowych naszego wskrzeszonego państwa.

Przedewszystkiem więc polityka. Wiadomo dziś powszechnie w Europie, i staje się rzeczą, niestety, coraz

wyraźniejszą i coraz bardziej nieodwołalną, że od pokoju wersalskiego interesy polityczne Wielkiej Brytanji i Francji stają do siebie w coraz ostrzejszem przeciwieństwie. Antagonizm ten najostrzejsze formy przybierał za Lloyd George'a, ale pod jego następcami, acz złagodzony co do formy, w istocie istnieje dalej, jako głęboka różnica dążeń, celów, poglądów i konieczności państwowych w najistotniejszych sprawach. W oczach Anglika Francja dąży do hegemonji na kontynencie europejskim, a wielka i silna Polska nie jest niczem innem, jak głównem narzędziem tych ambicyj francuskich na Wschodzie Europy, zbrojnym wasalem Francji, nowem i powiększonem wydaniem — jak się wyraził p. Harrison — napoleońskiego Księstwa Warszawskiego. Stąd ta wrażliwość na każde rozciągnięcie zwierzchności polskiej na terytorja nie czysto polskie, stąd sławna „linja lorda Curzona" i objawiana wciąż czułość dla mniejszości narodowych; stąd branie strony Niemców w sprawach spornych z Polską, jak śląska lub gdańska, i stąd wogóle przechodząca przez całe życie umysłowe angielskie fala nowych sympatyj dla wszystkiego co niemieckie, — gdy jeszcze pięć lat temu Niemców prawie nigdy inaczej jak „Hunnami" nie nazywano. Nie ma się u nas w kraju należytego pojęcia o tem, jak daleko szczególnie prasa lewego skrzydła partji liberalnej w Anglji posuwa się w inwektywach przeciwko Francji, osobliwie od okupacji Ruhry: ja sam ze zdumieniem czytałem na wiosnę r. 1923 we wstępnym artykule poważnego tygodnika *The New Statesman* słowa: „Francuzi są znowu naszymi wrogami, jak nimi byli przez tysiąc lat". A w r. 1924 już p. G. C. Street wydał książkę *The Treachery of France* („Zdrada Francji").

Ale że trzeba się liczyć z węzłami sympatji dla Francji wśród narodu, zadzierzgniętemi w czasie wojny i jeszcze niezupełnie rozluźnionemi, — że przytem karność obywatelska ogółu angielskiego respektuje wysiłki Rządu nad utrzymaniem choćby pozorów koalicji, — więc animozje do Francji odbija się na jej najwierniejszej aljantce — naszej Rzeczypospolitej. Że na Polskę patrzy się jedynie z punktu widzenia antagonizmu anglo-francuskiego, to z brutalną szczerością, nie krępując się względami grzeczności lub taktu, wypowiedział wobec mnie znakomity angielski ekonomista Sidney Webb, gdy spotkał się ze mną i rozpoczął rozmowę od tych literalnie wyrazów: „Obawiam się, że rząd polski nie jest bardzo popularny w naszym kraju, bo jesteście zbyt ściśle związani z Francją".

11.

Jak ten jednolity front wobec Francji i nas, jako jej aljantów, reaguje na stosunki wewnętrzne w Polsce,— jak karykaturalny ich obraz powstaje w przeciętnym umyśle angielskim za sprawą prasy, to już ilustrowałem powyżej. Tutaj, wspomniawszy o lapidarnem orzeczeniu profesora Sidney Webba, należącego bądź co bądź do elity inteligencji angielskiej, nie mogę się powstrzymać od przytoczenia jeszcze jednego przykładu z pogranicza nauki i publicystyki, który był równie charakterystyczny, jak dla mnie osobiście bolesny. Świadczy on o tem, jak zajęte obecnie przez Anglję stanowisko polityczne oddziaływuje nawet w umyśle najwyższej miary na ocenę dawno ustalonych, zdawałoby się, ogólnych faktów z historji kultury. Tym umysłem, niewątpliwie wysoce światłym

i wzniosłym, jest proboszcz katedry św. Pawła, Dr W. R. Inge, jeden z najświetniejszych i najpoczytniejszych publicystów dzisiejszej Anglji. Należę do najdawniejszych zagranicznych wielbicieli tego prawdziwie filozoficznego umysłu: jeszcze w r. 1913 pisałem w *Bibljotece Warszawskiej* o jego głębokiej książce *Kościół a nasz wiek*. Jesienią roku 1922 doznałem gościnnego przyjęcia w jego domu i w kilku długich rozmowach nakładłem mu w uszy (niestety, trapione głuchotą) ile mogłem wiadomości o dawnej i współczesnej Polsce, a także o Rosji carskiej, rewolucyjnej i sowieckiej — bo o Rosję się ze szczególnem zajęciem dopytywał. Dziekan Inge od niejakiego czasu, może dla powiększenia swych dochodów (bo i duchowieństwo angielskie cierpi na skutki ogólnej depresji gospodarczej), a może celem trafienia z ideami swemi do szerszych mas czytelników, zaczął pisywać raz na tydzień feljetony do gazety wieczornej o dość niskim poziomie (jak wogóle londyńskie gazety wieczorne). Te jego środowe „kazania“ na łamach *Evening Standard* czyta z żywem zajęciem cały Londyn. W jednym więc z takich feljetonów z pewnem zadowoleniem znalazłem dowodzenia, że bolszewicka Rosja stosuje tę samą bezprawną samowolę administracyjną wobec swych obywateli, co carska, ten sam objawia zachłanny imperjalizm, co tamta, i tak samo nasiąknięta jest dzikością mongolską, którą w charakterze narodowym rosyjskim jako ślad pozostawiły po sobie wieki niewoli tatarskiej. Wszystko to zgadzało się z poglądami, które wobec autora sam wypowiadałem. Ale jakież było moje niemiłe zdumienie, gdy ujrzałem, że w tym samym artykule to stałe i jednakowe przy wszystkich rządach niebezpieczeństwo rosyjskie dla cywilizacji europejskiej było określone, jako „niebezpieczeństwo sło-

wiańskie“, że autor, by wzmocnić wrażenie rzeczywistości tego niebezpieczeństwa, wspomina o „potwornej płodności“ Słowian i przytacza jako przykład — statystykę procentową urodzin wśród emigrantów polskich w Ameryce, że wreszcie wkońcu jedyną ostoję przeciw nawale słowiańskiej widzi, „dziś, jak niegdyś“, w tem „przedmurzu kultury europejskiej“ — Niemcach, którym zatem należy dopomóc, by rychło znowu stanęli na nogach! Dziekan Inge, który (jak wielu wyższych duchownych angielskich) dawno już dąży do zbliżenia z Kościołem wschodnim, nie mógł nie wiedzieć o tej fundamentalnej różnicy, jaką między dwoma odłamami Słowian wytwarza przeciwieństwo kultury bizantyńskiej z jednej, a rzymskiej z drugiej strony; nie mógł też nie znać z historji tych wielce różnych sposobów, w jaki rolę „przedmurza chrześcijaństwa“ pełnili Krzyżacy na północnym wschodzie Europy, a Polacy na Dzikich Polach wschodu południowego. Przypomniałem mu te fakty w długim liście, na który odpowiedzi nie otrzymałem. Dostałem natomiast lakoniczną odpowiedź na drugi list, którym widziałem się zmuszony zareagować na inny jeszcze feljeton Dra Inge. Było to po zamordowaniu X. Budkiewicza.

Czyn ten wywołał wśród społeczeństwa angielskiego odruch protestu, imponujący swą solidarnością. Pojawił się w gazetach zbiorowy manifest, podpisany przez naczelnych przedstawicieli wszystkich wyznań, od anglikańskiego arcybiskupa kanterburyjskiego do głównego rabina Anglji. Przypominały się nasze procesje warszawskie z r. 1861: wybitni duchowni wszystkich wyznań, znowuż nie wyłączając głównego rabina i nawet umundurowanego komisarza Armji Zbawienia, przemawiali po kolei na wiecu demonstracyjnym w auli królewskiego

kollegjum uniwersytetu londyńskiego, gdzie zdawał sprawę ze swych wrażeń osobistych naoczny świadek procesu przeciw naszym duszpasterzom, dziennikarz Mac Cullagh (autor znakomitej serji artykułów *Rosja dzisiejsza*, drukowanych w czerwcu r. 1923 w *Times*). Przemawiał wtedy jako pierwszy sam dziekan Inge. Ale powodowany tym duchem przekory, który jest stałą cechą jego krytycznego i oryginalnego umysłu, nie mógł się powstrzymać od tego, by w tym samym czasie naruszyć tę solidarność wszystkich wyznań w swym tygodniowym feljetonie w *Evening Standard*. Folgując swojej dawnej sympatji dla Cerkwi prawosławnej, zaakcentował, że gdy bolszewicy mordowali setki tysięcy jej duchownych, Anglja i cała Europa milczały, a teraz dopiero podniósł się gwałt, gdy ofiarami padło dwóch duchownych „z obcego Kościoła". Uznał dalej za stosowne przypomnieć, że właśnie Kościół rzymsko-katolicki ma na sumieniu ciężki, a nawet, jak mu się podobało twierdzić, najcięższy w całych dziejach rejestr prześladowań. Wreszcie zdumiewającym, akrobatycznie paradoksalnym zwrotem, skierował swą argumentację ku temu, że przecież właściwie prześladowanie nie jest samo w sobie rzeczą złą, ba, jest najskuteczniejszym sposobem walki z opinjami szkodliwemi dla ładu społecznego i porządku prawno-państwowego. Nie mogłem się pohamować od napisania listu, wyrażającego zdziwienie, że taką właśnie chwilę, gdy jednoczymy się w zamanifestowaniu wspólnych ideałów ogólno-cywilizacyjnych, dostojny kapłan chrześcijański mógł wybrać, by podnosić to, co Kościoły chrześcijańskie dzieli, a nie to, co je łączy. Tym razem dziekan Inge odpowiedział mi krótko, że nie miał zamiaru obrażać Kościoła, do którego należę; że zresztą, dodał oschle, „cel artykułu był chyba dość wyraźny".

Rzeczywiście: celem tym niewątpliwie było usprawiedliwić i zalecić prześladowanie agitatorów komunistycznych w Anglji przez władzę rządową. Oczywiście to nie mogło budzić większego entuzjazmu dla artykułu w tym, kto zna psychikę angielską i wie, jak doskonale zawsze Anglja rozbrajała właśnie wszelką niebezpieczną propagandę, dając jej zupełną wolność słowa.

Niejeden czytelnik mógłby mi zarzucić, że niesłusznie, niepotrzebnie i jednostronnie postępuję, nadając rozgłos takim przygodnym i nieprzemyślanym odezwaniom się publicznym, choćby ludzi wybitnych, oraz powtarzając prywatne, anegdotyczne *obiter dicta* z listów osobistych i rozmów towarzyskich. Odpowiem, że właśnie takie, pozbawione wszelkiej cechy oficjalności, nie przez zawodowych polityków i nie z trybuny wyrzeczone słowa najlepiej odbijają panujące wśród ogółu nastroje. Wreszcie powiem i jedno jeszcze: zdaję tu publicznie sprawę z tego, co przez cały rok robiłem na posterunku, na który mnie wysłała władza rządowa polska. Mam obowiązek dać możliwie wierny obraz moich usiłowań, a bardzo istotną, uciążliwą i dość przykrą ich częścią były właśnie te codzienne niemal, drobne utarczki o honor Polski i jej kultury, jakie mi wypadło w Anglji staczać z ludźmi, których umysł i charakter szanuję, i których opinję cenię. *Gutta cavat lapidem*, mówiłem sobie przy tych trudach.

Znając Anglję nie od wczoraj, pamiętałem i o tem, że w tym kraju o dawnej a świetnej tradycji wolności osobistej i indywidualizmu, także oddziaływanie osobiste, przez pojedynczego człowieka na pojedynczego człowieka, przez osobistość na osobistość, było zawsze najskuteczniejszą formą ideowej służby dla wszelkich spraw spo-

łecznych. Jestem przekonany, że godzinna blisko rozmowa, którą miałem honor prowadzić z sędziwym lordem Balfourem o studjach filozoficznych u nas, z okazji wręczenia mu dyplomu honorowego doktora filozofji Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie mniej pożytku przyniosła naszej opinji w Anglji, niż niejeden odczyt wobec licznego grona słuchaczy.

Dlatego też właśnie, że dobrze znam doniosłość tego czynnika osobistego w życiu publicznem angielskiem, nie mogę pominąć tej sposobności bez wplecenia tu należnego hołdu czci dla trzeciego uczestnika tej rozmowy z lordem Balfourem. Był nim ten poseł polski, co przez cały prawie czas mojego pobytu tak godnie reprezentował powagę państwową naszej Rzeczypospolitej na gruncie angielskim. Posła Wróblewskiego, który był właściwym inicjatorem mojej misji angielskiej, zastałem już na wyjezdnem do Waszyngtonu; przez większą część roku zaś pracowałem pod okiem p. ministra Skirmunta i w ciągłem z nim porozumieniu. Otóż można być zwolennikiem lub przeciwnikiem polityki, prowadzonej przez p. Skirmunta jako naszego ministra spraw zagranicznych; ale kto patrzył, jak ja, zbliska na jego działalność ambasadorską na najtrudniejszej chyba z naszych placówek na Zachodzie, ten nie może nie stwierdzić poprostu, że tu jest — w klasycznych słowach angielskich — *the right man in the right place*. Chłodny spokój i wytrawna rozwaga, wykwintna wytworność manjer i bijący przez nią wykwint kultury i wytworność charakteru, wreszcie ujmująca gościnność — wszystkie te przymioty naszego obecnego posła z pewnością niepomiernie się do tego przyczyniły, że Anglja w ciągu niedługiego jego pobytu wyraźnie poczęła traktować Polskę daleko bardziej na serjo, niż kiedykol-

wiek dotąd. Niepospolite powodzenie towarzyskie posła Skirmunta w Londynie jest zewnętrznym symbolem poważnego sukcesu politycznego. Nie posła Skirmunta w tem wina, jeżeli za tem powodzeniem na gruncie londyńskim nie poszło powodzenie na gruncie genewskim.

12.

Powracam jednak do antagonizmu pomiędzy Anglją a Francją, jako do podstawy obecnego stanowiska angielskiego wobec Polski. Tak samo jak stwierdzając ten antagonizm jako fundamentalny fakt, nie powiedziałem nic nowego, ani oryginalnego, tak samo przypomnę tylko dość już oklepaną prawdę, jeżeli powiem, że antagonizm ten nie jest jakąś animozją, wynikającą z głębokiej różnicy temperamentu i umysłowości między Anglikiem a Francuzem, lecz ma swe korzenie w życiu gospodarczem obu narodów. Nazbyt często się o tem w ostatnich czasach mówi, bym się tu nad tem potrzebował rozwodzić, że obecne pozorne germanofilstwo Anglji jest w gruncie rzeczy dążeniem do takiego układu, w którymby stagnujące obecnie przemysł i handel angielski odzyskały rynki o przedwojennej pojemności, i że oburzenie przeciw okupacji Ruhry kieruje się głównie przeciw zjednoczeniu w jednych rękach węgla reńskiego i rud lotaryńskich, co stanowi konkurencję dla metalurgji angielskiej.

Te jasne dziś dla wszystkich fakty ekonomiczne trzeba także brać w rachubę, by zrozumieć niechęć angielską do wielkiej Polski. Tak się, niestety, rzeczy układają, że rozwój mocarstwowy Polski prawie na każdym kroku wprost się sprzeciwia żywotnym interesom brytyj-

skim. Słusznie czy niesłusznie wyobrażają sobie Anglicy, że postawienie na nogi Niemiec dźwignęłoby ich nawskróś przemysłowy kraj z tej klęski zastoju i bezrobocia, w którą jest obecnie pogrążony. Z tego względu nie mogli patrzeć z zadowoleniem na tak znaczne osłabienie gospodarcze organizmu państwowego niemieckiego, jak utrata węgla górnośląskiego na rzecz Polski. Lubimy się łudzić i deklamujemy o wrogiem wobec Polski usposobieniu Lloyd George'a i o podszeptach otaczających go żydów; a zamykamy oczy na to, że Lloyd George, choć dla nas z pewnością bynajmniej nie życzliwy, żydami rzeczywiście otoczony, a w postępowaniu politycznem brutalnie i nierozumnie nietaktowny i dyktatorski, jednak w założeniu powodował się w tych sprawach tem samem zupełnie rozumowaniem ekonomicznem, co ogół jego rodaków, a przedewszystkiem sfery kapitalistyczne. *British policy is British trade* — „Polityka brytyjska, to handel brytyjski", — ta zasada stosuje się zarówno do rządu Lloyd George'a, jak do każdego innego rządu angielskiego.

Pamiętając o niej, bez trudu widzimy ekonomiczny podkład sympatyj, objawianych w Anglji przeciwko Polsce z jednej strony Ukraińcom, z drugiej Gdańskowi i Litwie. Nafta galicyjska byłaby o tyle łatwiej dostępną każdego czasu dla zupełnego opanowania przez Anglję, gdyby leżała w małej „Ukrainie Zachodniej", utrzymywanej sztucznie przy życiu przez opiekę międzynarodową, niż teraz, gdy leży w granicach wielkiej i ściśle z Francją sprzymierzonej Polski. Ten pogląd znalazł nawet dość nieukryty wyraz w zjadliwej kampanji, którą wszczęły przeciwko rządowi polskiemu *Oil News* i inne fachowe czasopisma nafciarskie, oskarżając go o zupełne zaniedbanie bogactw mineralnych kraju, i pod wpływem ten-

dencyjnych fałszywych informacyj ignorując prowadzoną u nas zdawna przez uczonych, a obecnie ze zdwojoną energją przez państwowe instytuty badawcze, pracę naukową nad ich opisem.

Zaś gdy spojrzymy na to, co się dzieje na naszej granicy północnej, znowuż jasnem jest, że dla widocznego dążenia Anglji do stworzenia łańcucha swoich protektoratów wzdłuż wybrzeża bałtyckiego korzystniejsze jest rozdrobnienie tego wybrzeża na mikroorganizmy polityczne o fikcyjnej niepodległości, jak Gdańsk i Litwa, niż rozciągnięcie sfery wpływów politycznych wielkiej Polski na dłuższy szmat brzegu morskiego. Z tego względu zrozumiałem się staje, że mógł się znaleźć publicysta angielski, p. Harrison, który rzekomo „jako bezstronny obserwator brytyjski“, a w rzeczywistości jako płatny ajent litewski, roztoczył w angielskiej książce o Litwie całą litanję kłamstw historycznych i przedstawił wielkie dzieło cywilizacyjne naszej Unji Jagiellońskiej, jako „cztery stulecia ucisku ludu litewskiego przez Polskę“. Więcej niż wyraźnie zresztą wypowiedział się jenerał angielski Burt, który (według wiadomości w *Sunday Times* z dnia 19 sierpnia 1923 r.) odwiedzając w „przyjacielskiej misji“ Łotwę, orzekł: „Musimy wzmacniać nasze wpływy w państewkach bałtyckich, bo leżą one na wielkiej drodze handlowej z Zachodu na Wschód Europy“.

Wreszcie jeszcze jeden szczegół. Najczęściej podnoszonem w Anglji oskarżeniem przeciw Francji i jej aljantom jest zarzut „awanturniczego militaryzmu“, i najczęściej zalecanem lekarstwem na ten element niepokoju w Europie jest L i g a N a r o d ó w. Otóż z punktu widzenia interesów ekonomicznych brytyjskich zupełnie zrozumiała jest ta popularność i u burżuazji i u proletarjatu angielskiego idei

Ligi Narodów, gdyż Liga w obecnej swej postaci, choć niewiele ma siłę zrobić dla zachowania tak żywotnego dla handlu — pokoju światowego, to w każdym razie jest w oczach angielskich narzędziem utrzymania Europy w stanie pewnej równowagi wzajemnie się szachujących sił, i przez to zapobiega temu, by stosunki gospodarcze międzynarodowe poszły pod komendę takich lub owakich ambicyj politycznych. Rozgałęzionej w całej Anglji Unji dla propagandy Ligi Narodów *(League of Nations Union)* jestem zresztą szczerze wdzięczny za to, że różne jej sekcje po dzielnicach i przedmieściach Londynu i po uniwersytetach prowincjonalnych więcej objawiają ciekawości co do „nowych państw“ i więcej mi dały sposobności do wygłaszania encyklopedycznych odczytów o Polsce, niż jakiekolwiek inne instytucje angielskie.

Komunałami snadnie wydać się może wszystko, co powiedziałem o najistotniejszych politycznych i ekonomicznych powodach angielskiej niechęci do wielkomocarstwowego rozwoju nowej Polski. Ale różne ważne prawdy — a szczególnie prawdy niemiłe — często mają to do siebie, że za grosz w nich niema sensacyjności

13.

Jeżeli więc zupełnie się nie boję banalności, to uprzedzić zato muszę inny, poważniejszy zarzut. Możnaby powiedzieć: Naco roztaczać przed czytelnikiem polskim taką obfitość szczegółów z moich doświadczeń w Anglji, jeżeli ostateczną ich konkluzją ma być beznadziejność co do poprawy stosunków angielsko-polskich?

Na stanowisku bezwzględnej wierności dla aljansu francuskiego — to przyznają zgodnie wszystkie stronni-

ctwa polskie — w danej sytuacji w najżywotniejszym interesie naszego państwa nadal stać musimy: na lawirowanie między Anglją a Francją, jak Czesi, pozwolić sobie w naszem niebezpiecznem położeniu geograficznem nie możemy, a wywarcie jakiegokolwiek wpływu łagodzącego na antagonizm między Anglją a Francją, jakkolwiek byłoby nad wyraz pożądane, dotychczas nie jest w naszych siłach.

Znowuż faktów ciężkiej ekonomicznej sytuacji Anglji, a w znacznej mierze także opinji ogółu Anglików o ich powodach i środkach ich naprawy, także zmienić nie możemy.

Cóż więc pozostaje?

Pozostaje — odpowiedzieć można — powolna, cierpliwa, wytrwała praca nad uświadamianiem opinji angielskiej o godności naszej tysiącletniej tradycji cywilizacyjnej i o żywotności państwowej naszego narodu, zamanifestowanej przez niezaprzeczone postępy ostatnich kilku lat w dobrobycie materjalnym, oświacie i praworządności społeczeństwa. Pozostaje — jednem słowem — wydoskonalona, umiejętna i na wysoki ton ideowy nastrojona propaganda.

Zapewne. Poświęciwszy rok wytężonej pracy takiej propagandzie w najlepszem znaczeniu wyrazu, na jakie mnie tylko stać było, popełniałbym samobójstwo moralne, gdybym znaczenia tej roboty nie cenił i dalszego jej prowadzenia w należytej formie nie pragnął.[1] Ale nie jestem ślepy na ograniczenia, zawarte w samej psychicznej osnowie pracy propagandystycznej i wzmocnione przez

[1] Z radością też podnoszę, że doniosły dalszy krok na tem polu zrobił nasz b. minister spraw zagranicznych, p. A. Skrzyński, przez swą książkę *Poland and Peace* (Londyn, Allen & Unwin, 1923), która doznała bardzo dobrego przyjęcia w prasie angielskiej.

tę złą reputację, jaką sobie w Anglji wyrobiła oficjalna propaganda tak zwanych „nowych państw“. Do pewnego stopnia muszę się zgodzić na to, co po dwugodzinnej rozmowie o sprawach polskich powiedział do mnie na pożegnanie znakomity angielski historyk G. P. Gooch (redaktor *Contemporary Review*): „Decydującą rzeczą nie jest propaganda, choćby najwznioślej pojęta i najumiejętniej prowadzona. Decydującą rzeczą jest to, co się u Was w kraju dzieje“.

Tego samego zdania bez zastrzeżeń jest wielu rozważnych obywateli u nas, którzy zasadniczo są przeciwni propagandzie zagranicznej, bo uważają, że ogromne jej koszty, ponoszone przez Państwo, nie stoją w żadnym stosunku do jej wyników, nawet w przyjaznej nam, ale ach! jak głęboko nas nieznającej Francji, a cóż dopiero w nieufnej (i walutowo droższej) Anglji. Słyszy się zresztą często, że po pięciu latach rozwoju naszej państwowości nie pora już na propagandę przez emisarjuszy naszych na Zachodzie, lecz, przeciwnie, najlepszą propagandą będą częstsze wizyty gości z Zachodu u nas i ich własne sprawozdania wobec rodaków o wrażeniach z Polski.

Odwiedziny takie mnożą się, i przynajmniej jeden przykład z pośród nich mogę przytoczyć, jako rzeczywiście plonny w pożyteczne owoce. Przykład ten nawet przytoczyć muszę, by przy tej sposobności złożyć należny hołd jednemu z najszlachetniejszych i najstalszych przyjaciół Polski w Anglji. Jest nim lord Treowen. Rycerska postać tego starego żołnierza, który zdobył sobie honory i wysokie stanowisko w wojnach sudańskich, nieprzeparty wywiera czar swoją prawością, prostotą, skromnością i szczerością na każdego, kto się z nim ze-

tknie. Szczególny zaś już romantyczny urok musi mieć w oczach Polaka oficer angielski, który dostawszy się za młodych lat do Petersburga jako *attaché* wojskowy w najczarniejszych dla Polski chwilach, bo w ostatnich latach panowania Aleksandra III, i spotkawszy tam Polaków, tak sercem przylgnął do naszego narodu, że odtąd pozostał zawsze wiernym sprawie polskiej i dziś jeszcze występuje przy każdej sposobności jako nasz rzecznik w Izbie Lordów.

Lord Treowen zaszczycił swojem przewodnictwem mój odczyt w „Brytyjskim Instytucie dla spraw międzynarodowych“ i w swojem zagajeniu oddał wybitną przysługę naszemu państwu. Opowiadał mianowicie o swych wrażeniach z własnej podróży po wszystkich częściach Polski w roku 1922 i wyraził się z gorącem uznaniem o tych widocznych na każdym kroku postępach, które państwo polskie od swego odbudowania zrobiło w dziedzinach kolejnictwa, oświaty, higieny społecznej, rolnictwa, przemysłu i innych. Nie trzeba wyjaśniać, jak pierwszorzędną doniosłość miało wobec tak doborowego grona publiczne o Polsce świadectwo Anglika, którego nikt z jego rodaków nie może podejrzewać o stronniczość.

Taki przykład istotnie zdawałby się silnie przemawiać za tem, że najskuteczniejszą formą propagandy polskiej w Anglji jest zwiedzanie Polski przez Anglików samych. Ale i tego bez poważnych zastrzeżeń powiedzieć nie można. Wszyscy znamy te wielkie niedostatki naszego życia codziennego, które muszą odstraszać i zniechęcać podróżującego po Polsce człowieka z Zachodu. Brak czystości i komfortu, lichy stan komunikacyj, poza niedość gęstą siecią kolejową, haniebne warunki mieszkaniowe i żywnościowe wszędzie poza największemi mia-

stami, a szczególnie na kresach wschodnich, i co gorzej, na letniskach, — nieporządki, rzucające się w oczy nawet w miastach wielkich, ba, w samej stolicy, nawet w porównaniu z przedwojennemi porządkami rosyjskiemi, plaga czerni żydowskiej i niechlujne obyczaje innych jeszcze szerokich warstw, — takich braków kultury materjalnej nie zrównoważy widok nawet najchlubniejszych pomników kultury duchowej. Przeciwnie, bez tej materjalnej podstawy ma nasza kultura duchowa w oczach Anglika z konieczności coś, coby on nazwał *hectic flush* — suchotniczym rumieńcem. „Po niezamiatanych ulicach chodzą tłumy obdartych doktorów praw i filozofji, którzy się nawet codzień nie kąpią!“ — tak niedelikatnie streściła swe wrażenia wobec mnie jedna rezolutna Angielka. A przykrzej jeszcze było słyszeć, jak amerykańska uczona, profesorka Lucja Textor z *Vassar College*, z zachwytem wprawdzie opowiadała o czarującem przyjęciu przez naszego prezydenta i innych wybitnych ludzi w Warszawie, ale z odrazą wspomniała o tem „piekle dantejskiem“, jakie widziała w obozie reemigrantów z Rosji w Równem, wybrawszy się tam na własną rękę. Zawcześnie więc może jeszcze byłoby zbytnio zachęcać Anglików i Amerykanów, by sami wglądali w nasze stosunki domowe.

14.

Wreszcie jest jeden jeszcze czynnik, który najpewniej może uczyniłby Polskę popularniejszą w świecie anglosaskim. Tym czynnikiem są wielkie bogactwa naturalne naszego kraju. Dlaczego kapitał brytyjski nie garnie się do tych nęcących perspektyw zysku, jakie otwiera ich eksploatacja?

Trzeba powiedzieć, że w tym jednym względzie stosunki widocznie się poprawiają. Poczęto się we Wielkiej Brytanji interesować naszem drzewem, i to nietylko wywozem budulca, ale konjunkturą w przemyśle drzewnym w obrębie samej Rzeczypospolitej, widokami, jakie ma przed sobą fabrykacja papieru, zapałkami polskiemi, które już z etykietą *made in Poland* są w obiegu na rynku angielskim i wytrzymują konkurencję, itp. O zainteresowaniu w tym kierunku świadczył niedawno artykuł w najpoważniejszym organie gospodarczym angielskim, *Manchester Guardian Commercial.*

Ale tego rodzaju postępy są bardzo powolne, i wciąż trzeba się borykać z nieufnością. Różne wysiłki nad zorganizowaniem pośrednictwa w stosunkach handlowych między Anglją a Polską, n. p. wegetująca mizernie w Londynie przez kilka lat *United Poland Corporation*, nie zdołały przekonać do nas potęg finansowych *City* londyńskiej.

Dlaczego?

Przyznać należy, że nie bez naszej winy. Nietylko z powodu nieumiejętnej reklamy, braku znajomości terenu angielskiego i psychiki angielskiej, ba, nawet samego języka angielskiego u organizatorów takich usiłowań. Jest jeszcze głębszy i boleśniejszy powód.

Anglja jest klasycznym krajem wysoko postawionej i powszechnie przez tradycję ustalonej e t y k i k u p i e c k i e j. Polska w stosunkach handlowych dotąd jest rażąco niesolidna. Wszyscy ci, którzy jako odbiorcy starali się popierać rozwój czysto polskiego handlu w walce z monopolem żydowskim, wiedzą z własnego, przykrego doświadczenia, jak często kupiec polski, zamiast czerpać bodziec z tego ruchu wśród publiczności, niedbale przepuszczał tę okazję lub nieuczciwie wyzyskiwał sytuację.

To samo zniechęcało Anglików niejednokrotnie w poczynających się stosunkach handlowych. Nietylko, że w gorączkowej chciwości „dobrej waluty“ stawiano nieraz w ofertach ceny fantastyczne, zgoła się nie kalkulujące angielskiemu odbiorcy, ale ponadto, niestety, wiem o wypadkach, w których towar przysłany przez kupca polskiego okazywał się odmiennym w gatunku i gorszym jakościowo od próbek, co były podstawą zamówienia.

Większa solidność kupiecka więc jest kardynalnym warunkiem rozwoju stosunków ekonomicznych między naszym krajem a Anglją i większego wogóle do Polski zaufania w tych sferach, które na angielską opinję publiczną mają wpływ najpotężniejszy.

Ale to bynajmniej jeszcze nie wszystko!

Równie niezbędną, jak większa solidność kupiecka jednostek, jest większa s o l i d n o ś ć g o s p o d a r c z a p a ń s t w a. Bez stabilizacji naszej waluty niema zaufania międzynarodowego do Polski ani pod względem finansowym, ani pod żadnym innym. Bez usunięcia tego kamienia obrazy nie mogliśmy zrobić kroku naprzód ku życzliwszej o nas opinji Anglików, choćbyśmy im prawili o naszej kulturze, jak powiada św. Paweł, „językami ludzi i aniołów“. „Jak cię widzą (w codziennych notowaniach kursów na giełdzie) tak cię piszą“ (nietylko w znaczeniu ekonomicznem, ale społecznem i moralnem). Dopóki mogły się pojawiać takie notatki, jak w numerze niedzielnej gazety *Observer* z 12 sierpnia 1923, gdzie pod nawpół drwiącym nagłówkiem *Polish Finance* (coś jak *Polnische Wirtschaft!*) widniała lakoniczna zapowiedź nowej emisji setek miljardów marek, dopóty nawet najgłośniejsza propaganda musiała być tylko — by znowu użyć słów św.

Pawła — „jako miedź dzwoniąca i cymbał brzmiący“, a realnych rezultatów przynieść nie mogła.

Dziś, chwała Bogu (i p. Grabskiemu, jako narzędziu Opatrzności), już możemy z podniesionem czołem spojrzeć w oczy największemu kupieckiemu narodowi świata. Pozostało nam wiernem to samo — powiedzmy sobie pocichu! — szczęście, które nam jakoś towarzyszy w całej pięcioletniej historji nowej Polski, sprawdziło się raz jeszcze przysłowie: „Pan Bóg łaskaw na Mazury“; waluta ozdrowiała szybciej i łatwiej, niż przewidywali rzeczoznawcy. Wydany w lutym r. 1924 raport naszego kilkumiesięcznego doradcy finansowego, komandora Hiltona Younga, jest nawskróś optymistycznym przeglądem naszego położenia gospodarczego i naszych zasobów. Znakomity w swej zwięzłości, wszechstronności i konkretności, dokument ten, w wydanym obecnie przekładzie polskim, ze wszech miar zasługuje na uwagę naszych krótkowidzących domorosłych gderaczy i czarnowidzów. Sprawie polskiej w Anglji oddaje usługę nieocenioną: bo tu po raz pierwszy z ust niepodejrzanego o stronniczość świadka i pierwszorzędnego fachowca ekonomicznego — byłego redaktora działu gospodarczego *Morning Post* i byłego wice-ministra skarbu — otrzymują Anglicy wyraźne świadectwo, że Polska naprawdę wstąpiła na drogę naprawy skarbu i staje się na międzynarodowym rynku jednostką gospodarczo solidną i zasługującą na szacunek. Wobec tak przełomowego znaczenia sprawozdania p. Younga możemy się nawet nie gniewać o ten zwykły wielkobrytyjski mesjanizm, z jakim prasa angielska wita raport jako głos człowieka, „co uzdrowił walutę polską“, przypisując w ten sposób p. Youngowi w stosunku do nas tę samą rolę, jaką odegrał holenderski zbawiciel

Zimmermann w Austrji. W każdym razie pojawienie się w marcu r. 1924, w jednym tygodniu, kilkudziesięciu artykułów o Polsce w różnych pismach angielskich, jest rekordem niesłychanym i najwymowniej świadczy o zmianie usposobienia, do której nasz własny wysiłek nad uzdrowieniem skarbu bezsprzecznie walnie się przyczynił.

Obok ustalenia stosunków gospodarczych, nie mniej nieodzownym warunkiem polepszenia naszej angielskiej reputacji jest względna przynajmniej stałość polityczna. Handel i przemysł muszą być bezpieczne przed niespodziankami administracyjnemi lub eksperymentami ustawodawczemi, krępującemi, czy nawet paraliżującemi, ich normalny rozwój. Przedewszystkiem zaś naród obcy, by nas mógł szanować i wejść z nami w ściślejsze stosunki, musi mieć przed oczyma stałą i konsekwentną linję naszej polityki zagranicznej, nie ulegającą gwałtownym załamaniom przy partyjnych przemianach wewnętrznych. Najlepszą takiej stałości gwarancją, bo widomym jej symbolem, byłaby ciągłość w reprezentacji osobistej tego działu polityki państwowej. Lord Curzon, witając w Londynie wiosną r. 1923, z okazji uznania naszych granic wschodnich, naszego ówczesnego ministra spraw zagranicznych, p. Skrzyńskiego, podobno zaznaczył swe ubolewanie z powodu, że „ilekroć mówi z Polską, musi mówić z kimś innym“. Lord Curzon znany jest swym rodakom jako jeden z najdumniejszych osobiście ludzi na kuli ziemskiej: jest dumniejszy od swego króla, i do Turków w Lozannie przemawiał jeszcze bez porównania wynioślej, niż do naszego ministra. Można przytoczone jego mentorskie słowa uznać za szczególnie niefortunne wobec tego, że w chwili, gdy je wypowiadał, już wisiała w powietrzu

rekonstrukcja tego gabinetu, do którego sam należał. A głębokie różnice zdań w łonie tego gabinetu co do postępowania wobec Francji były i są tajemnicą poliszynela w całej Europie.

Tak, — ale z tem wszystkiem nie można zapomnieć o fakcie, że ten sam lord Curzon, co dzierżył ster zagranicznej polityki brytyjskiej za Lloyd George'a, dzierżył go z pełnem poparciem narodu nadal w rządzie zawziętych konserwatywnych przeciwników Lloyd George'a. A nasz minister, do którego wtedy lord Curzon mówił, już w dwa miesiące później ustąpił miejsca innemu...

Nie chcę jednak wchodzić w drażliwe szczegóły polityczne; powtarzam tylko: moralność kupiecka, solidność gospodarcza i stałość polityczna, to trzy granitowe filary, bez których lepszych stosunków ze światem anglosaskim nie zbudujemy.

Należę do tych, którzy mocno wierzą, że, choć powoli i jak po grudzie, jednak postępujemy naprzód i ku normalniejszemu stanowi gospodarczemu i ku bardziej ustalonej sytuacji politycznej; że więc, co za tem idzie, jeszcze obecne pokolenie obywateli Rzeczypospolitej dożyje tego, iż także dumny Albjon uzna silną Polskę za stały i poważny czynnik w systemie politycznym i kulturalnym cywilizowanego świata. A my z krynicy wiekowej kultury obywatelskiej narodu angielskiego zaczerpnąć możemy wiele ożywczych pierwiastków, które nasz organizm społeczny na dalszą drogę ku temu upragnionemu przyszłemu celowi pokrzepią.

SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa	V
Anglja po wojnie	1
Anglja dzisiejsza a jutrzejsza	52
O Szkotach	121
Anglicy a my	140



Biblioteka Wojsk. Akad. Techn.
im. F. Dąmrowskiego
21439

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
43249/
2